Czerwiec — 1856.

O NAJZNAKOMITSZYCH
TEGOCZESNYCH MOWCACH
RELIGIJNYCH *).

II.

Słowo będące przedmiotem wymowy religijnéj, jest to dar święty, uczyniony człowiekowi przez Boga — dar poświęcenia się Słowa Przedwiecznego; pierwszym też warunkiem kaznodziejstwa było, jest i będzie zawsze *poświęcenie*. Co najwyższa Miłość darowała rodzajowi ludzkiemu, to tylko przez miłość, godnie rozdzielanem być może i to przez miłość która się nie cofa przed żadnem poświęceniem. Mniéj więcéj każde *Słowo* wymaga miłości i poświęcenia dla sprawy, w któréj jest podniesione i w braku tego warunku nigdy mieć niemoże prawdziwego powodzenia, wszakże jak siła poświęcenia decyduje o wygranéj lub przegranéj, tak znów wartość sprawy stanowi o wysokości poświęcenia. Gdyby kaznodzieja wystąpił w obec społeczności, do któréj przemawia, jako profesor w obec swych słuchaczy, lub jako mowca parlamentarny w obec izby,

*) Patrz zeszyt kwietniowy.

naprzód można ocenić skutek jego pracy i z pewnością zawyrokować, że skutek ten będzie albo bardzo słaby, albo prawie żaden, albo całkiem zły. Najpotężniejszy talent, największa nauka, najkorzystniejsza zewnętrzność zwiększają tylko liczbę zer, przed któremi jeźli nie stoi ilość poświęcenia, zawsze zostaną tylko zerami — a bodaj czy nawet nie znakami ujemnemi przed ilością kapłańskiego charakteru. Niema nic smutniejszego jak zimny erudyta, albo szumny deklamator mówiący z miejsca, ku któremu zwracają się ludzkie umysły i serca po Słowo boskie — po ten chleb żywota. Niema nic boleśniejszego jak kaznodzieja, który zgasiwszy w duszy swojéj zatloną przez Sakrament iskrę zapału dla sprawy Pańskiéj, mówi o niéj jakby mówił o najpowszedniejszéj sprawie tego świata. Słuchacz widzi w nim wprawdzie anioła pańskiego, ale anioła, który dotknąwszy się ziemi, zapomniał zkąd wyszedł i nikogo do Boga niedźwiga, *bo sam niewstępuje* i nikogo ku niebu niewabi boską siłą i pięknością swego charakteru, bo ta piękność obok zimna duszy im jest wyższą, tem bardziej odpychającą stanowi disharmonią. Kościół wie o tem — on też swoich kaznodziejów stawia w obec wiernych jako żywe personifikacye poświęcénia. Za nim mowcę wyśle z *Słowem*, wprzód go przygotowuje modlitwą, odosobnieniem, ślubem dozgonnéj czystości, ślubem swéj miłości dla sprawy bożéj i pasuje go na rycerza téj sprawy mieczem krzyża i poświęca go do zapasów *poświęceniem się samego Zbawcy działającém przez Sakrament.* Wszakże z poświęceniem takiem winno się jednoczyć *poświęcenie osobiste*, bez którego tamto pierwsze jest wprawdzie ważne ale dopiero w możności (*in potentia*), a nie w czynie (*in actu*). Kiedy apostołowie uczuli się poświęconemi z góry, mogli wówczas wyjść lub nie wyjść ku nieustraszonemu opowiadaniu Ukrzyżowanego. Gdyby nad poświęcenie przemogła oba-

wa o wolność lub życie, niemniéj byliby poświęconymi w moc swojego charakteru, ale by niebył poświęconym ród ludzki, który jednak mocą boskiego i osobistego ich poświęcenia został przykuty do krzyża. Zawsze w kościele potęga kaznodziejstwa ma się w stosunku prostym do mocy poświęcenia — bo kaznodziejstwo, jak powiedzieliśmy wyżéj, to rozkazywanie Boga przez człowieka, więc im doskonaléj człowiek przestał być sobą, wyzuł się z swéj osobistości, tem żywiéj przedstawia osobistość Słowa, tem dzielniéj każe w imie Boga. Były epoki, w których ogromne znakomitości pod względem wymowy przebrzmiały bezskutecznie i niedobrały się do serca swéj społeczności, bo to były tylko geniusze rozumu, nauki, wymowy, a w imiona takie można rozprawiać, bawić, zajmować, ale nierozkazywać — i były znowu epoki, w których prawie nieznajdujemy wielkich imion pod tym względem, ale w których widzimy potężne działanie słowa rwącego dusze do Boga, bo to były epoki geniuszów poświęcenia.

Tak to zawsze pojmowano w kościele, tak to pojmowali pierwotni kaznodzieje Chrystyanizmu, których głos obok głosu Zbawiciela słyszan będzie aż do końca świata, a to dla tego, że poświęceniem najbliżéj stanęl boskiego swojego wzoru; tak to pojmowali Ojcowie kościoła — mężowie zakonnego poświęcenia w najwyższém znaczeniu tego wyrazu — jak naprzykład ś. Grzegórz, ś. Bazyli, ś. Augustyn, Hieronim lub Efrem, tak to pojmowali wielcy kaznodzieje średniowieczni, prawie wszyscy założyciele wielkich zakonów, albo wielcy święci; jak święty Bernard, ś. Dominik, ś. Bonawentura, ś. Tomasz i inni; tak to pojmowali ludzie występujący do walki z odradzającym się poganizmem, jak ś. Ignacy Lojola a późniéj ś. Franciszek Salezyusz i ś. Wincenty à Paulo; tak to nakoniec pojmuje kościół, który ludziom zakonnego poświęcenia zawsze powierza wszelkie nad-

zwyczajne missye kaznodziejstwa, który przez jednego z największych swoich Papieży potwierdził *Zakon kaznodziejski*, który mu przez wszystkich błogosławi dotąd, który w tym zakonie powracającym do pierwotnéj surowości pokłada wielkie nadzieje, który inny zakon mający także głównym celem kaznodziejstwo, uważał zawsze jako czoło swéj duchowéj armii; który gotów był zrzec się przychylności najpotężniejszych tronów Europy aniżeli zezwolić na rozwiązanie téj swojéj przedniéj straży, który wreszcie ustąpiwszy z jak największą boleścią przed naglącemi okolicznościami w rozwiązaniu owego zakonu widział rozbrojenie swych najwaleczniejszych rycerzy a odradzających się powitał z tkliwą radością i przyklaskuje ich kaznodziejskiemu działaniu na missyach.

Temu też poświęceniu zawdzięczamy ową działalność Słowa wstrząsającego coraz potężniéj wszystkie warstwy dzisiejszéj społeczności. Ludzkość pogrążona w materyalizmie gniewa się i miota, że to słowo wciąż ją niepokoi; owszem przeciwko niemu stawia słowa *ojca kłamstwa*, krzyczy, przeklina, bluźni po dziennikach o ile tylko stanie na to czasu przy gorączkowem zajęciu się produkowaniem, konsumowaniem i giełdą — a pomimo tego słowo działa, słowo walczy, słowo zdobywa coraz silniejsze stanowiska, słowo tryumfuje! Świat wojujący jak tytan górami egoizmu zdaje się słabnąć, wyczerpywać ostatki swych sił; od czasu do czasu zdradza uczucie szalonéj rozpaczy a słowo idzie naprzód i ciągnie za sobą rydwan Chrystusowy, bo słowo idzie niczem niewstrzymaną siłą ofiary, a słowo coraz to piękniéj króluje, bo jego majestatem jest poświęcenie!

I uważajmy że koryfejami dzisiejszéj wymowy religijnéj są same mnichy, to jest ludzie zakonni — ludzie poświęcenia ewangielicznego — że ten, o którym mówiliśmy dotąd jest to dominikanin, czyli brat kaznodzieja,

a ten o którym mówić zamierzamy — to jezuita, — że nareszcie z dwóch innych, których następnie pragniemy przedstawić, jeden jest teatynem, drugi oratorianinem.

Co większa, jak za czasów Ludwika XIV, w epoce wielkiego przesilenia we Francyi obok jezuity *Bourdal'ego*, który głębokością rzeczy i męzkością formy góruje nad samego Bossuet'a i Massillon'a widzimy mowców drugiego rzędu, wszystko *zakonników*, — jak prawie jednocześnie we Włoszech, około wzniosłéj postaci jezuity *Pawła Segnier'ego* grupują się kaznodzieje *mnichy*, — jak nawet w smutnéj pod względem kaznodziejstwa epoce Benedykta XIV, cały ruch utrzymuje ubogi reformat, błogosławiony *Leonardo da Porto Maurizio* jak wreszcie i samemu Lacordair'owi przygotował owo niesłychane powodzenie zakonnik (jezuita) *Mac-Carty*, którego nawet bezbożny jeszcze Paryż słuchał ze zdumieniem, i którego kazania są jakby dalszym ciągiem Bourdal'ego zastósowanego do dzisiejszych potrzeb, tak i dzisiaj obok owych czterech filarów kaznodziejstwa słyszymy mowców-zakonników takich jak O. Felix, Fontana, Marquet, Lèfèvre, których słowo działa i działa daleko potężniéj, jak owe okrzyczane kazania *Doucet'ów* i *Duval'ów* jak najściśléj według prawideł retorycznych ułożone i właśnie dla tego, że *ułożone* nie na wiele przydatne.

Jak zaś było i jest we Francyi lub we Włoszech, tak samo pod tym względem było i jest u nas. Słowo poświęcenia działało i działa tylko przez ludzi spotęgowanych poświęceniem. Nasz złotousty Piotr Skarga, to zakonnik — to mowca, który do każdego kazania przygotowywał się modlitwą postami i dyscypliną, a który umarłszy sobie tryskał życiem bożem, gdzie się tylko obrócił, wstrząsał, ratował, prorokował i zdobywał. Nasz najznakomitszy homiletyk Jakób Wujek chwała kościoła w Polsce to także zakonnik. Nasz Fabian Birkowski,

który mimo całéj surowości karciciela i nieogłady zewnętrznéj był ulubieńcem równie uczonych jak prostego ludu, równie żarliwych katolików i ludzi ascetycznych, jak nieujętego żołnierstwa i poczynającego smakować w zachodniej wykwintności dworu Władysława IV, to dominikanin. Nasz dzisiejszy najznakomitszy kaznodzieja, którego kilkunastu kazań powiedzianych w kraju, żaden z słuchaczy dotąd niezapomniał a którego kazania i mowy ogłoszone drukiem tak nam żywo przypomniały najpiękniejsze czasy wymowy religijnéj w Polsce — to także człowiek zakonnego poświęcenia. Nasz nieodżałowanéj pamięci Ojciec Karol Antoniewicz, ów żarliwy missyonarz, ów apostoł królestwa Chrystusowego, o jakim dawno przed nim, bardzo dawno wśród naszego narodu niesłyszano, a który gdzie się tylko zjawił, wszędzie był witany jak anioł światłości, zwiastun miłosierdzia i pociechy — to żywa miłość — to uosobione poświęcenie, to mąż chodzący w doskonałości zakonu, to dusza całkiem w zakonie krzyża żyjąca i działająca.

Tak jest — po wszystkie czasy i na każdem miejscu Chrystyanizm działający w pośród ludzkiego rodzaju drogą kaznodziejstwa posługował się ludźmi poświęcenia. I jakkolwiek on sam przez się, będąc w najwyższem znaczeniu tego słowa poświęceniem, bo poświęceniem Boga dla człowieka, mógłby się obejść bez osobistego poświęcenia tych, którymi się posługuje jako narzędziami, to jednak pewna i jak najwidoczniejsza w dziejach kościoła, że tam działał najpotężniéj najtrwaléj, najobszerniéj, gdzie żywiołu kapłańskiego poświęcenia znalazł najwięcéj. Gdzie jest ten żywioł, tam mimo najwidoczniejszych oznak niewiary lub obojętności ze strony społeczeństwa, mimo nawet pewnych przerażających symptomatów moralnéj śmierci można mieć

dobrą otuchę, — gdzie zaś między duchowieństwem wygasł, tam nawet przy religijnem usposobieniu wiernych, przy najmoralniejszych dążnościach spółeczeństwa słusznie obawiać się można ostatecznego upadku, bo tam zamilkło słowo, które jak samo żywot prawdziwy daje, tak go też samo utrzymać jest zdolne. Niech w takim razie biskupi jak najuczeńszych ludzi wysyłają na ambony, niechaj mowcy jak najwyborniéj według przepisanych prawideł deklamują — niech nawet jak najobficiéj i jak najzręczniéj cytują Pismo święte, zdania Ojców i doktorów kościoła, to wszystko przebrzmi bez żadnego skutku i będzie tak, jak gdyby niebyło ambony i jakby mowcy zupełnie milczeli; ale niech się uczoność, znajomość Pisma świętego i Ojców znajdą w człowieku *poświęconym* sprawie Bożéj, niechaj tych zasobów użyje w mowcy *miłość Boga*, *miłość kościoła*, miłość dusz, żarliwe pragnienie, aby w pośród spółeczności, do któréj przemawia królował Chrystus a w tenczas potędze słów jego żadna siła oprzeć się niezdoła i będzie tak jak było i jest wszędzie, gdzie poświęcenie, ten najwymowniejszy kaznodzieja nauczał, gromił, pocieszał, dźwigał i ożywiał.

Będzie tak, jak było i jest w kraju i stolicy, gdzie niedawnemi czasy nienawiść Chrystyanizmu jak najotwarciéj wystąpiła przeciw niemu, gdzie istniało ognisko sprzysiężenia przeciw kościołowi, gdzie było źródło wszelkich błędów i wszelkich występków, a gdzie od lat dwudziestu rozpoczęła się błogosławiona reakcya na rzecz prawdy i postępuje olbrzymim krokiem, skoro przed zgniłą na poły spółecznością stanęli z słowem tacy kaznodzieje jak ten o którym mówiliśmy dotąd — jak ten, o którym mówić teraz chcemy, to jest Ravignan.

Przypatrzmyż się już bliżéj téj postaci pokornego

zakonnika, i zobaczmy, kto on jest, co to za słowo, jeszcze w téj chwili tak silnie działające, choć piersi jego prawie już żarem miłości strawione.

Biografia Ravignan'a wcale nieobfituje w zdarzenia i pod tym względem stanowi pewien miły kontrast z zajmującą na pierwsze wejrzenie postacią Lacordair'a. Jak tego ostatniego żarliwość religijna pobudzała do ciągłéj działalności, zetknęła go z wszystkiemi znakomitościami katolicyzmu, wmięszała we wszystkie wydatniejsze zdarzenia dotyczące w jakibądź sposób kościoła we Francyi — tak znowu taż sama żarliwość — ta sama chęć poświęcenia się spowodowała Ravignan'a do obrania sobie życia zakonnego, biernego, tak, że jego indywidualność prawie ciągle nieznana, ukryta, zanegowana. Ktoś powiedział, że chcąc pisać jego historyą trzebaby pisać historyą zakonu, do którego należy, co zresztą może czynić kłopotliwem położenie biografa, ale mowcy dało ogromną potęgę i otwarło do nadzwyczajnego powodzenia. Ta trocha, którą wiemy o jego życiu, tłumaczy nam dla czego niewiemy więcéj. Cichy i unikający wszelkiéj nadzwyczajności w owych młodzieńczych chwilach, kiedy świat robił mu piękne nadzieje, kiedy mu przyjaciele rokowali świetną przyszłość, mógłże być innym później jako kapłan, lub jako zakonnik? Z drugiéj strony zdawałoby się, że człowiek, którego imie należy do najpopularniejszych we Francyi, o którym tak wiele rozpisywały się dzienniki najsprzeczniejszych barw, którego zawsze słuchano z uwielbieniem a chwalono bez najmniejszego *ale*, że człowiek taki w życiu swojem powinien być niezmiernie zajmujący. Tymczasem on działa, wstrząsa, zachwyca, on tak mówi, że się zdaje iż słowem swojem na popiół spali i zetrze wszystko co

w nowożytnéj Babilonii śmiało się wznieść przeciw Prawdzie — i kiedy wszyscy widzą, podziwiają, czują w sobie potęgę tego działania, gdy rezultat słowa coraz większy, dotykalniejszy, człowiek przecie, który w ruch wprawia wszystkie tego słowa sprężyny był i jest prawie zupełnie nieznany.

Jeżeli o nim mówiono, to zawsze jakby o jakiejś istocie abstrakcyjnéj — o człowieku, który się zjawił jako wielki mowca, ale który zresztą jest, jak gdyby go nie było. Tyle był znany swoim słuchaczom i swym wielbicielom, ile się dał poznać z ambony; same dzienniki, zwykle tak chciwe szczegółów o każdym, kto w jakibądź sposób dał się poznać publiczności i takie pod tym względem domyślne, ograniczały się na przedstawieniu tego, co mówił, lub jak mówił, a wiele kroć razy dotknęły saméj osoby mowcy, to zawsze tylko w ogólnikach. Pisano więc, że Ravignan dał się słyszeć w tym lub owym kościele, że to, co mówił cudnie odpowiadało jego silnie południowéj fizyonomii — mówiono daléj jak w nim wszystko mówi — jak żywe i płonące oko — szerokie i wypukłe czoło, ten majestatyczny i niezawodny znak wyższości ducha a przytém gwałtowne i zachwycające ruchy podnosiły w nadzwyczajny sposób działalność głoszonego przezeń słowa. To znowu rozpisywano się nad głosem wprawdzie słabym pod względem donośności, ale tak pewnym, tak żywym, tak na wskróś przenikającym, jakby mu był umyślnie dany na wyrażenie tych myśli, z których każda była jakby płomieniem zstępującym z nieba i téj silnéj nigdy niepokonanéj a zawsze pokonywującéj loiki, która przedewszystkiém stanowiła jego oryginalność. Raz pisano o niezwykłym a dziwnie rozrzewniającym sposobie w jaki prosił obecnego Pasterza o udzielenie sobie błogosławieństwa i przytoczono z tego powodu epizod nie z życia mowcy ale przecież taki, że co stanowi całą jego

piękność, to wyłącznie jest mowcy własnością. Pobożna pewna matka chcąc zniewolić klęczących około siebie synów do serdecznego ukorzenia się podczas pacierzy przed Bogiem, rzekła do nich: „A czy nie pamiętacie, „jak to dzisiaj O. Ravignan z wielką pokorą schylił „głowę, prosząc o błogosławieństwo Arcybiskupa? uczyń„cież podobnie prosząc o błogosławieństwo Boga — „uczyńcie przed Bogiem, co wielki mowca czyni przed „namiestnikiem Boga“. Może ktoś powié, że to tkliwości kobiece? — Tak jest, to ta błogosławiona tkliwość, która w kobiecie jest ciepłem miłości, a któréj gdyby ewangelia nie pielęgnowała, świątu bardzo byłoby zimno z całą ścisłością męzkiego rozumu. Wszakże tkliwość kobieca, z jaką owa matka powyższe słowa wyrzekła to tylko forma owego święcie-męzkiego słowa, które w mowcy wypowiedziało się aktem; to tylko *głos* rozpowszechniający wśród rodziny to, co się wypowiada w kościele, bądź słowem bądź czynem; to dalszy ciąg działania kaznodziei wówczas, kiedy zeszedłszy z ambony zniknął z oczu publiczności i zstąpił na czas niejaki do grobu swéj celki. Komu by się to jeszcze zdawało maluczkiem, temu przypominamy, że Chrystyanizm z nakazu Mistrza drogą maluczkości idzie, działa i zdobywa; że ta maluczkość właśnie tworzy ową popularność, obok któréj popularność największych geniuszów świata, zaledwie że jest dojrzaną. Dobrze to czuł ulubiony pisarz francuzki, p. Scribe, kiedy wyszedłszy raz z kościoła po kazaniu O. Ravignan'a wyrzekł te słowa zaraz w kilku dziennikach powtórzone i kommentowane: „*Voilà de quoi faire bâtir plus d'eglises que je n'ai fait de pièces*“.

Pomimo tego, kiedy o panu Scribe tak już wiele napisano, i kiedy do kilku-tomowych memoarów, jakie przygotowuje dla publiczności, chciwéj tego rodzaju strawy, nie braknie zapewnie przedmiotów, może ich na-

wet będzie zbyt obficie, — o Ravignan'ie tymczasem mało co wiadome, a i to co jest wiadome nie zawsze pewne, a z resztą choćby wszystko było pewne, wszystkoby się zmieściło na arkuszu druku.

Że nie wszystko pewne, najlepszym tego dowodem jest niepewność co do jego pochodzenia. X. Bautain, autor dziełka pod tytułem: *Esquisses sur les Orateurs sacrés*, pisze, że X. Ravignan urodził się w Paryżu. Tymczasem autor *Biografii Współczesnych Znakomitszych Duchownych* utrzymuje, że Ravignan urodził się więcéj jak o sto mil od Paryża, w najodleglejszéj południowéj części Francyi. Paryżanie utrzymują jednozgodnie, iż mówi akcentem gaskońskim, że ten akcent tak jest u niego silnie zdecydowanym, naturalny, tak nawet uporczywy i nie do pozbycia, że sam stanowi świadectwo jego metryki. Nie nabył go w szkołach, ani w uniwersytecie, bo nauki swoje odbywał w Collège Bourbon, a kurs prawa *dans le quartier latin*, gdzieby się go raczéj powinien był pozbyć, jeżliby takowy nabył przypadkowo. A potém dziecko Paryża nie ma, ani téj siły expressyj w liniach twarzy, ani téj gwałtowności życia tak doskonale harmonizującéj z cerą śniadą, z wyrazem posępności i z tym nadzwyczajnym ogniem spojrzenia. Sam z resztą rodzaj wymowy, to niesłychane bogactwo figur, ta śmiałość i pełność pomysłów, rozległość planów, dźwięczność frazesów płynących z największą łatwością, ta nakoniec że tak powiem, nadobfitość loiki i rozumu, będąca najwybitniejszą cechą jego konferencyi lub kazań, wszystko to nader głośno świadczy o pochodzeniu nieledwie hiszpańskiém.

Jakiém było jego dzieciéństwo, jak przeszła pierwsza jego młodość, o tém nikt nic nie wié, więc též i nic powiedzieć nie można. Tytuły rodzinne mają być znakomite, ale pobladły w obec imienia, na jakie sam sobie zarobił. Matkę miał wyborną chrześcijankę, która

wczas wpajała w serce jego miłość Boga i rozwijała szlachetne do cnót popędy. Z pomiędzy kilku sióstr, jedna była żoną jenerała hrabiego Excelmans, para Francyi, do którego Napoleon po zajściu pod Wertingen był wyrzekł: „trudno być odważniejszym jak ty nim jesteś“. Po skończonym kursie prawa wszedł do trybunału sądu apellacyjnego jako adwokat i czas niejaki występował z dobrém powodzeniem. W roku 1816 został mianowany radzcą-audytorem. Miał podówczas lat dwadzieścia trzy. Rzecz nadzwyczaj rzadka i wielce dla niego zaszczytna a pomimo tego na udzielenie mu pozycyi tak zaszczytnéj zgodzono się jednozgodnie. Spokojny, działający z namysłem, chociaż w decyzyach tak zawsze szybki, że namysłu nikt nie spostrzegał, przenikliwy a postępujący z szlachetną i miłą prostotą, mniéj uderzał i zdumiewał jak Lacordaire, ale więcéj przekonywał. Biorąc górę nad przeciwnikiem starał się o tyle tylko przewyższać, o ile było koniecznie potrzeba, dla tego sami przeciwnicy w sądach byli jego szczerymi przyjaciołmi. Mniéj przyjacielscy nie śmieli zaprzeczać wartości i zasługi temu, co mówił lub działał, z obawy, ażeby młody obrońca przez swą niepokonaną skromność nie zgodził się z nimi na ten dotkliwy zarzut i ażeby tém samém nie zrobił walki śmieszną albo całkiem niepodobną. Owszem, nietylko że milczeli, ale mu sami przyklaskiwali wraz z wszystkimi innymi, a czynili to często nie z pewnéj tylko przyzwoitości albo z prawniczéj taktyki, ale chętnie i z przekonania, że mu się poklask w saméj istocie należy.

Mówiąc o tych przymiotach młodego Ravignana, niechciałbym, aby je brano za jedno z owemi instynktowemi usposobieniami sprawiedliwości i słodyczy, które według pewnych moralistów stanowią człowieka społecznie uczciwego. Przekonany jak najgłębiéj, że o podobnych uczciwościach mówić tylko może albo obłuda,

albo gruba nieznajomość ludzkiéj natury, przekonany, że owe religije *według upodobania* są tylko złudzeniem albo po prostu głupstwem, jeżeli już nie wymysłem zepsucia i znikczemnienia, wiem téż dobrze, że podobne usposobienia nie istnieją wcale, że choćby nawet istniały nie mogłyby mieć w żaden sposób wartości i zasługi cnoty. Chciałbym więc, aby mnie dobrze zrozumiano co do cnotliwego usposobienia Ravignan'a. Jego cnoty wypływały z zasady nadnaturalnéj miłości Boga i bliźniego. Były one owocem katolickiego wychowania i katolickiego życia; dla tego téż były czemś więcéj jak pięknemi wyrazami, bo były praktyką. Teorye cnoty zwykle kłamliwe i nędzne byłyby w nim zabiły zaszczepioną przez matkę i wypielęgnowaną wiarę — tymczasem cnoty praktyczne czerpiąc z wiary, żywotność i siłę, nawzajem ją ożywiały i umacniały.

Ale zkądże znowu czerpał tę właśnie cudowną siłę miłowania i Boga i ludzi, która go zawsze wznosiła po nad namiętności i czyniła zdolnym cnoty? Oto ztąd, że wypełniał jak najściśléj obowiązki chrześcianina. Ewangelia, nie tak jak ją przedstawia osobisty rozum, ale jak ją wykłada boski rozum kościoła, była dla niego prawem życia i postępowania. Ona go nauczyła, że kto się modli i modlitwą rozmawia z Bogiem, ten w rozmowie z ludźmi i w rozprawach potrafi uniknąć owych uniesień i gwałtowności, które zwykle rzucają przepaść pomiędzy serca a serca. Ona go nauczyła, że człowiek sam z siebie niezdolny jest dobrych myśli, dobrych uczuć i czynów, dla tego jednocząc się z tym, ktory jest wszystką siłą i pięknością chrześcijanina, nierozmyślał nigdy niesprawiedliwości w swém sercu; nikogo nie uraził, nikogo nie odepchnął — a ten, który w nim mieszkał, zjednywał mu przychylność ludzi najsprzeczniejszych usposobień. Wypełnienie obowiązku, to był jego interes, to mu wystarczało za sławę. Czyste sumienie,

to ta wysokość do któréj zawsze podążał i na któréj nigdy mu nie było dosyć.

A przecież Ravignan znał świat, a przecie nawet jaśniał w pośród świata. Jego towarzystwo, jego rozmowa, jakkolwiek pełne prostoty, miały zawsze pewien wdzięk, który około niego gromadził równie ludzi poważnych, jak dowcipnych i salonowych. Szukano go i niemal z rąk go sobie wydzierano, co przecież nigdy ani z serca ani z oblicza nie starło tego aksamitu skromności i wstydu, skutkiem których każda pochwała, każda grzeczność rumieniła go, jak młodą, niewinną panienkę. A więc się rumienił bardzo często, bo pochwał było bez liku. Niewspominalibyśmy o tém, gdybyśmy się nieobawiali zarzutu, jaki zwykle spotyka ludzi młodych, zdolnych i pobożnych, jakoby praktyka życia chrześcijańskiego była w nich czemś tylko *ujemnem*, to jest skutkiem nieznajomości świata i niezdolności zastósowania się do form wyższych towarzyskich.

W roku 1821 został mianowany zastępcą prokuratora królewskiego przy trybunale Sekwany. Wówczas to prezydent Séguier przyjmując go wyrzekł w obec licznych świadków: „Miło mi jest powitać pana w téj nowéj go„dności, mam nadzieję, że niezadługo zasiędziesz moje „krzesło, którego już dzisiaj radbym ci ustąpił“. Słowa te tém piękniejszém były dla niego świadectwem, że prezydent wcale nie był komplemencistą ale człowiekiem poważnym i może nawet za nadto realnym. Dla spełnienia téj zaszczytnéj przepowiedni potrzeba było wprawdzie pewnych zasług, ale nadewszystko trzeba było innego powołania jak to, które Ravignan coraz wyraźniéj czuł i żywił w sobie. Zobaczymy zaraz, jak w jednéj chwili, przy najlepszém powodzeniu zrzekł się wszelkich zaszczytów i wszelkich prezydencyi tego świata.

Po roku nowego urzędowania, kiedy praca, zdolności i zawsze taż sama słodycz charakteru zjednały mu sza-

cunek i przychylność powszechną; kiedy jak najzupełniéj usprawiedliwił pokładane w sobie nadzieje; kiedy nic takiego nie zaszło, coby mogło wpłynąć na zmianę jego wewnętrznych usposobień a wszystko składało się na to, aby ze stanowiska swego był zadowolniony, wróciwszy wieczorem do domu siadł i napisał list do p. Bellart prokuratora jeneralnego, w którym mu oznajmia, iż stanowczo pragnie być uwolnionym od swego urzędowania i w jak najkrótszym czasie wstępuje do seminaryum.

Pod dniem 6 maja p. Bellart odpowiedział mu w następujący sposób:

„Mój dobry i drogi Ravignan'ie!

„Gdybym nie był równie jak ty przekonany, że wszystkie zaszczyty ludzkie są tylko smutnemi i niebezpiecznemi złudzeniami, twój list bardzo by mnie głęboko zasmucił; żałowałbym, że mnie i światu ubywa tak miły i cnotliwy młodzieniec, po którym przywykliśmy się spodziewać, że będzie chlubą magistratury, że ojczyźnie odda znakomite usługi. Żałowałbym, że w ten sposób chcesz skończyć zawód, któryby cię mógł doprowadzić do bardzo świetnéj przyszłości a tym sposobem uczynić zadość uczuciom godziwéj i szlachetnéj dumy i dać ci sposobność stania się użytecznym religii, społeczności i królowi na wysokiém stanowisku, któremu zapewnie i światłem i prawością umiałbyś godnie odpowiedzieć. Wszakże jakkolwiek radząc się własnych moich usposobień i własnego przekonania, niemógłbym w żaden sposób zaprzeczyć słuszności temu krokowi na jaki się zdecydowałeś tak prędko; jakkolwiek doświadczając sam nieraz obrzydzenia na widok szaleństw i przewrotności tak, niestety, częstych w samych trybunałach gdzieby powinny działać tylko rozsądek i cnota, nader się czuję skłonnym do pochwalenia twojego zamiaru; to przecież

mam sobie za święty obowiązek wznieść się po nad ten rodzaj samolubstwa, skutkiem którego raczejby mi się chciało zazdrościć ci twego postanowienia nie zaś potępiać i zapytać cię, jeżeli nie z powagą do jakiéj mi twój szacunek daje prawo, to przynajmniéj z troskliwością przyjaciela, czy się zastanowiłeś dobrze nad tém co chcesz wykonać. Mój drogi Ravignanie, stan, do którego sądzisz się być powołanym, to stan wcale nie łatwy, jego obowiązki nader są twarde, ofiary jakich wymaga są prawie nadludzkie — a przecież ofiary te podjąćbyś musiał nie na dzień, nie na rok, ale na zawsze, na całe życie i to bez szemrania a nadewszystko bez żalu, chętnie, z zamiłowaniem walki przeciwko samemu sobie!

„Sądzisz-li, że będziesz miał dosyć sił i stałości do podjęcia takiego życia walki i poświęcenia? — w takim razie winszowałbym ci z głębi serca, że opuszczasz ten świat, na którym tłumy namiętności roztrącają się wzajemnie. Oh bo ja mój drogi, zbyt żywo sam doświadczam śmiertelnéj nudy z tego rodzaju życia, abym nie umiał oceniać całéj wartości słodkiego pokoju duszy, jakiego muszą używać ci wszyscy, którym Bóg użycza dość łaski, aby żyć mogli z daleka od tego zgiełku wyuzdanych namiętności, głupstw i występków. Jednakże, proszę cię, zastanów się i powiedz, w postanowieniu twojém nieznajdujesz-li więcéj samolubstwa niż szlachetnego popędu do poświęcenia się Bogu w życiu odosobnionem, w życiu umartwienia? Czy jesteś w saméj istocie pewny, że upodobaniu własnéj spokojności nie poświęcasz pewnych obowiązków względem społeczeństwa wśród którego postawiła cię Opatrzność!

„Oh ja uwielbiam, ja czczę tych bohatyrów religii, którzy zerwawszy z światem poświęcają się na to życie doskonałości i ciągłej ofiary, bo kiedy to czyniąc mają na widoku tylko niebo a w sercu tylko miłość Boga,

mogą w ówczas bez porównania więcéj uczynić i dla siebie i dla drugich niż my, którzy ciągle się miotając i siebie samych męczymy i drugim jesteśmy ciężarem. Ale, żeby takim bohatyrem być rzeczywiście, jakże wielkich trzeba na to łask. Jakiejże trzeba potęgi, aby z człowieka stać się aniołem, a jeźli anioł upadnie i wróci do stanu człowieka, już on w ówczas jest mniej niż człowiekiem, czémś straszliwie nędzném i nieszczęśliwém. Zastanów się nad tém mój drogi. Być może, iż dla tego, że sam czuję się niegodnym do próbowania tego rodzaju wysileń, sama myśl o nich już mnie przeraża. Wierzę, żeś ty mocniejszy a jednak się lękam, bo ciebie kocham i piszę co ta miłość pisać każe. Przecież nie myślę występować przeciw temu coś postanowił, proszę tylko chciéj zważyć com ci przełożył. Wszakże zamiar jeszcze nie spełniony?—jeżliby już był spełniony, w ówczas chciałbym cię tylko, o ile bym zdołał utwierdzać w miłości nowego stanu i modlić się abyś w nim był zawsze, czém być powinieneś. Ściskam cię

„Bellart“.

Ravignan w samej rzeczy odebrał ten list przed spełnieniem swego zamiaru i uwagi P. Bellart zrobiły na nim silne wrażenie. Sam opowiada, iż w całém swém życiu nigdy nie doświadczał podobnéj niespokojności, że udręczenie jego było nad wszelkie wyrażenie; pomimo tego wytrwał w postanowieniu i niezadługo wszedł do Saint-Sulpice. Po całorocznym pobycie w seminaryum poznał, iż stan świeckiego kapłana nie zaspokoi chęci poświęcenia jaką się paliła dusza jego — więc opuścił Saint-Sulpice i wszedł do zakonu jezuitów w Montrouge. Czy w saméj istocie znalazł seminaryum nie dość odpowiednio urządzone pod względem wykładu teologii i prawa kanonicznego, jako też pod względem karności i kierunku duchownego i czy to był rzeczywisty powód, który go zniewolił do zamiany Saint-Sulpice na Mont-

rouge, tak utrzymuje wielu, nam się jednak zdaje, że powód leżał w głębi serca. Ravignan w rzeczy tak wielkiéj wagi nie mógł się radzić okoliczności zewnętrznych i gdyby się nie czuł powołanym do wyższego poświęcenia się Bogu, byłby zmienił seminaryum na seminaryum, ale nie na nowicyat zakonny. Uczynił to jako alumn, co Lacordair'e wykonał już jako kapłan — obadwaj poszli tylko za głosem wyższym, który powołując ich do wielkiéj missyi kaznodziejstwa i chcąc mieć jednego dopełnieniem drugiego, wskazał im dwa zakony — ale zakony, które obok pewnych różnic pod względem urządzenia wewnętrznego i form zewnętrznych w tem się jak najzupełniéj zgadzały, że aby być narzędziem Boga nauczającego i rozkazującego ludziom, trzeba wprzód zerwać wszystkie węzły stosunków czysto doczesnych a przez życie odosobnione w jak najściślejsze wejść stosunki z niebem; zakony, które też po wszystkie czasy swojego istnienia były prawdziwemi seminaryami kaznodziei i z których zawsze wychodzili potężni głosiciele *Słowa*.

Jak tylko wszedł do nowicyatu w Montrouge zaraz zwrócił oczy wszystkich na siebie. Pozycya do jakiéj już był doszedł skutkiem zdolności, pracy a szczególniéj skutkiem rzadkiéj prawości charakteru, rozgłos niepowiem sławy, jakkolwiek świat zaczynał mówić o sławie, ale rozgłos powodzenia i szacunku jakich doznawał wśród zajęć nader trudnych i w pośród ludzi poważnych, wszystko to wprzód go zrobiło znajomym w zakonie nim objawił chęć swoją służenia w nim Bogu i kościołowi. Że sami Ojcowie dziwili się temu powołaniu, to rzecz bardzo prosta, jakkolwiek bowiem *Societas* miewała w gronie swojem wielkości wszelkiego rodzaju, obok których młody podprokurator z całą swą zdolnością i wziętością u świata zaledwie mógłby być dojrzanym, jakkolwiek wpraszali się do niéj jak najpokorniéj

ludzie, którzy zeszli dobrowolnie z najwyższych społecznych lub naukowych stanowisk, a którzy, gdyby zechcieli na owych stanowiskach pozostać, świat byłby im stawiał ołtarze, to przecież piękne te chwile, zdawało się, że przynajmniéj dla Francyi przeszły już na zawsze. W owych czasach, kiedy Ravignan zapukał do furty klasztornéj, przestano już wierzyć, aby ktoś mógł porzucić stan dający sposobność zrobienia fortuny i nadzieję wysokiego dostojeństwa a porzucić dla tego, *żeby zostać jezuitą!* Dzisiaj Bogu dzięki, rzeczy coraz lepiéj stoją, dzisiaj tego rodzaju powołania coraz częstsze — wielkie imiona historyczne i naukowe już niezadziwiają w katalogach klerykalnych — ludzie pewnych zasług społecznych dopraszają się natrętnie o zakonną sukienkę, równie jak ludzie młodzi i wielkich nadziei, — same nawet nowicyaty jezuickie, do których niedawno jeszcze zaledwie śmiała się zbliżać młodzież z samych niższych warstw społeczeństwa, zaludniają się we Włoszech, w Niemczech i we Francyi ludźmi pod każdym względem wyborowymi. Dla tego dzisiejszym stanem rzeczy w żaden sposób niemożna mierzyć ofiary, jaką z siebie czynił Ravignan, kiedy w brew opinii powszechnéj piętnującéj nazwę jezuity zapragnął jako jezuita poświęcić się sprawie Bożéj. Stawszy się w krótkim czasie pociechą i nadzieją swoich ojców i współbraci sam zawsze był przekonany, że w przyjęciu do zakonu dostąpił wielkiéj łaski i w tym duchu zawsze postępował. To tem więcéj zasługuje u nas zwłaszcza na podziw i uwielbienie, im częściéj się zdarza, że ludzie młodzi wstępujący bądź do seminaryów, bądź do zakonów i czując w sobie nieco więcéj zdolności lub nauki, rozumieją że czynią łaskę zakonowi lub kościołowi i chcą, aby ich tak uważano. Nic śmieszniejszego, ale razem nic niebezpieczniejszego nad tego rodzaju pretensye i biada seminaryom lub nowi-

cyatom, gdzie się często one powtarzają. Pochodzi to ponajwiększéj części ztąd, że przełożeni więcéj uważają na zdolności umysłowe, niż na ducha powołania, pytają się pilnie kandydata, o to co umie, ale niestarają się zbadać, co go powoduje do wejścia w stan duchowny. Ztąd bowiem idzie, że kandydat nabiera przekonania, jakoby na niego wiele rachowano, jakoby tem większe przedstawiał nadzieje, im zupełniéj ma skompletowane świadectwa skończonych szkół lub *maturitatis*. Gdzie to nieszczęście najwięcéj grasuje, tam duchowni i zakonnicy większym bywają kłopotem dla kościoła, niż sami przeciwnicy. Gdzie przeciwnie w przyjmowaniu i próbie przedewszystkiem uważają na przymioty serca, na skłonności i kwalifikacye, które świadczą o rzeczywistości i stopniu powołania, tam duchowni niebędą może filozofami, geologami, botanistami, literatami, filologami, ale będą tem, czem być powinni, będą sługami bożymi, będą siłą i pociechą kościoła. Z drugiéj strony, wszelkie obawy, aby się duchowieństwo nieznalazło w braku światła, jakiego nawet dzisiejszy świat wymaga, są bezzasadne a może nawet nieszczere. Bo najprzód, sprawa, któréj duchowieństwo ma służyć nie stoi światłem nauki ludzkiéj, ale światłem boskiém; bo powtóre duchowieństwo nie na to się kształci, aby czyniło zadość wymagalnościom świata, który był i jest zawsze ten sam i którego mądrość jest głupstwem przed Bogiem, ale na to, żeby odpowiedziało godnie wymagalnościom swego stanu, którego celem jest szukanie królestwa Bożego; bo po trzecie, doświadczenie jak najsmutniéj uczy, że gdzie najwięcéj zwracano uwagi na wykształcenie umysłowe duchowieństwa z zaniedbaniem strony praktycznéj, tam najmniéj prawdziwie uczonych i głębokich teologów, mowców, spowiedników i missyonarzy, tam są tylko owe *uczonostki*, z któremi niewiedzieć, co robić i

jak się niemi posłużyć, a któremi się często przeciwko kościołowi posługuje świat; bo nakoniec zawsze i wszędzie gdzie w przyjmowaniu i kształceniu młodzieży na duchownych rządzono się duchem ewangelii, nauką, prawami i radami kościoła, tam chociaż niewiele zwracają uwagi na świadectwa szkolne lub uniwersyteckie, nigdy przecież niebraknie ludzi wyższych zdolności i wyższéj nauki, którzy przy rozwinięciu duchowém, przy żywém przejęciu się świętością swego posłannictwa, przy żarliwéj miłości kościoła, przy dobrze ustalonéj pobożności sami zrozumieć są zdolni, w jakim celu ze strony umysłowéj Bóg ich więcéj uposażył, i tym są pokorniejszemi a w usłużeniu Bogu żarliwszemi im lepiéj czują, że więcéj wziąwszy, ściśléj też kiedyś rachować się będą [1]).

Otóż, jak powiedzieliśmy, Ravignan w przyjęciu swojem do zakonu widział łaskę Boga i dobrą wolę ludzi. Kiedy czuł, że coś dla niego czynią ze względu na jego przeszłość, radby był całą tę przeszłość jakkolwiek piękną i nie czyniącą wyrzutu przemazać, aby z téj strony niczem się nieróżnić od swych współbraci i tem zupełniéj być z nimi jedno. Tak zaś po prostu, tak naturalnie starał się wypełniać przepisy, że choć nieraz żywsza żarliwość unosiła go nieco wyżéj, on pracował, on walczył z sobą, aby się utrzymać na zwyczajnéj drodze i aby w niczem współtowarzyszy nie przewyższać. A współtowarzysze dobrze to czuli, więc też taką otoczyli go przyjaźnią, takim szacunkiem, że nieraz biedny nowicyusz mocno nad tem cierpiał, iż mimo woli stawał się codziennie więcéj przedmiotem (tak zwanéj w języku zakonnym) *partykularnéj miłości*. Niezadługo, na

---

[1]) Tanto ergo esse humilior, atque ad serviendum Deo promptior quisque debet ex munere suo, quanto se obligatiorem esse conspicit in reddenda ratione (*S. Greg. P. Hom. 9 in Evang.*)

przekór światu, ktory bądź z niewiadomości, bądź z zawiści utrzymuje, że w zakonie jezuitów nie znoszą żadnéj wyższości i z reguły wszystko niwelują, na przekor mówię podobnym sądom, Ravignan sam niewiedząc o tem, począł nawet na starszych wywierać ów przeważny wpływ, jaki zwykle daje prawdziwa, niezaprzeczona wyższość. Naśladowali go sami nawet Ojcowie— zwykle go nazywali pomiędzy sobą *człowiekiem modlitwy*. Bo też on zawsze w tém cudownném a niewyczerpaném źródle czerpał z żywem pragnieniem i wiarą a jak dawniéj przez modlitwę, którą wyprzedzał i kończył swe prace, usposabiał się do każdego wystąpienia w izbach sądowych, tak teraz łączył ją ustawicznie z badaniem naukowem i każdą pracą, gotując się do wystąpienia w wielkim zawodzie profesorstwa i kaznodziejstwa.

Ale Ravignan miał dosyć piękny majątek. — Świat zaraz gotów powiedzieć: „dla tego też jezuici tak go chętnie przyjęli.“ — bo świat nigdy nie chce tego pojąć, że gdyby jezuici w saméj istocie w podobnych widokach działali, jużby dawno wszystkiemu powinni dać pokój a przynajmniéj tamby niepowracali, gdzie ich z wszystkiego obdzierają, i gdzie osobne prawa przeciwko wszelkim pojęciom o własności stanowią, aby nigdy do żadnéj własności przyjść nie mogli. A co do Ravignan'a, właśnie go dla tego tak chętnie przyjęli, że w ich oczach jak najchętniéj zrzekł się wszelkiéj własności na rzecz swéj rodziny. Kiedy przed nim stanął notaryusz publiczny, znający go przedtem i poważający, kiedy go objaśniono w jakim celu został wezwany, zapytał zdziwiony:

— Kogóż Pan postanowiłeś zrobić spadkobiercą?

— Moich braci i moje siostry — odrzekł Ravignan.

— Jakąż więc część majątku chcesz im przekazać?

— Wszystko, bez żadnego ograniczenia.

— Ale czy się Pan dobrze nad tem zastanowiłeś?

— Jak najdoskonaléj, to moja stanowcza wola.

— Pozwolisz jednak, iż Akt uskutecznienia téj woli odroczę do dni piętnastu, tymczasem może się Pan jeszcze rozmyślisz.

— Niech i tak będzie — ale za dni piętnaście nic innego Panu nie powiem, jak dzisiaj.

Po upływie dni piętanstu wezwano go do rozmownicy, gdzie nań czekał notaryusz i wchodzącego zagadnął:

— Eh bien! Monsieur l'Abbé?

— Eh bien! terminons.

I kontrakt został podpisany, a Ravignan zawołał z radością: „Bogu dzięki, teraz jestem zupełnie wolny, bo już nic nie mam.

Wszakże ta święta wolność, któréj się posiadaniem tak cieszył nie tyle zawisła na zerwaniu z tem co zewnątrz posiadamy, ile od owéj boskiéj harmonii duszy z Bogiem, polegającéj na wewnętrzném przekonaniu, że się nie działa z pobudek miłości własnéj, dla dogodzenia samemu sobie, ale że przez nas Bóg działa. „O jak często mówi ś. Grzegórz, nie jest nam trudno „zrzec się tego co mamy, ale dziwnie trudno wyjść „z samych siebie, przestać należyć do siebie, stać się „własnością Boga [2])!“ A Ravignan jakkolwiek za nic w świecie nie chciałby pomieniać nowo obranego stanu, jakkolwiek zrzekłszy się całkowicie i stanowiska w świecie i dosyć znacznego majątku, czuł, że serce jego za innemi tęskniło skarbami, że do zbierania tych skarbów już nie miał żadnéj przeszkody, czasami przecież czuł, że jakaś dziwna, niewysłowiona, dręcząca niespokoj-

---

[2]) Et fortasse laboriosum non est homini relinquere sua: sed valde laboriosum est relinquere semetipsum. *S: Greg. Hom. 32 in Evag.*

ność chwytała go za serce i gdyby nie ta otwartość bez granic, z jaką zawsze w podobnym razie przed starszymi otwierał to serce, niespokojność owa, jak sam wyznaje, nieraz byłaby go potrąciła w zwątpienie, czy w saméj istocie idzie za wolą Boga — czy wyrwawszy się z rąk świata nie wpadł w szpony egoizmu. Już jak widzieliśmy przed wejściem do Seminaryum dręczyły go podobne obawy z powodu przyjacielskich uwag p. Bellart — teraz po owym pięknym akcie zrzeczenia się wszelkiéj własności musiał przejść przez ogień daleko boleśniejszéj próby. Już nie świecki jakiś przyjaciel, ale mąż będący we Francyi chlubą kościoła, wielki w swym czasie obrońca Chrystyanizmu, mąż zajmujący wysoki stopień w hierarchii kościelnéj — biskup Frayssinous dowiedziawszy się, iż Seminarzysta Saint Sulpice przywdział sukienkę zakonną, zapytuje go w liście pełnym wyrażeń ojcowskiéj tkliwości „czy Bóg na to mu „udzielił tych pięknych talentów aby je schował pod „korzec? czy godziło się samemu, bez zasiągnienia „rady ludzi starszych, doświadczeńszych i miłujących „Boga rzucać się w stan, który w obecném społeczeń„stwie zdaje się, że do żadnego przyjść nie może wpły„wu?.... Czy zresztą nie było to zbytniem ufaniem sa„memu sobie, tak się prędko decydować na krok, od „którego może być, że zawisło wszystko, ale który nie„roztropnie wykonany może też i zgubić wszystko; tém „więcéj, że ludzie nawet wielkiego światła i doświad„czonéj cnoty z wielką ostrożnością zwykle sobie w téj „mierze postępowali . . . "itd. itd.

List ten wręczył mu sam rektor przeczytawszy go poprzednio według przepisów zakonnych i rzekł odchodząc te słowa:

— Czytaj, mój synu, i bądź spokojny; jeżeliby ci zaś chodziło o to, co masz odpisać — to, pomódl się gorąco i pisz co ci podda miłość Boga i miłość zba-

wienia — pamiętaj jednak, że to pisze do ciebie biskup, i że te wszystkie uwagi wypłynęły z jego pasterskiéj dla ciebie miłości.

Ravignan uczynił jak mu polecono — modlitwa wlała pokój w udręczoną nowemi obawami duszę — chociaż te obawy przez czas niejaki często wracały i wznawiały burzliwe przejścia. Z początku uczuł głęboki żal do biskupa — późniéj żal ten przeszedł w słodkie rozrzewnienie w uczucie niewysłowionéj wdzięczności dla Boga, iż kiedy w saméj istocie tylu innych tak długiemi i ciernistemi drogami zaledwie przyjść mogli do zrozumienia względem siebie woli Bożéj — on ją wyrozumiał tak prędko i łatwo... i wróciła dawna cichość, ale wróciła na zawsze. Była to jak sam wyznaje, najcięższa walka, ale też za to ostatnia — i biskup Freyssinous pisząc we trzy lata potem do jezuity Ravignana list swoj kończy temi słowy: „Błogo mi zamilknąć po „tylu latach pracy, gdy tobie mogę przekazać dotych„czasowe moje posłannictwo.“

Jako kapłan mianowany był najprzód profesorem teologii dogmatycznéj; nowy dowód, iż *Societas* umie oceniać prawdziwą wyższość pod każdym względém i w uczniach swoich to najusilniéj rozwija, w czém największe okazują zdolności, — dowód także, iż zna się na środkach rozwijania dostrzeżonego talentu i umie je zastósować, aby ów talent nie chybił swego przeznaczenia. Ażeby Ravignan już z natury usposobiony na mowcę, mógł wystąpić z całą głębokością i siłą nauczycielstwa, ażeby owe zdolności naturalne jak najlepiéj zużytecznić, ażeby przyszłemu kaznodziei dać silną podstawę i otworzyć jak najrozleglejsze pole działania, kazano mu uczyć dogmatyki, a tem samem badać dogmata wszechstronnie i już z wyższego stanowiska; te dogmata, bez znajomości których kaznodziejstwo chybia celu i schodzi albo na czcze gadulstwo, albo na

nudne moralizowanie. Ravignan z powierzonego sobie stanowiska bardzo był uszczęśliwiony i zaraz cały się oddał badaniom dogmatu, który zawsze był najulubieńszym przedmiotem prac wszystkich głębszych umysłów katolicyzmu. On widział w dogmatach nie samą tylko abstrakcyjną formę prawdy ale samą żywą, boską prawdę w rozlicznych stosunkach do ludzkiego rodu — on je pojmował jako światłość, żywioł i zasadę życia — on pojmował, iż sprawiedliwy dla tego *żyje z wiary*, że przez wiarę bierze w siebie dogmat, przez który znowu udziela się *Słowo wychodzące z ust Najwyższego*, będące przyczyną wszelkiego bytu i wszelkiego życia. A co tak pojmował, niepodobna, żeby się do tego nie palił. To też ogromna folia stały się dlań najmilszém towarzystwem po towarzystwie z Chrystusem i z braćmi. Podziwiał i naśladował świętego Bonawenturę, który u stóp krzyża przychodził do najwznioślejszych pomysłów, wszakże nie wnosił ztąd, jakoby ów doktor Seraficki pogardzał nauką i badaniem i jakoby można zostać wielkim teologiem trawiąc czas na próżnych gadaninach i towarzystwach bez celu. Mniéj się zajmował gazetami lub czytaniem autorów podających wielkie prawdy w mizernych ramkach encyklopedyzmu bez żadnego odniesienia do życia, jak obrazki na parawan, ale za to wertował ustawicznie Summę świętego Tomasza, Izaijasza proroka, ś. Pawła i ś. Augustyna, te swoje najulubieńsze księgi. Ani też przestawał na samém tych dzieł czytaniu, ale badał, zestawiał, medytował i jak po szczeblach mistycznéj skali to w górę wybiegał uogólniając prawdy podrzędne w Prawdzie wszech prawd, to zbiegał na niziny praktyczności wnioskując i szukając strony, którą się życie ludzkie o owe prawdy zaczepia. Obok tego wczytywał się w dzieła starożytnych, badał teogonią pogańską, wpatrywał się w dzieła herezyi, zbierał noty i tym sposobem gromadził owe skarby mądro-

ści i wiadomości z któremi potem stanął w obec dumnéj swą niewiarą Francyi aby jéj powiedzieć z słodyczą boskiego Mistrza: „jesteś ślepa i umierająca — oto „masz światłość i życie!“

Profesor dogmatyki nagle został wezwany przez arcybiskupa Paryzkiego aby wstąpił na mownicę Notre-Dame. Było to w roku 1837. — Rok przedtem na téjże saméj mownicy widziano Lacordair'a. — Utrzymać się na niéj z powodzeniem po takim mowcy, jak był Lacordaire rzecz trudna — wszyscy mówili, że niepodobna, ale kiedy się Paryż dowiedział, że następcą ma być Ravignan, tłumy niezliczone napełniły wielką Bazylikę a niecierpliwość oczekiwania była w całem znaczeniu tego wyrazu — gorączkowa.

Autor *Biografii Współczesnych* przystępując do konferencyi Ravignan'a utrzymuje, że w tym rodzaju wymowy religijnéj przewyższył wszystkich nie wyjmując nawet Lacordair'a, na co, jakkolwiek konferencye te mają niezawodnie swe wielkie zalety, zgodzić się przecież nie możemy. Sąd ów tak niby pochlebny, więcéj był wypływem osobistéj niechęci dla Lacordair'a, niżeli trzeźwego uwielbienia dla kaznodziejskich prac Ravignan'a. Konferencye tego ostatniego mogą mieć wyższość pod pewnym względem — one są wykończone, ściśléj teologiczne, ale słuchane a nawet czytane obok konferencyj Lacordair'a mniéj są wymowne, mniéj kaznodziejskie. Aby zrozumieć w czem się głównie różnią dość jest powiedzieć, że Lacordaire mówił zawsze z natchnienia, a Ravignan pomysły swoje spisywał, porządkował i już w doskonale urządzonéj formie wynosił w swéj pamięci na ambonę. W porównaniu z innemi mowcami, mniéj jest harmonijny niż Frayssinous, za to więcéj ma rzeczy; — mniéj rozprawia niż Bautain za to więcéj uczy; Cambalot piękniéj maluje cnoty ewangieliczne, on zaś dzielniéj je wpaja; O. Felix uczeniéj przedstawia, ileby

społeczeństwo zyskało gdyby chciało być jedno z kościołem, on zaś społeczeństwo do którego mówi zniewala, aby nie było czem innem, *tylko Kościołem.* O. Felix walczy z teoryami antykatolickiemi i wykazuje jak straszliwie wpływają na życie indywidualne, rodzinne i społeczne — a O. Ravignan nie chce o nich wiedzieć, ani ich wspomina, jakby uważał ich nazwy za profanacyą miejsca, z którego zawsze tenże sam Chrystus przemawia ale za to taką wpaja miłość prawd katolickich, że przed ich ciepłem wszystkie owe zasady jak brudne mgły pierzchają; jedném słowem O. Felix, któremu dzisiaj po Lacorderze i Ravignanie jakby w wyłączny monopol oddano ambonę Notre-Dame, tém najwięcéj różni się od nich, że kiedy tamci podnosili dusze opustoszałe przez niewiarę, złamane zwątpieniem, sponiewierane nędzą bez ubóstwa, boleścią bez krzyża — on tymczasem wszedłszy na opuszczone przez nich pobojowisko uciera się z podnoszącemi głowę tu i owdzie doktrynami, aby na nowo dusz rozjaśnionych, posilonych, pocieszonych nie obałamucały. Można powiedzieć, że jak Lacordaire jest drugim rozdziałem Frayssinousa, tak Ravignan w swoich konferencyach jest trzecim rozdziałem Lacordair'a, tak nakoniec O. Felix jest epilogiem całego dzieła. On kończy szereg mowców porestauracyjnych, których posłannictwem była walka nietylko przeciw naukom i dążnościom antykatolickim, ale i przeciw wszelkim projektom zgody i wzajemnych koncessyj między tem co jest z Chrystusa a tem co jest z ojca kłamstwa. Konferencye Notre-Dame były jednym z owych działaczy, które przygotowały pokój między Francyą a Kościołem, one nam przypomniały tę świetną epokę, w któréj pierwsi Ojcowie pracowali nad podbiciem społeczności pogańskiéj pod panowanie Chrystusa, zobaczmyż jakie są w téj mierze zasługi Ravignan'a.

Krytycy *à la Revue des Deux Mondes*, ludzie, którzy żywiąc całą nienawiść przeciw kościołowi, dla tego tylko przeciwko niemu otwarcie nie walczą, żeby do reszty nie stracili popularności w obec społeczeństwa, które jak najwyraźniéj powiedziało, *że jest i chce być katolickiém*; ludzie którzy tonem śmiesznego umiarkowania wszystko krytykują na niekorzyść, co tylko silniéj w imieniu katolicyzmu wystąpi, którzy przy całéj swojéj układności, chęci zgody, galantomii względem tego co nienawidzą zbliżają się, że tak powiem na paluszkach do wszystkiego co stanowi sprawę katolicyzmu, podglądają, podsłuchują a nie mogąc nic wynaleść, chwalą bezczelnie co koniecznie chcieliby zmieszać z błotem, chwalą dla tego, żeby od pochwały mogli przejść do pewnego *ale* i dostrzegłszy niby jakiéjś słabéj strony wskazują takową łatwowiernym i nieświadomym mówiąc z judaszowskiém ubolewaniem: „Ach! to przecie nie jest tak dobre, czyste „i piękne jak wam się zdawało" — tacy ludzie dowodzili i dowodzą bardzo obszernie, że jak Lacordaire tak i Ravignan nie są bez *pewnéj* wartości, że wszakże katolicy błądzą grubo, jeżeli rozumieją, jakoby ich konferencye jako apologia miały jakąś rzeczywistą wartość, że one więcéj zaszkodziły sprawie religii, niż jéj pomogły. Ale dla czego? Pan Alexander Thomas w jednym z swych artykułów, gdzie mówi o konferencyach Lacordair'a odpowiada: „Dla tego, że stanęli na gruncie wcale niekatolickim, dla tego że zeszli ze stanowiska tradycyi, że się nawet znajdują w pewnéj sprzeczności z tradycyą?" Z jaką tradycyą? Czy z tradycyą kościoła katolickiego? „To nie, ale z tradycyą kościoła we Fran„cyi — według nich Bossuet, to gallikanin, więc na „bok z nim, bo moda jest być ultramontanem. Fene„lon nie więcéj wart, bo zanadto pachnie wiekiem ośm„nastym. Massillon, to biskup-dworak a dzisiaj moda „należyć do oppozycyi, odwoływać się przeciw rozpo-

„rządzeniom królewskim do paragrafów prawa kanoni-„cznego lub bo decyzyi Rzymu [3])“. I myślałby kto, że to krytyk gruntownie katolicki, bo przecie katolicyzm każdą powagę podnosi, uświęca, tymczasem to tylko zręczna appellacya już nie do usposobień Gallikanizmu, którem jak niegdyś jansenizmem grzecznie szarpano kościół, a który Bogu dzięki już tylko jako nieboszczyk tu i owdzie jeszcze wspominany, lecz appellacya do katolików, którzy w prostoduszności, lub zarozumiałości wierzą mocno, że gdyby nie Bossuet, jużby Kościół dawno był zaginął, lub też po prostu do próżności narodowéj. Chcesz się przekonać, czytaj co w tymże samém przeglądzie piszą o kilka numerów wprzód lub potem panowie *Consortes*. Czytaj naprzykład co o konferencyach Lacordair'a i Ravignan'a trzyma P. Emile Saisset. Według niego prace kaznodziejskie tych dwóch mowców nie mogą mieć żadnego wpływu, bo to są odgrzewania rzeczy dawnych, które dla dzisiejszego społeczeństwa wszelki smak straciły [4]). Czytaj co w tym samym roku napisał p. Luandre. Oto są jego słowa: „Ravignan najznakomitszy reprezentant *szkoły starożytnéj* z całą powagą, poprawnością i metodą kaznodziei zakonu, do którego należy.... Ravignan zawsze *poddany niezłomnym prawom tradycyi* (soumis aux règles inflexibles de la tradition) — on przedstawia *przeszłość* w ciągłych zapasach z postępującym duchem czasu — on przez powagę swych ruchów przez jakiś wyraz ascetyzmu, przez duchowość malującą się w obliczu i całéj postaci ma coś w sobie świętego, czem pociąga i zniewala“. (Dotąd pochwała — teraz *ale*). „Wszakże

---

[3]) Les Sermons de M. Lacordaire par M. A. Thomas. (Revue des deux Mondes 1845. N. 4. Avril).

[4]) De la Philosophie du Clergé. VI. p. E. Saisset (1844. N. 4. Avril).

kazania jego działają daleko silniéj na niewiasty, niż na umysły męzkie, bo ten zapał miłości, z jakim zwykle mówi działa daleko więcéj na wyobraźnią niż na umysł." I dla czego jeszcze? „Dla tego, że jego pomysły są to rzeczy dawne, znane, tylko w nową przystrojone formę. Dla tego, że w myślach brak oryginalności, że się niczem nie odznaczają, że za nadto się wdaje w dyskussye dogmatyczne. Gdy walczy skeptycyzm albo herezye wciąż się ucieka do faktów i dowodów historycznych; w przedstawieniu prawd religijnych, w dowodzeniu ich boskości wciąż się powołuje na świadectwa... itd. itd. [5]).

Tak więc, co według jednego, *gdyby było w mowcy*, byłoby dopełnieniem jego wartości, to według drugiego właśnie dla tego, że *jest w mowcy*, stanowi jego słabą stronę. Nieprzytaczalibyśmy tego rodzaju krytyki, gdyby szło tylko o to, jak w niéj prace Ravignan'a ocenia szkoła tak zwanych umiarkowanych, któréj stanowisko mimo całego pozoru umiarkowania, wyrachowane jest zawsze z pokrytym fanatyzmem na zniweczenie wzrastającéj popularności katolicyzmu. We Francyi, gdzie opinia publiczna pod względem religijnym dzieli się na dwa obrazy, *za* i *przeciw;* gdzie jak przychylność tak i nieprzychylność jest zawsze *ultra;* we Francyi, gdzie zasady o tyle tylko mają szansy na polu działania o ile są wyraźnie i stanowczo oznaczone; we Francyi powtarzamy, tego rodzaju dwulicowa propaganda najmniéj pewnie jest niebezpieczną. Dzienniki, przeglądy i dzieła w jéj duchu pisane, być może, iż mają najwięcéj prenumeratorów, alebym powiedział, że właśnie dla tego, najmniéj mają popularności. Nikt może więcéj

---

[5]) **Du Mouvement Catholique, dernier partie, par M. Ch. Louadre (1844 N. 2. Fèvrier).**

niemiał czytelników jak Lamartine lub Thiers a pomimo tego na polu działania nikt podobną większością głosów odepchnięty niebył. Przecież niepiszemy dla Francyi — a u nas w skutek niestałości, albo raczéj braku opinii, rzeczy stoją zupełnie inaczéj. Dwójznaczność u nas wielką odgrywa rolę, nie dla tego, żeby miała leżeć w naszym charakterze, ale dla tego, że często pod względem zasad sami niewiemy czego chcemy, lub też niewiemy czego i jak chcieć. To usposobienie sprawia, że zwykle jesteśmy skłonni iść za opinią katolicką, byle nieszła za nadto daleko i wciąż przeciwko temu *nadto* protestujemy. Zeszedłszy z granitowéj opoki wiary, która nam wystarczała za próbierz milion razy pewniejszy niż *to*, co świat dzisiejszy zowie *opinią* i co jest jego wyrocznią, a ledwie stanąwszy na tym nowym, elastycznym i ustawicznie chwiejącym się gruncie, to najłatwiéj przyjmujemy, ku wyrabianiu zasad, co w saméj istocie robi nas ludźmi bez zasad. Ztąd idzie, że nawet dzieła i czasopisma najwyraźniéj antykatolickie, jakiemi naprzykład były dzieła Trentowskiego, lub czasopisma poznańskie, jakkolwiek przemawiające do wszystkich naszych słabostek i z gorączkowym szałem czytane, nieosiągnęły przecież zamierzonego skutku, tylko owo chwianie się umysłów zwiększyły. Ztąd idzie, że pisma najgruntowniéj katolickie, pisma najzbawienniejszych i silnie zdecydowanych dążności przyjęte były z pewną śmieszną nieufnością, lub (mówiąc prawdę), z obawy onego *nadto* wcale nieprzyjęte. Ztąd idzie, że każda hegeliańska czy prudhonowska doktryna złagodzona jakowąś dozą katolickich pojęć, lub wcale tylko katolickich wyrażeń, staje się dla słuchających albo czytających prawidłem pojmowania, rozumowania i sądu. Ztąd też nakoniec i owa zachodnia literatura gazeciarska albo przeglądowa panów de Sacy, de Broglie, de Remusat, de Saisset i mnóstwa innych, jest dla wielu

jak owe *Verba Magistri*, na któreby może nieprzysięgli, ale któremi przecie umysły swe karmią jako chlebem nadzwyczaj do strawienia łatwym, ale też dla tego pozór tylko siły dającym. A przecie nie jest to rzecz do pominięcia, kiedy się zważy, że owo wygodne złudzenie staje się potem punktem wyjścia do sądzenia o ludziach i rzeczach a tem samem wpływa na wytwarzanie opinii w massach już i tak dziwnie pozornéj i niebezpiecznéj. Mniejsza byłoby jeszcze, gdyby szło tylko o ocenienie tego lub owego pisarza, publicysty lub mowcy pod względem ich literackiéj wartości, ale niemniejsza, kiedy ów pisarz czy mowca jest oceniany jako reprezentant pewnéj akcyi lub reakcyi, jako wyraz pewnego społecznego ruchu [6]). Dla tego pozwoliliśmy sobie na to może przydługie zboczenie, ale wcale nie od rzeczy; wiemy bowiem, że jak naprzykład oburzano się na owe szlachetne zapasy, które duchowieństwo francuzkie stacza z gallikanizmem — a oburzano się jedynie dla tego, że według Revue des deux Mondes, walka ta idzie za daleko, że jest zabójstwem tradycyi(?) — tak podobnie z podejrzeniem mówią o działaniu znakomitszych duchownych, coraz to zbawienniejszy wpływ wywierających, nie na same kobiety, jak pisze pan Luandre, i jak u nas *powtarzają*, ale na wszystkie warstwy społeczeństwa. Że tak piszą pokryci nieprzyjaciele sprawy katolickiéj, usiłując tym sposobem odwrócić od niéj umysły chcące uchodzić za *męzkie*, to niedziwno, ale że to u nas powtarzają tak lekkomyślnie ludzie uchodzący za katolików; ludzie, których w żaden sposób niemożnaby podejrzywać o intencye wprost prze-

---

[6]) Artykuł p. Luandre, z którego przytoczyliśmy powyżéj krytykę Ravignan'a właśnie jak tego rodzaju — sam autor nazwał go rozprawą *O ruchu katolickim*. Nieidzie mu o Ravignan'a ale o ruch w jakim Ravignan wziął udział.

ciwne wyznawanym głośno zasadom — to istotnie byłoby nie do pojęcia gdyby z drugiéj strony od zarzutu dwójznaczności, nie broniła ich ta smutna prawda, że owo wyznanie jest raczéj przyznawaniem się do zasad, których się wcale niema.

Ale wróćmy do Ravignan'a.

Oto co o nim pisze jeden z redaktorów *l'Université Catholique:*

Ravignan w konferencyach swoich nieokazał wprawdzie owych na pierwsze wejrzenie uderzających wielkiego mowcy przymiotów, jakimi Opatrzność czuwająca nad społecznością naszą uposażyła Lacordair'a, ale też za to wolny od wszystkiego, co w dominikanie raziło, co stanowi jego słabą stronę, posiada wszystko co do mówienia z silnem i stałem wrażeniem pomaga. Jasność myśli, łatwość przekonywania a zwłaszcza żelazna we wszystkiem loiczność oraz słodycz i spokojność obok zapału, który go nieopuszcza na chwilę i najściśléj teologiczne wywody ożywia, oto są przymioty, któremi niezawodnie z poprzedzicielem swoim staje na równi. Ktoś powiedział, że kiedy słuchając Lacordair'a trudno jest wstrzymać się od poklasku, to podczas gdy mówi Ravignan, serca słuchaczów uderzają w poklask wdzięczności przed Bogiem. Gdy mówi Lacordaire rzekłbyś, że głowy słuchaczów się palą, a gdy się odezwie Ravignan słowo jego rozjaśnia umysły a zagrzewa serca. Tamten zdobywa skutkiem niesłychanego entuzyazmu jaki obudza przez niezrównaną swą oryginalność i wielu wierzy temu, co on mówi, dla tego właśnie *że on mówi*; ten zaś każe miłować prawdę, dla tego, że jest piękną, wielką, boską, dla tego, że jest prawdą i sama przez się jest miłości godną. Gdy na konferencye Lacordair'a cisną się tłumy pociągnięte urokiem jego indywidualności — Ravignan'a tymczasem biegną słuchać z potrzeby, aby się nauczyć i wzmocnić. Lacordaire skutkiem swych

stosunków z Lamenem pojęcia religijne często mięszał z politycznemi i tak je nawet nieraz wynosił na ambonę; Ravignan w całéj czystości opowiadał Słowo Pańskie, a na jego ustach nigdy nic takiego niepostało, coby w nim mogło zdradzać człowieka téj lub owéj barwy politycznéj. Kiedy ktoś zrobił mu z téj strony zarzut on miał odpowiedzieć: „pozwól mi pan, abym o ile Bóg „pozwala był wszystkiem dla wszystkich; a kiedy wier„nych Chrystusowych tak smutno dzielą czasowe poję„cia, pozwól mnie kapłanowi zbliżać i jednoczyć boskiéj „prawdy pojęciami. Nasza polityka — to miłość wszy„stkich ludzi w Bogu i dla Boga.“ Komuś innemu czyniącemu podobny zarzut odrzekł z słodyczą: „to „wszystko mój bracie niewarto jednego Ojcze nasz.“

12 lutego 1837 roku rozpoczął konferencye. Przedmiot był ważny i zajmujący; to co mówił, dowodziło, że znał dobrze swój czas i wiedział czemu społeczeństwo trzymało się prawdy, a czem od niéj odstawało. Najprzód wykazał, że to społeczeństwo niemoże być jak tylko katolickie, bo to, co stanowi jego żywioły wzięte jest z katolicyzmu i gwałtem do niego prowadzi; potem przedstawił jako społeczeństwo będąc w walce z katolicyzmem, jest tem samem w walce z sobą i wykazał powody téj walki. W tem pierwszem wystąpieniu pokazał się równie wielkim znawcą dziejów, literatury i ludzkiego serca jak głębokim teologiem. Obraz postępu katolicyzmu w obec postępu umiejętności był śmiały, rozległy i wykończony — wrażenie było ogromne. Nazajutrz dzienniki pełne były sprawozdań i recenzyj, już to o samym mowcy — już o tem co mówił już wreszcie o dążnościach rozpoczętych konferencyj. *Constitutionnel* nieposiadał się z gniewu — groził stolicy uknowaną machinacyą przez jezuitów — ostrzegał, że jeżli Ravignan wystąpi podobnie jeszcze kilka razy, to się wnet za nim ukaże w Paryżu cała armia synów Lojoli.

Inny tejże barwy dziennik upatrywał w dążności *nowego słowa* chęć zaczepiania Uniwersytetu a nawet wypowiedzenia mu wojny. Czemużby *nie*, jeżeli w saméj rzeczy uniwersytet czuł się sam w wojnie z katolicyzmem, którego obronę wielki mowca podjął?

W konferencyi następnéj dowodził równie szczęśliwie że zaprzeczenie grzechu pierworodnego [7]) jest przyczyną wszystkich błędów i całego nieszczęścia społeczności męczącéj się z złem po za sobą a zwiększającéj je w sobie. W tłumie słuchaczów można było widzieć dwóch biskupów oraz internuncyusza rzymskiego. Chateaubriand i Berryer żadnéj konferencyi nie opuścili. Mowca silne pomysły de Maistra wprowadził na najwyższe przyczoła teologiczne. Pod światłem zasadniczego dogmatu katolicyzmu o upadku pierwszego człowieka jak pod światłem krwawéj pochodni poglądał z wysoka na dzieje, to znów zstępował w tajniki ludzkiéj natury i wskazywał straszliwe jéj upadku ślady. Mówiąc o Bossuecie jako o człowieku, który najgłębiéj pojmował historyę ludzkiego rodzaju tak się odzywa: „Zjawił się Bossuet „i objąwszy spojrzeniem orła ten niezmierzony łańcuch „pokoleń, którego my wszyscy jesteśmy zaledwie dojrzanemi ogniwami, widział, jak się w nim olbrzymiemi zarysami objawiała ta myśl boska, która w odwieczności przygotowała nieomylny środek naprawy „dla upadłego stworzenia. Cała historya ludzkiego rodu była przed jego oczyma jak jeden wielki obraz, „którego pierwszym wyrazem był grzech pierworodny, „a ostatnim odkupienie. Upadek monarchii, tworzenie „się na ich gruzach coraz to nowych społeczeństw, zjawianie się wielkich wojowników, ich powodzenie w pod-

---

[7]) **Deuxieme Conference. Que le dogme du péché originel est la seule base de la véritable philosophie; de l' histoire. 19 Février 1837.**

„bijaniu narodów, zbrodnie tyranii, szaleństwa ludowe, „straszliwe szamotanie się anarchii z despotyzmem i de„spotyzmu z anarchią, wszystko to we wzniosłem jego „pojęciu pracowało nad spełnieniem wyroku sprawie„dliwości i miłosierdzia boskiego, wszystko ostatecznie „służyło mającemu przyjść Zbawcy Jezusowi Chrystu„sowi. Gdyby dziejopisarze chcieli mieć zawsze ten wzór „przed oczyma, gdyby się wzniosła filozofia historyi na tę „wysokość gdybyście czytając i rozważając dzieje ludzkie„go rodzaju na takim oparli się gruncie, gdybyście to wszy„stko, co się stało za własnéj waszéj pamięci i co obe„cnie się dzieje, co was otacza, dotyka, zdumiewa, „przeraża, zasmuca i boli podobnie stawiali między „przyczyną, którą jest grzech, a celem, ktorym jest „odkupienie — O wtenczas wszystko byłoby zrozumiałe, „jasne, a nie jak bywa zwykle, ciemne, straszliwe i „w przepaść rozpaczy spychające!“

W dalszych konferencyach przedstawił dzieje *Prawdy* począwszy od pierwotnego objawienia aż do Jezusa Chrystusa i wykazał najprzód; jako w religii pierwotnéj; w podaniach patryarchalnych, w całéj epoce przed Mojżeszowéj, ta Prawda mimo niezliczonych błędów i zbrodni, kalających drogę, którą w tym czasie przeszedł ludzki rodzaj, przechowała się cudownie zawsze czysta, niezwyciężona, tryumfująca! Jeden z najznakomitszych tegoczesnych pisarzy katolickich Donozo Cortez w swém nieśmiertelném, acz małéj objętości dziele *O katolicyzmie i socyalizmie* widocznie miał przed sobą te konferencye, kiedy kreślił obraz społeczności pierwotnéj, rozbitéj i tonącéj wśród bezbrzeżnego oceanu piętrzącego się coraz to nowym buntem przeciw niebu — obraz społeczności wciąż spiknionéj przeciw prawdzie, a mimo tego, siłą téj prawdy uratowanéj. Obraz ten przepychem kolorytu, potęgą expressyi niezawodnie przewyższa wszystko, co w téj mierze w czasach naszych powiedziano lub

napisano, ale mistrzowi nie ubliża to wcale, że kreśląc wielki dziejowy epizod radził się mowcy, który na rzeczy spoglądał z Bosuetowskiéj wysokości.

Po przedstawieniu pochodu prawdy w czasach religii pierwotnéj, przeszedł następnie do epoki Mojżeszowéj. Tu wyłożył znaczenie teokracyi tak fałszywie zwykle pojmowanéj i jeszcze raz dowiódł jak się głęboko wtajemniczył w myśl Bossueta, gdy wykazał; iż katolicyzm w swoich pojęciach o Władzy i w swoich dążnościach nigdy nie wiódł ani wiedzie do teokracyi; że teokracya była tylko dziejowym momentem prawdy, że ta prawda już jéj dzisiaj nie potrzebuje objąwszy wszystkie stosunki i przewodnicząc rodzajowi ludzkiemu w poszukiwaniu królestwa Bożego, które raz na zawsze odbudował Chrystus — a w obec którego teokracya Mojżeszowa ma już tylko znaczenie figury. Wystawiwszy daléj wszystkie zgrozy poganizmu, tego wielkiego odszczepieństwa od prawdy, dowodzi, iż bałwochwalstwo w swoich tradycyach jest najświetniejszym téj prawdy tryumfem a zadając sobie to zapytanie z De Maistre'm:

„*Quelle vérité ne se trouve pas dans le Paganisme* [8])?

Wykazuje nareszcie z Bossuetem, że wszystkie błędy religij bałwochwalczych są tylko sfałszowanemi prawdami.

W dalszéj konferencyi przedstawił prawdę idącą w krwawe zapasy z pogaństwem w chwili ukazania się Chrystyanizmu — i zakończył obrazem jéj stanowczego tryumfu. Walki i zwycięztwa prawdy pod panowaniem ewangelii, były przedmiotem zapowiedzianego słowa na Niedzielę następną. Napływ słuchaczy tak był wielki, że się prawie duszono, a mimo tego głos mowcy zwy-

---

8) **Tem zapytaniem de Maistre rozpoczyna traktat „*O ofiarach Théorie chretienne de Sacrifices*, jako ustęp dodatkowy do Wieczorów Petersburgskich.**

kle niedonośny, tą razą mimo nadzwyczajnego ścisku wszędzie był słyszany. Ravignan nie mogąc rozszerzyć świątyni, zdawało się, że rozszerzył swe piersi. Była to szkoła miłości, ale ta szkoła wiele kosztowała mowcę, Wszakże pojmuje się bardzo, że dla przychodzących słuchać z taką chciwością o tryumfach Zbawiciela — błogoby było nie tylko kilka lat życia poświęcić, ale choćby też od razu całe życie oddać. Konferencya ta powszechnie była uznana za najpiękniejszą. Mówił, jak przeciwko Prawdzie tryumfującéj na gruzach majestatu bogów a uznanéj i uwielbionéj przez majestat Cezarów wystąpił do walki Ojciec kłamstwa w postaci filozofów liżących stopy ukoronowanego Apostaty, a potem w postaci herezyi, zwłaszcza aryanizmu i jako z téj walki prawda broniona krwią nowych męczenników i żarliwością biskupów wyszła jeszcze piękniejszą i potężniejszą. W konferencyi przedostatniéj odmalował dwojaką napaść fałszu przeciw Oblubienicy Pańskiéj, pierwszą przez miecz i ogień, czyli przez fanatyzm Mahometyzmu, drugą przez biblią i rozum, czyli przez fanatyzm protestantyzmu. Portrety Mahometa i Lutra zdają się być Tacytowską ręką wykonane. Kończąc ten pierwszy oddział, zesumował wszystko, co był dotąd powiedział i ostateczną konkluzyę zamknął w tych trzech słowach: *le catholicisme est un fait accompli* [9]).

Kiedy już skończył i w słowach zwróconych ku arcypasterzowi oświadczył jak najtkliwiéj wdzięczność swoją, iż mu pozwolił wziąść udział w téj nowego rodzaju missyi, a z podziękowaniem za chętne przyjęcie słowa, przez które usiłował przelać w ich serca miłość Chrystusa i miłość kościoła połączył cudnie piękne wyznanie pokory, — wówczas arcybiskup, którego oblicze rozjaśniało wyrazem apostolskiéj radości i dumy, wy-

---

[9]) Septième Conférence. 10 Avril. 1837.

rzekł te słowa będące niezawodnie najpiękniejszą pochwałą mowcy:

„Najmilsi! Kiedy rok temu równie licznie zebrani że„gnaliście ulubionego mowcę udającego się do stolicy „Książęcia Apostołów po nowe światło i siły, żaden „z was zapewnie niedomyślał się, aby przed jego po„wrotem z tego świętego miejsca mogło z równą mocą „brzmieć słowo Pańskie. Tymczasem jak widzicie Bóg „dał wam kapłana, który w cichości i odosobnieniu „usposobił się na narzędzie łaski i pociechy. Dziękuj„cież mu i umiejcie okazać się godnymi tego *nowego „Chryzostoma* unosząc w sercach swoich głoszone wam „przezeń prawdy i czyniąc je prawem życia.“

W rok potém, Ravignan wezwany przez arcybiskupa ukazał się znowu w Notre-Dame. Tą razą już nietylko Quélen, ale i cała kapituła z wyższém i niższém duchowieństwem oraz cała katolicka publiczność oświadczyły się za nim. Lacordaire był jeszcze w Rzymie i nie prędko myślał powracać, dopóki zaś on niewracał, prawie już niepodobieństwem było dzieło konferencyi komuś innemu jak Ravignan'owi powierzać. Rodzaj kaznodziejstwa de Dupanloup, de Guerry, de Combalot po tém wszystkiém, co Paryż przez dwa lata słyszał już był nieco za słaby. Jakkolwiek bowiem mowcy tego rodzaju mówili zawsze z wyższym talentem i gorliwością, to przecież ambonę metropolii już za nadto świetna otaczała aureola, ażeby tam mogli być słuchanymi i z zajęciem i z pożytkiem. Zresztą szło głównie o to, żeby jak najwięcéj pociągnąć dusz i sprawie dobréj pozyskać, nikt przeto nie mógł mieć za złe téj preferencyi, ale owszem każdy lepiéj myślący i życzący kościołowi chętnie się na nią zgadzał.

Zatém jak powiedzieliśmy, Ravignan znowu się odezwał, a zapał z jakim był przyjęty z niczém porównać się nie da. Mówił o katolickiém pojęciu Boga.— W tym

tak trudnym przedmiocie a szczególniéj trudnym dla kaznodziei, który nie może przemawiać ani jako filozof, ani jako teolog, ale musi nauczać w formie popularnéj — w tym przedmiocie, który jest najważniejszym i najpierwszym punktem spornym pomiędzy racyonalizmem a katolicyzmem — mowca uniknął szczęśliwie dwóch szkopułów, o które się zwykle rozbijają systemata tak zwane filozoficzno-teologiczne. Oznaczając granice rozumu nie zaprzeczył mu jego praw ani możności w dochodzeniu egzystencyi Boga — ale z drugiéj strony przedstawiając, co rozum pod tym względem *może*, wypowiedział zaraz z nader silnym przyciskiem *jego absolutną niemożność pojęcia osobowości Boga.* Rozum może dowieść, że Bóg jest, bo człowiek ma ideę Boga a jak się wyraża de Maistre: nie można mieć idei tego, co nie istnieje [10]), ale ze względu na pojęcie Boga rozum jest ciemny i niepłodny. W konferencyach z roku 1843 [11]) dotykając tegoż samego przedmiotu tak się wyraża: „Od „sześciu tysięcy lat rozum szuka i szuka a wiele razy „się dotknie owych wielkich idei, które człowiek nosi „wyryte w swojém sumieniu, wielekroć razy chce do„wieść nieśmiertelności duszy, osobowości Boga, stosun„ków duszy z Bogiem lub jéj ostatecznych przeznaczeń, „tyle razy znajdował i znajduje zwątpienie i rozpacz.“

Przedstawiwszy chrześcijańskie pojęcie Boga, przeszedł następnie do działania boskiego, czyli do pojęcia Opatrzności [12]). Konferencya ta jest arcydziełem dyalektyki. Tu wykazał, jako samo pojęcie Boga wiedzie wprost konieczném następstwem do pocieszającéj idei Opatrzności. Samo *złe moralne*, którego widok wprawia rozum w jak największy kłopot, lub po prostu jest dla

---

[10]) Les Soirées de Saint Petersbourg. Tom II. Huitième Entretien.
[11]) Conferences de Notre-Dame 5 mai 1843.
[12]) Conference sur l'action divine et le naturalisme 11 mars 1838.

niego argumentem przeciw istnieniu Boga, samo to *złe* wlokąc za sobą łańcuch *złego fizycznego* dowodzi Katolikom, że Bóg jest i jest sprawiedliwy i jest opatrzny. Kiedy filozof materyalista jako ów szalony w Psalmiście powiada: „jest złe, więc nie ma Boga, który gdyby był, więc albo mógłby złemu zaradzić, tylkoby nie chciał a wtenczas nie byłby dobrym, albo chciałby złemu zaradzić, tylko by nie mógł a wtenczas nie byłby wszechmocnym“, — kiedy z drugiéj strony filozof racyonalista powiada, iż ponieważ złe w sobie sprzeciwiałoby się pojęciu bóstwa, *więc* to złe rzeczywiście nie istnieje i jest tylko pewną względną formą bytu lub formą naszego pojmowania, — kiedy nakoniec filozof fatalista utrzymuje, że gdy złe *jest równie* jak dobre, więc to złe jest objawem bóstwa równie jak i dobre, czyli że złe i dobre to dwa bóstwa w wiecznéj walce, — filozof katolik zawsze z jak najgłębszém przeświadczeniem powtarza: Bóg jest sprawiedliwy, który za wszystko dobre nagradza a za wszystko złe karze — i tą odpowiedzią katechizmową wyraża najwznioślejsze pojęcie Opatrzności Boga.

Konferencye o fatalizmie, o wolności, o nieśmiertelności duszy i o cechach nauczycielstwa religijnego mają pomiędzy sobą ściśle logiczny związek a odznaczają się wielką znajomością ludzkiego serca i głębokiém przejęciem się klassycznymi pisarzami kościoła. Święty Augustyn, święty Bonawentura i święty Tomasz zdają się być razem autorami tego systematu przeprowadzonego z żelazną ścisłością a wyłożonego z łatwością niezrównaną. Wszystko to było wielkie, nastręczające bardzo wiele do myślenia a przecież wszystko wszystkim przystępne i zrozumiałe. Bo czegóż miłość nie ułatwi, nie rozjaśni? — czego poświęcenie nie wpoi? Często słyszymy kaznodziei mówiących rzeczy zwykłe, proste, powtarzane, a mimo tego ciemne, zawiłe, trudne do zro-

zumienia dla wiernych — dla czego? Bo kaznodziei wszystko jedno, czy go kto zrozumié, czy nie, — czy kogo podniesie na duchu, rozjaśni, wzmocni, pocieszy, lub czy słuchacz jaki przyszedł, taki odejdzie! Ah gdyby przezeń mówiła miłość Chrystusa i miłość dusz ludzkich, wnetby się stał wymownym, jasnym, wnetby umysły zajął, serca ku dobremu skłonił. Ravignana rozumieją wszyscy, bo téż przez niego miłość apostołuje.

W roku 1839 — 17 lutego rozpoczął trzeci oddział i mówił o przesądach różnego rodzaju stawiających zaporę działaniu katolicyzmu. Do najstraszliwszych policzył przesądy uczonych, wątpiących, szukających a nieznajdujących nigdy. Przesądy prostego ludu to błogosławieństwo w porównaniu z tamtemi, które są zwykle wieczną negacyą. Po téj konferencyi ktoś o mowcy napisał te słowa: Ravignan kiedy mówi, to każdemu z jego słów oddaje świadectwo ta świętość, którą widzimy zawsze rozlaną w jego obliczu. Po całym roku milczenia staje przed nami jeszcze wymowniejszym.— Cóż go mogło podnieść na nową wysokość? Czy nowe prace— czy dnie i noce spędzone nad badaniem wielkich teologów i filozofów? Zapewnie, że i to, ale tak wielu pracuje a któż podobnie jak on do umysłów i serc przemawia? To go podniosło, co w jego obliczu tak pięknie jaśnieje, — podniosła go modlitwa, umartwienie, podniosły go ćwiczenia miłości nieskończenie dzielniejsze, niż wszystkie ćwiczenia nauki [13]).

Tegoż roku mówiąc o chrystyanizmie historycznym i mając przed sobą w tłumie słuchaczy kilku biskupów i mnóstwo znakomitości literackich, w ten sposób tłumaczył znaczenie zapowiedzianego przedmiotu: „Chcecież „wiedzieć, co rozumiem pod tém wyrażeniem *Chrystya-„nizm historyczny?* Jest to sam Chrystus żyjący w prze-

---

[13]) **L'Ami de la Religion.**

„szłości, teraźniejszości i przyszłości rodzaju ludzkiego. „Jest to nauka Zbawiciela świata, do któréj zakon nie„winności, zakon patryarchalny, zakon Mojżeszowy jest „tylko przepysznym wstępem. Jest to odkupienie w o„czekiwaniu, w spełnieniu, w działaniu. Słowem jest to „chrystyanizm wiary, chrystyanizm katolicki, chrystya„nizm nauczający, nawracający, uświęcający — chrystya„nizm-życie, które się objawia wszystkiém cokolwiek „widzicie, słyszycie i bierzecie w kościele. Najistotniej„szym typem, najprawdziwszą i niczém niezatartą ce„chą religii Jezusa Chrystusa jest właśnie to, że jest „historyczną. Historyczność to kamień próbierczy, który „najlepiéj pokazuje, czém są wszystkie Chrystyanizmy „niekatolickie, nie mające żadnéj przeszłości, na żadnym „boskim nie oparte czynie — w faktach swoich czysto „ziemskie, niekonsekwentne, same z sobą sprzeczne, „żadnego odniesienia do prawdziwych duchowych po„trzeb ludzkości nie mające. Ale taż sama historyczność „dowodzi, że katolicyzm, chrystyanizm, Ewangelia, Od„kupienie, Jezus Chrystus, Bóg i człowiek, to rzeczy „jak najżywotniejszym związkiem z sobą połączone. Więc „Chrystyanizm historyczny niczém inném nie jest, tylko „tém, co wierzono po wszystkie czasy, co zowiemy „Chrystyanizmem faktów, co odpowiada wszystkim szla„chetnym pragnieniom i nadziejom, co nam tłumaczy „wszystko, co jest balsamem na wszystkie boleści, co „samo jest zdolne ratować, podnieść i uspokoić dzisiej„szą społeczność [14]).

W konferencyach następnych przedstawia *cud historyczny* jako razem jednę z podstaw i jeden z objawów historycznego Chrystyanizmu. Lacordaire mówiąc w kilka lat potém w tymże samym przedmiocie, przewyższył

---

[14]) **Troisième Conférence, 3 mars, 1839, du Christianisme historique.**

go tylko sobie właściwą śmiałością poglądu i oryginalnością dowodzenia, przecież nie jest ani tak ścisłym, ani tak głębokim. W téj konferencyi jednego zdania, jednego słowa nie ma za nadto. Niepodobna dać jéj treści, bo cała zdaje się być treścią tego, co mowca nagromadził w głębi swego ducha. Nazajutrz p. Eugeniusz Briffaut felietonista dziennika *le Temps*, napisał, że *Ravignan jest więcéj kapłanem niżli wszystko duchowieństwo razem*. Przytaczamy ten frazes mimo całéj jego nieloiczności jedynie dla tego, aby dać poznać jak potężnym musiał być wpływ wywierany słowem Ravignan'a na opinią publiczną, kiedy mimo tego, że był jezuitą, pisarz znany z swoich niekatolickich zasad osądził za rzecz stósowną zamieścić jego pochwałę. Pochwała ta była wcale niekatolicką i krzywdzącą duchowieństwo najniesprawiedliwiéj — to prawda — wszakże gdy zważymy, że Ravignan był w całém znaczeniu tego wyrazu kapłanem i kaznodzieją *Societatis*, zawsze ona będzie chlubném świadectwem tryumfu, jako poklask nieprzyjaciela.

W przedstawieniu nauki Jezusa Chrystusa, jéj niezmienności pod względem istoty, jéj rozwoju pod względem formy, jéj działalności, wzniosłości i prostoty zdawał się być samą miłością wszystkiego co Chrystusowe. Słusznie napisano w ówczas, że aby podobnie widzieć i malować boską piękność owéj nauki, przedewszystkiém trzeba się w niéj rozmiłować — trzeba być głębokim ascetą. W tydzień potém mówiąc z textu: *Praedicamus Christum crucifixum Dei virtutem et Dei sapientiam* udowodnił, że cała mądrość, siła i działalność Chrystyanizmu płynie z krzyża, który jest najwznioślejszém wyrażeniem poświęcenia się Boga-Człowieka dla upadłych synów ludzkich. W téj konferencyi dowiódł także, że jest znawcą a zatém i miłośnikiem krzyża. W kilku słowach, przemówionych w celu zachęcenia do składek na

poratowanie mieszkańców Martyniki dotkniętych klęską trzęsienia ziemi, do łez rozrzewnił słuchacza. Kwesta była ogromna — dawali wszyscy nie wyjąwszy nawet protestantów i Żydów, których podczas konferencyi Lacordair'a i Ravignan'a zawsze było pełno. — Trzeci ten oddział zakończył tkliwém pożegnaniem, w którém się maluje niezmordowana żarliwość dla sprawy Bożéj i smutek, że znowu na czas niejaki przestanie się palić na ołtarzu poświęcenia. Oto są jego słowa: „Ciężko myśleć, że się znowu rozłączymy, ale rozłączenie to nasze w tém najcięższe dla mnie, że miłość Jezusa Chrystusa przestanie się waszym sercom udzielać przez moje usta. Wiecie jak tkliwe zawiązały się stosunki między Apostołem a tymi którym opowiadał Ewangelią i wiecie, że jak ich przedmiotem tak równie ich twórcą był Chrystus. Tenże sam Chrystus jest dzisiaj węzłem dusz waszych, a gdy tak jest — i cóż dziwnego, że was już żegnać nie umiem bez głębokiego wzruszenia. Wszakże dla tego samego, rozłączenie się nasze jest tylko pozorne. Pamięć o was będzie mi towarzyszyć wszędzie i gdy już przestanę mówić do was o Chrystusie, w ówczas z Chrystusem będę o was rozmawiać w modlitwie.....“

Arcybiskup Quélen odpowiedział mowcy w imieniu swojéj owczarni. Tą razą nazwał go wskrzeszonym Bossuetem (*c'est Bossuet en chaire.....*), a Ravignan odwdzięczył się w kilka miesięcy potem za to wyrażenie pasterskiego zadowolnienia prawdziwie Bossuetowską mową pogrzebową. I on i Lacordaire głęboko uczuli zgon arcypasterza i w śmierci jego opłakiwali stratę najgorliwszego swego protektora.

W roku 1840 kapituła powołała go na nowo. Czwarty ten rok równie się udał szczęśliwie jak wszystkie poprzednie. Ravignan stanął już w obec swego auditorium, jak ojciec w obec swych dzieci i cieszył się że Paryż i

Francya mimo wszystkich zabiegów nieprzyjaciół katolicyzmu staje na katolickim gruncie; cieszył się swoim tryumfem, widząc w nim tryumf sprawy Pańskiéj na tem samem miejscu, na którém książe ciemności tak już był swój majestat rozwinął straszliwie. W konferencyach z tego roku przedstawił walki, jakie nauka katolicka wytrzymać musiała z systematami filozoficznemi i religijnemi — walki z teoryami antyspółecznemi, walki z dążnościami czasu, z odradzającym się duchem poganizmu w prawodawstwie, nareszcie walki z faktami systematycznie wyrachowanemi na ujarzmienie kościoła. Obraz pobojowiska, na którém prawda katolicka już rozpoczęła swój tryumf był zachwycający. W dalszym ciągu wykazał, że Chrystyanizm jest to jedyna religia, na którą ludzki rozum całkowicie zgodzić się może i powinien. W konferencyi *o dzielności wiary* odmalował jako straszliwy kontrast téj dzielności zgniłą nieczynność lub szalone miotanie się protestantyzmu. Tu przywiódł słowa Melanchtona, zwanego Fenelonem protestantyzmu, który przewidując w samym początku dokąd wiedzie reforma na podstawie buntu, swawoli i obłudy dokonana, napisał do Lutra żę, cała Elba niewystarczyłaby na łzy, któremi by godnie opłakać można wszystkie nieszczęścia przez nią spowodowane.

Jak potężne było już w ówczas działanie mowcy na odrodzenie społeczeństwa, jaki dzielny wpływ na umysły, jak potém mówiąc razem z Lacordair'em w tejże saméj świątyni i do tychże samych słuchaczy, nigdy nie objawił najmniejszego współzawodnictwa, ale owszem mając zawsze na celu tryumf miłości Boskiéj nad szamotającą się nienawiścią i pychą pod zasłoną pięknych wyrazów i łudzących manifestów, szedł zawsze ręka w rękę i z Lacordair'em i z wszystkimi, którzy z żarliwszą miłością do téj walki pod sztandarem krzyża występowali — o tém świadczą najlepiéj krzyki wychodzące

z obozów przeciwnych i coraz częstsze i coraz gwałtowniejsze i coraz wyraźniéj rozpaczą nacechowane. Taka książka jak *Żyd tułacz* jeżeli ma jakieś znaczenie w oczach głębszego człowieka, to właśnie z téj tylko strony, że jest owym rozpaczliwym krzykiem wywołanym powodzeniem katolicyzmu—krzykiem zastępu, który przed chwilą czuł się jeszcze na czele ludzkości i straszliwém *hura!* zachęcał ją do ostatecznego zrzucenia z siebie słodkiego jarzma Ewangelii, do jéj stargania i podeptania — a który nagle ujrzał się opuszczonym, samotnym, podejrzanym, wzgardzonym, znienawidzonym. *Żyd tułacz* to ohydny, straszliwy symptom konania ośmnastego stulecia — to charkanie wolteryańskiéj epoki — ale charkanie takie okropne, takie pełne zgrozy — że cały świat na chwilę pobladł strachem i zatrząsł się dreszczem. Cała ta książka jest jakby echem owéj gromady otaczającéj pałac rzymskiego Prokonsula a wrzeszczącéj: ukrzyżuj! ukrzyżuj! — ale na szczęście ludzkość już Piłatem być przestała i nie obłudą, ale wiarą i miłością obmywała swoje ręce z śladów przelanéj krwi. Książka ta prawdziwie jest *Żydem tułaczem*, Żydem, który zamordowawszy Chrystusa w jego osobowém człowieczeństwie, i usiłując Go zniweczyć w człowieczeństwie powszechném, wścieka się i pieni kłamstwem, potwarzą, obelgami i bluźnierstwy, iż Go zamordować nie może, że Go widzi zmartwychwstającego w tryumfie i to wtenczas, kiedy Go miał za zwyciężonego i zgubionego na zawsze. Rodin — to Judasz, Kajfasz, Herod, Neron, Julian — Wschodnie Cesarstwo — herezya — odszczepieństwo, Henryk IV, Henryk VIII, wiek ośmnasty! — Rodin to Żyd — to ten sam Judasz, który Chrystusa całował niby jego zwolennik [15]) — Żyd wówczas przebrany za Apostoła, potém za

---

[15]) **Rodin, w dziele Eugeniusza Sue przedstawia** ***Societatem*****, ale tak jak Judasz przedstawiał** ***Kollegium Apostolskie.***

Reformatora — potém za przyjaciela ludzkości — a nareszcie za jezuitę, a to wszystko, ażeby zabić Chrystusa — przez nadużycie, przez oplwanie, przez zdradę tych świętych tytułów, — to Judasz w rozpaczy, który widząc iż mu się równie nieudało z nazwą jezuity jak z nazwą apostoła, że imiona te pozostały święte i drogie ludzkości, jak droga i święta rzecz, którą wyrażają — chce otruć tę ludzkość i sam się truje swym jadem nie na śmierć chwilową ale na wieczne konanie! Cała z resztą postać téj książki, cała jéj poezya — cały przepych obrazów, scen i stylu — to owa wzniosłość idąca zawsze w parze z ohydą w konaniu i śmierci straszliwego zbrodniarza. Tak jest — społeczeństwo tak zrozumiało tę książkę, tak ją przyjęło z przerażeniem i odrzuciło jako *przeklętą*. Jezuita-mowca ani razu o niéj z ambony nie wspomniał — żadnéj nawet nie zrobił do niéj alluzyi — ani na chwilę nie stracił pokoju swéj duszy, swéj słodyczy i miłości, ani na chwilę nie przygasł w świętym zapale; i tak jak przedtém stawał w obec tłumu słuchaczy — i tak jak przedtém mówił i jeszcze potężniéj niż przedtém umysły i serca rwał za sobą do Chrystusa. *Żyd tułacz*, w niezliczonych edycyach spłynął sam przez się jako kał w najniższe (moralnie) warstwy społeczeństwa, a i tam ostać mu się nie da czynna i żarliwa miłość francuzkiego duchowieństwa, ale kał spycha do piekieł a nieszczęśliwe owe warstwy obmywa wodami łaski i karmi chlebem żywota. Czynią to na przekor ojcu kłamstwa sami Jezuici, już po całéj Francyi przyjmowani i słuchani z wdzięcznością i uwielbieniem. Skargi wytoczone przeciwko nim przez takich pisarzy jak Michelet i Quinet, nie więcéj im zaszkodziły jak potwarze pana Sue. Kto dzisiaj o nich wspomina? kto się na nie powołuje? — we Francyi garstka studentów lub rzemieślniczków a u nas ludzie bez zasad, ludzie, którzy jednako i z tychże samych powodów powstają przeciw

Jezuitom, co i przeciw relikwiom, odpustom, papieżowi, przeciw duchowi czysto-rzymskiemu itp.—ludzie, którzy rozprawiając wiele o postępie, cali są po za postępem i mniemają a nawet są przekonani, że cytować takie imiona jak Michelet i Quinet jest to cytować jakoweś wielkie powagi. O temby się można, niestety—bardzo szeroko rozpisać, aleć do tego spodziewamy się jeszcze znaleźć nieraz sposobność, gdy tak trudno czegokolwiek się dotknąć w klawiaturze zasad, aby zaraz coś fałszywego nie zabrzęczało — teraz zaś wróćmy do konferencyj Ravignan'a i kilku z nich ustępami zakończmy.

Głęboki i uderzający w przedstawieniu zasad katolicyzmu, wzniosły i zajmujący w teoryi, silny, żarliwy, pełen miłości w obronie prawd religijnych, jest prawie niezrównany kiedy zstępuje na grunt zastósowania praktycznego. Pod tym względem jest prawdziwie kaznodzieją *Societatis*, któréj działanie zawsze cechuje praktyczność. Niech mówi o najwyższych dogmatach, o najgłębszéj tajemnicy, zawsze słuchacz wchodząc w zakres życia i działania, wié co i jak sobie począć, aby się doskonalić w duchu Ewangelii. Nie jest to przecie praktyczność zimna i twarda, ale owszem jest to zasada tryskająca życiem, jest to działanie czerpiące żywioł i siły w Prawdzie prawd. Nie jest to także owa trywialność i rubaszność odsłaniająca z miejsca świętego wszelkie brzydoty ludzkiéj natury, karcąca bez miłosierdzia, szydząca, jątrząca — ale owszem jest to razem znajomość ludzkiéj natury, i znajomość środków zaradzających jéj słabościom w połączeniu z *wiarą* i *miłością poświęcenia*, z temi dwoma potęgami, przez które kaznodzieja *zna*, *chce*, *może*, *działa i uskutecznia*. Skutkiem téj praktyczności w mowcy, kazanie działa praktycznie w słuchaczu. Ale praktyczność mowcy—to jego zjednoczenie, zlanie się z S ł o w e m żywém, przez które wszystko się dzieje, a bez którego nic się nie dzieje —

z Słowem, które, aby mogło być dla zbawienia ludzkiego rodzaju praktyczne, stało się *Ciałem* i niezamieszkało gdzieś w obłokach, ale *między nami.* — Jeżeli mowca tak jest praktyczny, to jest nim przez wiarę, przez modlitwę, przez badanie, przez Sakrament, przez żarliwość; naówczas téż Słowo wcielone udzieli się przez jego usta słuchaczowi w sposób najpraktyczniejszy — jako pełne prawdy ku poznaniu i pełne łaski ku wykonaniu; „*plenum gratiae et veritatis.*“ Daj nam Boże takiéj praktyczności, a nie będziemy lamentować na wybredność i zepsucie słuchaczy.

Wybredność i zepsucie nigdzie zapewne w ostatnich czasach do tego stopnia niedoszły jak w Paryżu a pomimo tego królestwo Boże nigdzie się dzisiaj praktyczniéj, czynniéj i zbawienniéj nie objawia jak w tym samym Paryżu. Ale też tam duchowieństwo nieposprzestaje na powiedzeniu kazania *ex officio*, tylko mówi, naucza, działa, pociesza bez wytchnienia parte miłością Chrystusa, miłością kościoła, miłością dusz, miłością żywą, praktyczną; miłością która je czyni boskiem *perpetuum mobile*, albo raczéj *perpetuum movens.* Przedmiotem jego działania jest cały człowiek w swoich duchownych, religijnych potrzebach, równie jak całe społeczeństwo. Jak niema jednéj epoki w życiu człowieka, w któréjby go z pod owego działania emancypowało, tak też niema jednéj strony w układzie społeczeństwa, któréjby pod uświęcający wpływ Ewangelii nie podbijało. I Ravignan pod tym względem jest tylko uosobieniem owej działalności na rzecz królestwa Chrystusowego — on wstępując w zawód kaznodziejski powiedział sobie: „będę zdobywał Panu mojemu“ — i zdobywał w saméj rzeczy — i dla tego mówił ażeby zdobywał. Mówiąc o człowieku pod wpływem katolicyzmu, przedstawiając jego wyższość, świętość, pokój, pewność i szczęśliwość, mnóstwo z słuchaczy swoich pod

ten błogosławiony wpływ podbił. Malując dziewicę, kapłana i bohatera katolicyzmu rozbudzał w młodych sercach żądze poświęcenia się Bogu i ludziom w tych stanach — mówiąc o świętości dziecięcia Chrześcijańskiego zniewalał rodziców do uznawania w swych dzieciach własności społeczeństwa, własności kościoła, własności Chrystusa! Oto co mówi w téj mierze: „Dziecieństwo— „to nadzieja, to kwiat w pączku, to promień jutrzenki „zwiastujący piękny dzień życia, to źródło, z którego „ma wypłynąć potok, rzeka ku użyznieniu pól, ku roznoszeniu bogactw! W dziecińitwie, czyż niewidzimy „uwiniętych mnóstwo myśli, postanowień, czynów. „Ta światłość która oświeca każdego człowieka na ten „świat przychodzącego skupiona w niemowlęciu jakby „w ognisku i gotowa trysnąć w duszę, w serce, zkąd „potem świeci w ustach, w oczach, na czole jak podobieństwo do Stwórcy, jak promień boskiéj mądrości „i boskiéj dobroci! Oh tak rodzice — ja w waszych „niemowlątkach mogę widzieć i witać wszelkie nadzieje „i wszelkie pociechy, skoro mi tylko powiecie, że przez „wody chrztu stały się dziećmi Boga uczniami i braćmi „Jezusa Chrystusa, że są powołane do walczenia w sprawie królestwa Bożego i do wzięcia w niem wiekuistego udziału, — ja wtenczas mogę w tym maluczkim „Chrześcijaninie powitać wieczność, niebo, Chrystusa „mojego! I mimo całéj nędzy otaczaiącéj jego kolebkę, „mimo tych łachmanów, któremi zaledwie w waszém „niedostatku okryć to niemowlę zdołacie, mimo twych „westchnień biedny Ojcze, który będziesz musiał podwoić pracę rąk i pot czoła na wychowanie drogiéj „ci istoty, mimo twych łez i jęków o matko, jakiemi „zapowiadałaś przyjście na świat nowego człowieka— „ja w dziecięciu waszem okiem wiary widzę wielkie, „święte, boskie przeznaczenie, nadzieję i chwałę!.... „..... Nadzieję! A jednak ta nadzieja łatwo stać się

„może straszną obawą i groźbą! Dzieciństwo przedsta-„wia nadzieję, ale kiedy jest czyste, wierne, chrześci-„jańskie. Ale mój Boże, gdzie jest ta czystość; ta nie-„winność dziecinnego wieku! Strach i boleść patrzyć „na dzieci, co są jak zwiędłe kwiaty zwieszone na ma-„łéj i słabéj łodydze — na dzieci nieodświeżone modli-„twą, nieodżywiane boskiem życiem Chrześcijańskich „Ojców i Matek! .... Chwałę! Oh tak w Chrześcijań-„skiém dziecięciu okiem wiary widzę chwałę, ale ta „chwała prędko się może zamienić na hańbę. Ojcowie „Kościoła już w owych złotych wiekach Chrystyanizmu „byli tłumaczami jęku wydzierającego się z serc nie-„szczęśliwych dzieci. Już wówczas przez usta świętego „Cypryana krzyczały dzieci złych rodziców: To nie my! „nie myśmy się potępili! rodzicielska zatraciła nas nie-„wiara, czujemy jak nas gniecie dzieciobójcza dłoń ro-„dziców! *Non nos perdidimus*, ... perdidit nos paterna „perfidia, ... parentes sensimus paricidas.“ Tak jest, „o tak jest rodzice, jeżeli światłość wiary zgaśnie dla „ich oczu, jeżeli zgaśnie w ich sercach; jeźli te serca „staną się łupem żądz zepsutéj natury, jeźli się nierząd-„ną miłością występku zapalą, czy wiecie co się wów-„czas stanie z tą chwałą, która promieniem nadziei lśni „na ich czołach, z tą niewinności aureolą otaczającą „małą ich kolebkę? to wszystko zgaśnie a na tych czo-„łach występek wypiętnuje się hańbą i zesromoceniem, „i społeczeństwo, pokładające w pokoleniu dzieci na-„dzieje swego szczęścia, swéj chwały, będzie zmuszo-„ne bronić się przeciwko niemu — czy wiecie czém? „Więzieniem, kajdanami, rusztowaniem!

„Ale wy macie oh! macie środki zapewnienia i téj „nadziei i téj chwały i tego szczęścia! W waszych rę-„kach Opatrzność złożyła te środki! Wam powierzyła „wychowanie waszych dzieci — to wasz najświętszy „obowiązek — Wy zatem za dzieci wasze odpowiadać

„będziecie przed Bogiem. Ich wiek, ich cnoty, i cnót „zarody i wszystkie pierwsze łaski, to depozyt waszéj „straży powierzony. Czyście go dochowali? Czy mie„liście lub macie sobie za najszacowniejszy skarb nie„winność tych dusz pod waszem rozwijających się okiem? „Czy się troszczycie o ich wychowanie religijne, chrze„ściańskie? O rodzice zaślepieni, rozproszeni, rozszar„pani przez świat, uwikłani, skrępowani kajdanami „spraw doczesnych, nigdyż o tem nie pomyślicie nigdy! „nigdy tak jak tego własne wasze i waszych dzieci „szczęście wymaga?“

Przedstawiwszy następnie obowiązek poświęcenia się dziecku przez danie mu wychowania chrześciańskiego, wzniosłość téj missyi będącéj jakoby współdziałaniem z Stwórcą i dopełnianiem dzieła stworzenia tak się odzywa: „Tak jest, wasze posłannictwo o rodzice i na„uczyciele! jest rzeczywiście boskie, wy to czynicie, co „sam Bóg czyni. Bóg nie chciał bez was dokonać swo„jego dzieła. Bóg złożył w dziecięciu nasienie myśli „i wolności sam, lecz ani myśli ani wolności sam roz„wijać nie chciał i dla tego w wychowaniu, które jest „ostatecznèm wykończeniem duszy postanowił się Wa„mi posłużyć, waszem staraniem, waszem usiłowaniem „waszem poświęceniem . . . . . Kiedy zapalony miłośnik „sztuk pięknych znajdzie przypadkiem w jakimś cie„mnym kącie, okryty prochem i na pół zniszczony o„braz wielkiego mistrza, patrzcie czego nie czyni, aby „mu tylko wrócić całą jego piękność, całą majestaty„czność. Ależ ta dusza dziecka, to obraz, to wizeru„nek Boga, to arcydzieło boskiéj myśli i boskiéj twór„czości, a wy ją lekceważycie, wy nią pogardzacie „wy jéj pozwalacie zmarnieć, spodlić się, zginąć, nie „pomyślawszy o jéj boskiem pochodzeniu, o nieśmier„telnych jéj przeznaczeniach? I kiedy Was Opatrzność „wzywa, abyście podjęli to dziecię, abyście w niém od-

„nowili ślady podobieństwa z Bogiem zatarte może przez „nędzę, przez niewiadomość, występek, wy możecie „niewzruszyć wnętrzności, nie poskoczyć natychmiast „zapałem świętéj miłości i radości, wy możecie sta„wiać opór temu pociągowi, tym dzielnym natchnieniom „wiary? Zbawić duszę dziecka, powrócić jéj boską pię„kność i godność, posłać ją do nieba, postawić ją wpo„śród zastępów Syonu, oddać ją Bogu to wam się zda„wać może rzeczą małą, to wam się może wydawać „niczem! Ależ Opatrzność na téj ziemi nic sobie wyż„szego nie zamierzyła. Zbawienie duszy, to cel dzia„łania Boga! i was w tym celu Bóg trzyma na ziemi— „i wszystko co tylko istnieje, wszystko co jest w spó„łeczności, w jéj władzy, w jéj bogactwach w jéj umie„jętnościach i wynalazkach i cała świętość, całe bogac„two kościoła, cała ta majestatyczność świątyni Pań„skiéj, to wszystko dla zbawienia duszy biednego „dziecięcia!“

Wyraziwszy daléj swe uwielbienie dla owych rodziców, którzy zrozumiawszy wielkość i trudność swego posłannictwa stowarzyszają się pod władzą i kierunkiem biskupa, aby utworzyć dla wychowania dzieci szkoły czysto-katolickie, ostrzega ich aby przy zwracaniu uwagi na wykształcenie umysłowe, zawsze na pierwszem miejscu kładli wykształcenie religijne ducha. Przez to wykształcenie nie rozumie on bynajmniéj samego pamięciowego uczenia formuł wiary, lub rozumowania o rzeczach religii, ale żywe, ciepłe i dzielne rozwinięcie zmysłu religijnego, ustalenie stosunku pomiędzy duszą a Bogiem, nie przez rozum, ale przez wiarę, modlitwę i miłość. Do tego szukać mają nie tyle doktora Teologii ile kapłana razem oświeconego w wierze i z żarliwą téj wiary miłością. Religia dla młodzieży nie powinna być ani być może przedmiotem kursów, odczytów, rozpraw, ale nauką życia, któréjby się uczono z wiarą, którąby

przyjmowano z miłością. Tu sobie pozwolimy zrobić małe zboczenie ze względu na miejscowe nasze potrzeby. Nic smutniejszego i nic niebezpieczniejszego dla dusz młodych, jak kiedy nauczyciel religii staje przed niemi, tak jak każdy inny nauczyciel bądź grammatyki, bądź arytmetyki; kiedy zamiast uzbrajać się łaską, mówić do nich z Bogiem w sercu, uzbraja się nudnemi zeszytami i mówi do nich jak *za pańskie*, aby przegadać, albo przesiedzieć godzinę. Uczeń tyle zrozumie i pojmie, ile kocha — kapłan też tyle nauczy i poda ile i sam kocha i miłość wzbudzić potrafi. — Wszyscy inni nauczyciele winni być także dobrymi katolikami, bo jak każda umiejętność przy usposobieniu gruntownie religijném nauczyciela prowadzi do Boga — tak znowu każda przy usposobieniu niechętném lub obojętném dla wiary lub dla kościoła, bardzo łatwo złym wpływem wykrzywić może pojęcia i skazić uczucia a co najgorsza rozwinąć pychę rozumową. Młodzieńczéj duszy najmniejszy powiew niewiary, sarkazmu, powątpiewania lub negacyi może śmiertelnie zaszkodzić i na całe życie najgorszy wpływ wywrzeć. Religia to arcyumiejętność umysłu i serca — ognisko wszech umiejętności. Wszystkie nauki winny być przedstawiane jako promienie z tego ogniwa ku uszlachetnieniu człowieka wychodzące i do niego wraz z człowiekiem wracające. Często umiejętności ludzkie stoją z sobą w pewnéj sprzeczności, lub co najmniéj stoją obok siebie bez żadnego związku jak linie równoodległe a tym sposobem rozdrabniają, rozpraszają ducha—przeciwnie zaś, im się same bliżéj czują Boga, tém są bliżéj siebie, tak jak dwa promienie zbliżające się do siebie w stosunku jak się zbliżają do środka. Bez przeświadczenia o tej prawdzie, każdy z nauczycieli traktuje swoją umiejętność, jako dobro bezwzględnie, jako *całość w sobie*, jako rzecz absolutnie konieczną i pcha ją w głowę ucznia jak snop siana, nie troszcząc się o

to, co i jak sobie z nią pocznie w stosunku do społeczeństwa i czasu, w którém żyć będzie i w stosunku do wiecznych przeznaczeń. Ztąd też idzie ta najnieszczęśliwsza zasada w dzisiejszem wychowaniu, ażeby *wszystkich uczyć wszystkiego*; bo jeżeli każda umiejętność jest w sobie rzeczą absolutnie dobrą i skończoną, więc każda ma prawo uważać się nie jako środek, ale jako cel więc też wreszcie każda z równém prawem narzuca się człowiekowi. Któż nie czuje jak ta zasada jest przeciwna naturze ludzkiego ducha, jak jest nieludzka, okrutna. Wychodzi ona, jak powiada jeden z uczonych redaktorów najwyborniejszego Przeglądu Europejskiego [16]) na coś bardzo podobnego, jakgdyby powiedziano, iż ponieważ każdy pokarm jest w sobie rzeczą dobrą, więc go trzeba dawać wszystkim jak tylko można najwięcéj. Czyż wówczas pokarm, który jest rzeczą *dobrą*, ale *względnie dobrą* nie stałby się dla wielu trucizną? Konferencya o wychowaniu jest jak powiedzieliśmy wyżéj zstąpieniem z wyżyn zasad na grunt zastósowania, przejściem z teoryi w zakres praktyczności; — ażeby się przekonać, jaka to praktyczność pozwalamy sobie przytoczyć z niéj jeszcze ustęp ostatni — czyli konkluzyą.

„W tych młodych sercach głos namiętności już się „odzywa niby głos dalekiego grzmotu wielką zwiastu„jącego burzę. Nauki przewrotne, niebezpieczne, uwo„dzące, już na te serca czekają, z drugiéj strony zepsu„cie moralne, zgorszenia, występki świata zbiegają się „ku nim jak chmury, aby się zetrzeć z chmurami ze„psutéj natury i uderzyć w społeczeństwo nowemi pio„runami zbrodni. Spieszmy się o bracia, zaklinam was, „spieszmy się z położeniem tamy tym strasznym nie-

[16]) La Civiltà Cattolica. Anno Sesto. Seconda Serie. Vol. Nono. Nr. CXVIII. 1855. Le Scuole Letterarie per Tutti.

„bezpieczeństwom. Czyńmy to przez gruntownie chrze-„ściańskie wychowanie, przez zakładanie chrześciańskich „szkół, chwytajmy te młode serca, bo jeźli zaniedbamy, „to natychmiast inne schwytają je ręce, inna opieka „rozciągnie nad niemi swą władzę, inne szkoły zajmą „się ich wychowaniem! Spieszmy się — bądźmy gotowi „natychmiast do szlachetnych ofiar, bo na nie zasługuje „dziecię chrześciańskie, bo zresztą gdzież potrzebniejsza „ofiara!.....

„W téj chwili przychodzą mi na myśl słowa wielkie-„go myśliciela. „Jeżeli jest sposób zreformowania ludz-„kiego rodzaju, pisze Leibnic, to tylko jeden, a tém „jednem jest wychowanie.“ Niestety! my niemożemy „przedsiębrać reformy ludzkiego rodzaju, jakkolwiek „bardzo by tego ludzki rodzaj potrzebował, ale możemy „przynajmniéj temi środkami, jakie w rękach naszych „złożyła Opatrzność przyłożyć się do téj reformy, do „polepszenia warstw społeczeństwa skazanych na pracę „i niedostatek. Wszakże i dla tych dzieci niebo otwarte; „wszakże religia jest tak dla nich, jak i dla was prze-„znaczona; im równie jak wam przekazana prawda, „łaska i krew Zbawiciela! Zważcie teraz o drodzy bra-„cia, że wasza obojętność, wasze skąpstwo, wasze sa-„molubstwo to byłyby przyczyny pozbawiające biedne „te dzieci owych boskich skarbów. Jeźliby wasza szczo-„drobliwość niezdołała wystarczyć na otwarcie potrze-„bnéj liczby przytułków i szkół, ah wówczas gorzko „byśmy płakali nad stratą tych dziatek..... Zeszedłszy „ztąd pójdę do stóp ołtarza, rzucę się do nóg pasterza „i tam z obliczem zaciśniętem w dłonie czekać będę „na odpowiedź — a jeźli się dowiem, że się nie stało „jakom zachęcał, prosił, zaklinał; jeźli szkół chrześciań-„skich niestarczy, będę wówczas skarżył przed Bogiem „moje niedołęztwo; będę błagać Pana, aby raczył przy-„jąć moje poświęcenie; będę płakać nad zgubą tego

„miasta, nad nieszczęściem waszych rodzin, was będę „skarżyć o obojętność, o brak religii!.... Nie, nie, bracia „drodzy, nie będę was skarżyć, będę was owszem bło„sławił za waszą wiarę, za waszą pobożność, ah bo „je nadto znam dobrze, bom ich tak często doświad„czył, bom je widział działające, bo dusza moja cieszy „się w Panu owocem tego działania! Bądźcież błogo„sławieni w imie Boga trzykroć świętego! Chrześcianie! „wierni wszelkiego wieku i wszelkiego stanu! wszak „mnie rozumiecie w Bogu, pokażcie, żeście zrozumieli, „dowodźcie jałmużną jak najszczodrzejszą, bo niemoże„cie dać na wyższy, na świętszy cel! O daj to Boże, „aby się na was za spełnienie téj prożby zlały wszel„kie błogosławieństwa, w chwili, kiedy Arcypasterz wznie„sie dłoń swoją ku uświęceniu owocu mych ubogich „słów!“

Tak mówi Ravignan. Z podobną gorliwością, choć nie z taką wymową każe duchowieństwo francuzkie, a słuchacze odpowiadają ochronkami, szpitalami, szkołami, przez które coraz się piękniéj dopełnia reforma wielkiéj stolicy i wielkiego narodu.

W roku 1851 mówił jeszcze w Notre Dame. Konferencye były o Męce Pańskiéj w godzinach wieczornych, bo Lacordaire mówił w południe. Jeden i drugi mówił z takim młodzieńczym zapałem, jakgdyby po raz pierwszy występowali z poselstwem od Boga — jeden i drugi taką się ciżbą słuchacza otoczył, jakby się o potędze ich słowa dopiero zwiedziano. A przecież Lacordaire mówił, jak gdyby wieki badał wielkie postacie Ojców swojego Zakonu; rzekłbyś, że to Dominik, że to Wincenty Ferreriusz,— a przecież Ravignan kazał, jakby się wychowywał pod okiem wielkiego Lojoli; rzekłbyś słuchając i patrząc, że to apostoł Indyi, że to Franciszek Xawery! W roku 1852 Lacordaire zakończył swe posłannictwo do stolicy Francyi, ale go niezakończył dla

Francyi i dla kościoła — a Ravignan w miejscu konferencyj rozpoczął kazania rekollekcyjne, które prowadził szczęśliwie przez lata następne. Rekollekcye te dawane publicznie dla wszystkich przychodzących były dla apostolskiéj jego żarliwości słodkim owocem i najpożądańszą nagrodą dwudziestoletnich prac kaznodziejskich. W saméj istocie, cóż być może słodszego, co bardziéj pocieszającego, co szacowniejszego dla kapłana Ewangelii, jak mówić wśród tłumu ludzi pod jego okiem i głoszonem przezeń słowem nawróconych, ludzi którzy po słowa nauki, pociechy i życia nieprzychodzą z rozumami, ale z wiarą, na których obliczu w miejscu dawnéj boleści zwątpienia jaśnieje radość chrześciańskiéj nadziei i chrześcijańskiéj pewności; ludzi którzy pragną rozwijać, rozszerać w sobie znalezione królestwo Boże — ludzi, którzy z najżywszą wdzięcznością przyjmują wszystko, co się im poda w imieniu Boga, aby swe istoty usposobić na mieszkania Boga!

Takiéj rozkoszy pełne dzisiaj serce Ravignan'a, taką pociechą oddycha dzisiaj pierś jego na pół przetrawiona pracą i żarem miłości. Co siłą téj miłości wyrwał ze szponów ojca kłamstwa i powrócił Zbawicielowi, to dzisiaj tąż samą siłą jak nierozerwanemi a świętemi więzami krępuje do stóp krzyża. Błogosław mu Panie a nam użycz sług podobnych!

X. Zygmunt Golian.

O RASACH

ZWIERZĄT DOMOWYCH.

O co chodzi w chodowli zwierząt domowych? Cztéry tylko przypadki, zdaje się są tu możebne.

1) Chodzi o utrzymanie doskonałéj obcéj lub krajowéj rasy w celności jéj budowy i przymiotów czyli krócéj o jéj niewyrodzenie się. N. p. w chowie owiec cienkowełnistych nie żądają zazwyczaj gospodarze więcéj nad to, aby owce ich zachowały w dalszych pokoleniach zalety runa, jakiemi odznaczały się indywidua, z których powstały szlachetne ich stada.

2) O polepszenie podłéj rasy krajowéj zwierzętami obcemi, posiadającemi lepszą budowę i celniejsze przymioty. W tym celu używa się krwi obcéj dotąd, dokąd nie zleją się w żądanym stopniu przymioty jednéj rasy z drugą, albo też pokąd nie przybierze podła rasa wszystkich przymiotów szlachetnéj.

3) O polepszenie rasy krajowéj saméj sobą, przez

dobór z niéj do rozpłodu zwierząt najlepszych i przez lepsze ich karmienie i pielęgnowanie. Nakoniec

4) O utworzenie zupełnie nowéj rasy, odpowiedniéj pewnemu użytkowi, żądaniom konsumentów albo warunkom miejscowéj produkcyi.

W każdym z tych warunków potrzebna jest znajomość warunków, wśród których utrzymują się rasy lub zmieniają, oraz oznaczenie, pod któremi wpływami i jak się zmieniają?

Gdyby wpływ przyczyn zewnętrznych na organizmy był nieznacznym, nie mogłyby np. owce z jednego stada przeniesione do dwóch gospodarstw, karmione i pielęgnowane w obydwóch zupełnie podobnie i dostatecznie, poprawiać się i uszlachetniać w jedném, a podupadać i wyradzać się w drugiem z tych gospodarstw. Takie wypadki jednakże są liczne.

Nie chcąc działać na chybił, trafił, potrzeba wiedzieć, jaki jest wpływ organiczny rodziców na dzieci, jaki różnych pokarmów na budowę i przymioty nowych pokoleń niemi żywionych, jak działa ten lub ów sposób używania, pielęgnowania zwierząt itd.?

Kwestya ras należy do weterynaryi i do nauki chodowania zwierząt domowych; mimo ważności swojéj dla gospodarstwa wiejskiego nie doznała ona ze strony naukowéj gruntownego i wszechstronnego opracowania. Wszystko co wiemy o rasach ogranicza się na znajomości wpływu organicznego, czyli na oznaczeniu stopnia w jakim udzielają się dzieciom przymioty rodziców, w warunkach sprzyjających rasie. Które warunki sprzyjają pewnéj rasie, a które jéj szkodzą, o tém milczy teorya chodowli, podając jedne tylko dla wszystkich ras ogólne zasady weterynarskiéj higieny, czyli sposobu karmienia i pielęgnowania zwierząt. Najprościejsze i codzienne doświadczenie wskazuje już niedostateczność w pewnych przypadkach ogólnych przepisów. Co do spo-

sobu karmienia naprzykład: Jestże to i w chowie młodych i rosnących zwierząt prawdą, co jest nią w utrzymaniu dorosłych, a to, iż 300 funtów słomy karmią tak samo, jak 100 fnt. siana albo 180 fnt. ziemniaków, jak 35 fnt. bobu itd.? Podobnie jestże to wszystko jedno w chowie bydła dojnego, czy cielęta ssają swe matki, lub téż karmione są sztucznie zaraz od urodzenia? Twierdzenie takie byłoby sprzeczne z zasadami fizyologii, która wskazuje: że różne przyczyny mechaniczne, fizyczne i chemiczne różne wydają skutki tak dobrze u istót organicznych i żywych, jak u nieorganicznych i martwych; powtóre że organizm zwierzęcy ma tylko w pewnym stopniu moc oparcia się wpływom nadającym mu nienormalną budowę.

Rasą nazywają się dziedziczne odmiany, któremi różnią się zwierzęta tego samego gatunku jedne od drugich. Niemcy, osobliwie teoretycy przyjmują jeszcze osobne podziały ras głównych na podrasy, na rody, plemiona i odmiany. Podział ten wszakże nie był przez nikogo dokładnie przeprowadzony na wszystkich rasach i między zwolennikami tych podziałów nie ma żadnéj zgody w ocenieniu oznak rasy głównéj, podrasy i podobnych drobnostek niemających żadnéj podstawy naukowéj ani wartości praktycznéj. Za osobną rasę można przeto uważać każdą odmianę budowy i przymiotów, która w sprzyjających jéj okolicznościach stale przenosi się z pokolenia na pokolenie.

Różnica między rasą a gatunkiem jest ta: że zwierzęta dwóch ras wydają bastardy płodne między sobą w najdalszych pokoleniach; dwa gatunki zaś, chociaż się płodzą, młode ich są najdaléj przez dwa pokolenia między sobą płodne. N. p. bażant złoty wydaje ze zwyczajnym bażantem bastardy płodne między sobą, ale samiec i samica tych bastardów nie wydadzą młodych, któreby się skutecznie między sobą płodzić mogły. Naj-

różniejsze przeciwnie gołębie domowe dają męszańce płodne między sobą w najdalsze pokolenia. Dla tego bażanty złote są jednym gatunkiem bażantów, a zwyczajne drugim, gdy wszystkie gołębie domowe jednym tylko, dzielącym się na różne rasy. Gatunki są stałe, bo są dziełem pierwotném, rasy są dziełem sztuki i przyczyn zmiennych, powstają téż nowe ze zmianą dawnych okoliczności.

Charakterem ras wszystkich jest: 1) dziedziczność w przyjaznych im warunkach, 2) zdolność męszania się jedna z drugą w stopniu mniéj więcéj możebnym do oznaczenia, 3) zależność od dwojakich przyczyn, mianowicie organicznych czyli leżących w organizmie zwierzęcym, i nieorganicznych, istniejących za jego obrębem. Jak rasy powstają, jak się zmieniają pod wpływem różnych pokarmów, sposobu użycia i pielęgnowania zwierząt, o tém panują niepewne tylko domysły. Gospodarze, których przedmiot ten najmocniéj obchodzi, trzymają się w uszlachetnieniu zwierząt domowych dwóch sposobów. Jedni utrzymują, że celne i ustalone rasy zwierząt domowych przeniesione w nowe okoliczności nie wyradzają się, byle dobierane były do rozpłodu zwierzęta krwi czystéj i byle był przychowek dobrze karmiony i pielęgnowany podług ogólnych zasad chodowli. Przeciwnicy tego zdania twierdzą, że rasy są więcéj zależne od przyczyn zewnętrznych, niżeli od organicznych, że najczystsze i najstalsze rasy wyrodzić się muszą wśród innego, ogólnym zasadom chodowli wcale nie sprzeciwiającego się sposobu żywienia i pielęgnowania. Ztąd są jedni zwolennikami krzyżowania i uszlachetnienia za pomocą celnych ras obcych, inni obiecują sobie pewniejsze osiągnienie celu przez stósowny wybór do rozpłodu zwierząt z rasy potrzebującéj uszlachetnienia i przez odpowiedni celowi sposób karmienia przychowku. Doświadczenia przytaczane do poparcia jedne-

go lub drugiego zdania, nie przedsięwzięte umyślnie i nie przeprowadzone z potrzebną ścisłością i dokładném oznaczeniem wszystkich okoliczności, które wpływają na rezultaty, nie mogą być dostatecznym dowodem. Przykłady tego rodzaju są wzięte z chowu owiec merynosów i uszlachetnienia koni i bydła w środkowéj Europie. Dla oznaczenia wszakże wpływu przez kilka pokoleń przyczyn nieorganicznych na budowę większych zwierząt trzeba czekać najmniéj lat kilkanaście. Okoliczność ta czyni podobne doświadczenia niezmiernie kosztownemi a wnioski z nich wyprowadzone niepewnemi. Dla saméj taniości nastręczają się do tego rodzaju doświadczeń najlepiéj zwierzęta małe i mnożne, a skłonne do odmian i wyradzania się n. p. psy, kury, gołębie i króliki. Obierając kilka par do przeprowadzenia jednego doświadczenia, możnaby w ciągu jego zabić jednę sztukę i badać ją anatomicznie lub poddać w potrzebnym razie chemicznéj analizie pojedyncze części jéj ciała. Nadewszystko dałyby takie doświadczenia w jednym roku już znacznie objaśniające rezultaty. Ciągle powstające nowe rasy małych zwierząt domowych przedstawiają już dzisiaj szereg przykładów mało co mniéj licznych niżeli są rasy czyli właściwiéj odmiany uprawianych roślin. Jeżeli jest prawdą, że ogrodnicy wiedzą już dzisiaj, jakich środków użyć potrzeba i jak pielęgnować roślinę, aby spotęgować jéj płodność, albo powiększyć nadzwyczajnie tę lub ową jéj część, dla czegóżby chodownicy zwierząt domowych nie mogli cieszyć się nadzieją, że zoologia i pomocnicze jéj nauki zdołają zbadać przyczyny i prawa, podług których powstają odmiany czyli rasy zwierząt domowych?

Jak powstają rasy? U zwierząt dziko żyjących, a przynajmniéj płodzących się podług upodobania powstają one pod wpływem przyczyn działających mniéj więcéj jednakowo na całe stado. Pojedyncze wyrodki powstałe

w skutek działania wyjątkowych przyczyn, albo silniejszego działania téj lub owéj powszedniej przyczyny, giną w massie zwierząt i dla braku warunków do rozrodzenia się w osobną rasę. Czarne wilki n. p. a białe kuropatwy nie są zbyt rzadkie, pierwsze w łagodnych klimatach, drugie w ostrych, a przecież nie ma nigdzie przykładu ich rozrodzenia się w stado czarnych wilków albo stado białych kuropatw. Nienormalnemi w znaczeniu chorobliwości nie można nazwać podobne wyrodki ani powstałe z nich rasy. Wszelka słabowitość ciągnie za sobą przyspieszenie śmierci i krótszy żywot, zwierzęta domowe téj lub owéj rasy wysoko uprawnéj różnią się znacznie od zwierząt tego samego gatunku, żyjących w stanie natury, nie mnożą się jednak mniéj i nie żyją krócéj od dzikich, budowę zatem zwierząt uprawnéj rasy, nie można właściwie nienormalną nazwać. W ogóle wyrazy normalne pożywienie i naturalne warunki nie mają tak wielkiéj wartości, jaka im zwykle w chodowli przypisywana bywa. Dziko żyjące zwierzęta dwóch niepodobnych do siebie okolic żyją odmiennemi pokarmami i w odmiennych warunkach, jedne jak drugie są mimo tego w stanie normalnym, w stanie właściwym ich naturze.

Daleko łatwiéj powstają rasy u zwierząt żyjących w niewoli, których rozpłód zostaje pod opieką człowieka. Nierówne działanie jednych i tych samych przyczyn nierozłączne od chowu domowego, daje już powód do licznych odmian i różnic czyli wyrodków. Prócz tego jeszcze występują przyczyny działające na niektóre tylko zwierzęta, których się wcale nie spostrzega, dokąd w oczy wpadające ich skutki nie każą się ich samych domyślać. Gdy w naturze pojedyncze wyrodki rozmnożyć się nie mogą dla braku warunków sprzyjających więcéj ich rozrodzeniu się, niżeli temuż zwierząt tego samego stada w stosunku do nich normalnie zbudowanych, roz-

radzają się z łatwością w osobne rasy różne wyrodki pod opieką człowieka. Weźmy np. przypadek, że śmierć samicy, zanim jéj młode dostatecznie są odkarmione pozbawia je mléka w chwili najsilniejszego wzrostu zmusza do żywienia się karmą mniej pożywną i mniej stosowną dla ich wieku. Wzrost tego przychowku będzie już niepowetowanie stracony, skarłowaciały. Przyczyna tej odmiany jest nieorganiczna i przypadkowa, działanie jej ograniczało się na kilka lub dwa tylko indywidua. Dajmy na to, że one dla jakiegokolwiek widoku i celu rozmnożone być mają i że ich użyto do rozpłodu. Naturalnym wynikiem miernego lub wcale skąpego karmienia ich w czasie, gdy będą miały młode, będzie, że przychowek od nich nie dojdzie miary wzrostu dziadów i pradziadów swojch. Co więcéj karłowatość utkwi w tym przychowku mocniéj niż w rodzicach, a to z dwojakiego powodu, najpierw w skutek przyczyny organicznéj czyli karłowatości rodziców, a powtóre w skutek przyczyny nieorganicznej to jest niedostatecznego pożywienia. Drugie to karłowate pokolenie wyda już zapewne mimo dostatecznéj karmy dawanéj mu w stosunku do jego massy, dokładniejsze od siebie karły, posiadające większą dążność do zostania karłami, niżeli ją mieli rodzice. Przymiot ten powstały pierwotnie w skutek przyczyny nieorganicznej i zewnętrznéj stał się w dwóch pokoleniach organicznym i udzielającym się dziedzicznie.

Zupełnie podobne przypadki dają zapewnie początek innym odmianom dziedzicznym czyli rasom. Wyjątkowa i nieorganiczna przyczyna na jedno lub kilka indywiduów tylko w stadzie działająca, albo mocniejsze działanie powszedniej przyczyny na jedną n. p. matkę, nadaje jej płodowi przymiot wyjątkowy w małym i nieznacznym stopniu. Dobierając do rozpłodu takie mało co wyrodne indywidua i łącząc je między sobą, albo

przynajmniej z najbliższemi choćby normalnie uprzymiotnionemi krewnemi, potęguje się wyraźnie ich wyrodność. Taki przypadek przypominam sobie w stadzie, w którém znałem doskonale rodowód każdéj sztuki. Składało się z koni, które były bardzo szczęśliwą mieszaniną szlachetnej rasy polskiej z holsztyńską. Powszechna maść koni tego stada była kasztanowata i siwa najroźniejszych odcieni z mniejszemi i większemi łysinami i mniej lub więcej białemi nogami. Gniada i kara maść były w tém stadzie wyjątkiem, bułanéj nie było w niej wcale przez lat 30. Klacz kasztanowatego rodu i kasztanowata sama, odznaczona bardzo małą gwiazdką i dwiema białemi pęcinami, wydała po siwym synie swoim, spłodzonym z nią przez siwego ogiera, pochodzącego z łysych koni, źróbka ciemnodereszowatego, mocnołysego i odznaczonego cztérma wysoko białemi nogami. Ten źróbek zostawiony na ogiera wydał z trzema kobyłami, mianowicie z rzeczoną matką swoją, ze siostrą, która była także kasztanowata i z klaczą siwą na czarnéj skórze ale łysą, troje źrebiąt zupełnie białych na białéj skórze. Jedno z tych źrebiąt, biały syn jego, spłodzony z matką, odznaczał się we wszelkim względzie celniejszemi przymiotami i lepszym wzrostem niż ojciec. Użyty ów biały ogier do karéj i od dawna z karych pochodzącéj kobyły innego stada i innéj rasy wydał wprawdzie syna karego, z małą łysinką nieco i tylko białemi nogami, czego niemiała kara matka, ale ten kary syn jego spłodził następnie z dwoma innemi kobyłami kasztanowatemi owego rodu holsztyńsko-polskiego, źrebięta tak białe, jak był biały dziad ich czyli ojciec tego karego ogiera. Cząstkowa zatem białość skóry, bo na łysinie i cztérech nogach spotęgowała się i rozciągnęła na całe ciało przez stanowienie matki z synem, który już był synem swego rodzonego brata.

Każdy prawie miłośnik chowu zwierząt domowych jest w stanie przytoczyć przykłady, gdzie łączeniem w bardzo bliskiem pokrewieństwie ten lub ów przymiot mało znaczny u rodziców do rzeczywistej potęgi podniesionym został u dzieci i wnukow wynikłych z tego łączenia mało co wyrodnych a niezmiernie z sobą spokrewnionych indywiduów. Angielskiego trzeba było geniuszu do należytego ocenienia tego rodzaju zjawisk. Gdy u nas trzymając się panującej jeszcze niedawno teorji Buffona przestrzegano, w dobrze utrzymywanych stadach, łączenia w pokrewieństwie i uważano je za absolutnie szkodliwe, umiał genjalny Backwell ocenić niezależnie od wszelkich teorji wartość w pewnych wypadkach łączenia żwierząt we krwi. Z początku unikał on wprowadzania obcych zwierząt do swojch przez skąpstwo i zazdrość, usiłującą ukryć sposób dochowania się celnych żwierząt, bardzo rychło jednak spostrzegł on, że to ograniczenie się na własnych tylko samcach i samicach, przymuszające go do łączenia żwierząt niezmiernie z sobą pokrewnionych, wydawało niespodziewanie pomyślne rezultaty, i w tem właśnie największa jego zasługa, że je nie przypisywał innym przyczynom, że je zdrowo osądzał. U nas przeciwnie, w stadach, gdzie przez pewną niedbałość nie odmieniano samców i nie odświeżano krwi przez kilkanaście lat jako n. p. w powyż wspomnianym stadzie, poczytywano to pojawienie się zupełnie białych koni, choć były duże i doskonałe, nie za skazówkę do otrzymania wielkich i bardzo pomyślnych rezultatów, ale za zwiedzienie się rodu, za odrodki w najdalszych i niepamiętnych prapradziadów. Zamiast szukania pamięcią dowodu, że stado rzeczywiście się zwiedło, że te białe konie są odrodkami, (jak Niemcy nazywają Rückschläge) w dalekich pradziadów poprzestawano na fałszywej teorji, nasuwającej się zamiast faktu.

Czy nie tak samo miała się zapewnie rzecz z owcami, psami i innemi zwierzętami domowemi, których rozpłód nie był tak pedantycznie strzeżony, jak kosztownych koni? Ten lub ów mało co wyrodny samiec został przypadkowo dla dobrych przymiotów swojch i mimo małej odmiany wyrodnej lub umyślnie dla niej zostawiony przez kilka lat na wyłącznego i jedynego stadnika. Córki jego mogły mieć w mniejszym stopniu jego wyrodny przymiot lub wcale go nie mieć. Córki tych córek spłodzone z ojcem swych matek odziedziczyły już zapewnie po większej części przymiot ojca przynajmniej w stopniu jemu równym, a niektóre córki i syny przewyższyły go w tem z pewnością. Wszystko jedno teraz czy wyrodny ojciec był nadal zostawiony do rozpłodu z córkami i wnuczkami swemi, czy wyrodniejszy jeszcze syn jego zawsze przymiot, powstały pierwotnie może z przyczyny nieorganicznéj, stał się organicznym, z małéj i nic nie znaczącéj skłonności do dziedziczenia się, stał się zupełnie i silnie bo w pewnéj potędze dziedzicznym. U zwierząt małych i mnożnych występuje ta dziedziczność odmiany w 3 lub 4 pokoleniach, u zwierząt większych około siódmego pokolenia.

Wielka część odmian mogła stać się tym sposobem rzeczywistemi rasami przez samą tylko przewagę w rozpłodzie, daną jednemu indywiduum, łączonemu ciągle z najbliższemi krewnemi swemi, są jednak wypadki, gdzie sama ta jedna przyczyna nie mogła dać początku nowym rasom. Tak np. szczególnie do tuczności skłonne i prędko dojrzewające rasy powstały pewnie z dobierania ciągle i łączenia indywiduów, które posiadały ten przymiot. Domyślać się można z wielkiem prawdopodobieństwem, że wielka skłonność do tuczności i wczesna dojrzałość są skutkiem obfitego karmienia zwierząt w najmłodszym ich wieku i w czasie silnego wzrostu. Dobierając zwierzęta obojga płci z tym przymiotem do roz-

płodu, a nie karmiąc obficie ich młode treściwą karmą nie spotęguje się przymiot rodzicielski, przy skromném karmieniu za młodu zniknie zapewnie nawet. Karmiąc przeciwnie obficie i treściwie od najmłodszego wieku przychowek od rodziców, które prędko dojrzały i odznaczają się większą od innych skłonnością do tuczenia, spotęguje się pewnie u przychowku przymiot rodziców do wydatniejszego stopnia.

Rozróżnić zatém wypada rasy, których przymioty dziedziczą się mało zależnie od sposobu karmienia i pielęgnowania czyli rasy głównie w organizmie własnym uzasadnione od ras, których przymioty jakkolwiek bardzo zależne od organizmu zwierząt rozpłodowych, zależą zarazem niezmiernie od pewnego sposobu karmienia i pielęgnowania. Pierwsze dziedziczą i udają się w najróżniejszych miejscowościach, drugie wyradzają się i zwodzą łatwo w rasę miejscową.

Którym wpływom zawdzięczają rasy swe powstanie? Różnym niezawodnie, a w szczególe niektóre głównie fizycznym i mechanicznym, inne głównie chemicznym, inne nakoniec nieoznaczonym, powstałym przez kulturę. Ztąd można rasy podzielić na trojakie, mianowicie na *miejscowe*, *pokarmowe* i *sztuczne*.

Do *miejscowych* należą: a) stepowa, b) żuławska, c) alpejska, d) podgórska. Rasy te będąc odbiciem sumy przyczyn miejscowych utrzymują się w czystości dotąd tylko, dokąd każda z tych przyczyn jednakowo działa na zwierzęta. W miarę opieki człowieka i ścisłego doboru zwierząt do rozpłodu powstają nowe odcienia, które mogą zmienić charakter miejscowéj rasy bez najmniejszego mięszania jéj z inną i bez szczególnie odrębnego pielęgnowania tych z niéj zwierząt, które mają dać początek nowemu jéj odcieniu. W dzikich stadach najmniéj jest wyrodków, a najwięcéj do siebie podobnych indywiduów, w każdém jednak stadzie odkryje oko tro-

skliwego badacza różnice małe i niespostrzegalne dla mniéj badającego. Dobór tak mało odmiennych indywiduów jest dostatecznym do wychowania z nich nowego odcienia miejscowéj rasy. Dowodem tego wszystkie te rasy psów, gołębi, kur, kanarków, królików, które powstają niespostrzeżonym sposobem z zwierząt miejscowych i bardzo powszednich, bez wiadomości kto je wychował i bez najmniejszéj chwały dla tworzyciela swego.

Do ras *pokarmowych* liczyłbym dwie: a) *grubokościstą*, która jest zazwyczaj gruboskórną zarazem i b) *drobnokościstą*, która bywa przytém cienkoskórną i cienkowłosistą. Jaki sposób karmienia daje każdéj z nich początek, będę się starał wykazać niżéj mocą faktów naukowych.

W sztucznych rasach trudno jest rozróżnić pewne oddziały. Najlepszém byłoby może klasyfikowanie ich podług części ciała, lub zdolności, któremi odznaczają się sztuczne rasy jedne od drugich.

Zaczynając od głowy możnaby przypuścić a) rasy *intelektualne*, do których należą wszystkie psy pożyteczne intelektualną niejako zdolnością swoją, np. pudle, wyżły, psy owczarskie, nowofundlanckie, używane do ratowania ludzi itd.

b) *włosiste* odznaczające się obfitością włosa albo pierza na całém ciele albo na niektórych częściach jego, np. owce merynosy, angorskie kozy, koty i króliki, kury porosłe krętym czyli zajeżonym pierzem, gęsi z krętemi piórami, wiszącemi jakby wpół skręcone tasiemki.

c) rasy *szczególnéj tuczności* np. świnie chińskie, owce niektórych ras oryentalnych odznaczających się kilku do kilkunastofuntowym i w tłuszcz obfitym ogonem.

d) rasy *mléczne* np. duża rasa mlécznych kóz egipskich, bydło holenderskie.

e) rasy *karłowate* np. pieski pokojowe, bydło chińskie, karłowate kozy afrykańskie, kury bantam itd.

Intelektualne rasy utworzył człowiek niezależnie od klimatu, miejscowości i pożywienia przez ćwiczenie zwierząt do jednéj służby i przez dobór do rozpłodu takich, które się szczególnie do téj służby nadawały. Natężanie i ćwiczenie sił jednych więcéj niż drugich, dało pierwszym większe wykształcenie i przewagę nad inne do tego stopnia, że organizm uległ sztuce działającéj na niego przez kilkanaście pokoleń, przybrał dziedzicznie odpowiednią jéj budowę i przelewa tę budowę i zdolność do właściwéj mu służby na dalsze pokolenia. Stałość i niewyradzanie się ras intelektualnych są zależne od czystości pochodzenia rodziców i od sposobu pielęgnowania t. j. od wprawiania każdego pokolenia do właściwéj mu służby. Wspólnym warunkiem niewyradzania się wszystkich ras powstałych przez wprawę jest właśnie ta wprawa. Bez niéj znika pierwéj zdolność, a następnie zmienia się budowa powstała w skutek wprawy, a nie w skutek klimatu i pożywienia: chart, wyżeł, zarówno jak koń wyścigowy, chodząc gnuśnie przez kilka pokoleń po górach, tracą zdolności swoje i stają się psami zwyczajnemi i końmi mniéj sposobnemi do wyścigów i polowania.

Widząc jak gęstym puchem porastają zwierzęta na zimę w krajach północnych, możnaby sądzić, że zimno skłania wśród obfitego karmienia do wyrostu kręteg owłosa i piérza. Temu jednakże sprzeciwia się spostrzeżenie, że owce cienkowełniste, pudle, angorskie kozy i króliki, iżate kury i gęsi z kręconemi piórami pochodzą wszystkie z krajów łagodnego klimatu. Niedocieczona dotąd przyczyna, która sprawia, że w stadzie zwierząt jednorakich rodzi się jedno z włosem dużo mniéj kręconym, dłuższym lub cieńszym, musi być gwałtownie i wyjątkowo działająca. Inaczéj dałoby się spostrzedz stopniowe wyradzanie się np. owiec wełny krętéj w niekrętą i nie u jednego jagnięcia, ale u całego stada, a

przynajmniéj u większéj części jego, co się przecież nie zdarza.

Wielka skłonność do tuczenia zdaje się być skutkiem obfitéj i treściwéj karmy, dawanéj od najmłodszego wieku. Ta sama przyczyna, która skłania do wielkiéj tuczności i wcześnéj dojrzałości, jest zarazem powodem do cieńszego włosa i cieńszéj skóry i wyrastania stosunkowo mniejszych kości. Dorosłe nawet bydło, konie i świnie dostają włos cieńszy i miększy przez obfitą i treściwą karmę. Wysoki stopień tuczności skłania do utraty włosa, co szczególniéj widoczne jest u angielskich owiec bardzo tuczonych. Codzienne już doświadczenie nasuwa myśl, że cienkość skóry, miękki i ślniący włos, drobne kości, wczesna dojrzałość i wielka skłonność do tuczenia są tak samo skutkiem obfitéj a treściwéj karmy, jak przeciwnie gruba skóra, gruby i ostry włos, grube kości, późna dojrzałość i mała skłonność do tuczenia się, są wynikiem jałowéj paszy. Wszystkie rasy odznaczające się pierwszemi przymiotami są od najmłodszego wieku żywione ziarnem i pożywnemi ostatkami gospodarskiemi, wszystkie zaś podłe, grubokościste i grubym włosem pokryte, są żywione słomą, sianem i trawą. Najstalsza zatém rasa drobnokoścista wyrodzi się, cobym tu nazwał zdziczeniem i spodleniem, gdy przez kilka pokoleń będzie karmiona jałową paszą. Najpodlejsza przeciwnie uszlachetni się sama w sobie co do powyższych przymiotów, gdy będzie dobrze żywiona. I jeżeli która próba warta być przedsięwziętą na małych i mnożnych zwierzętach, np. na drobiu, to pewnie ta, bo mogłaby wykazać w krótkim czasie skutki, jakie ciągnie za sobą żywienie treściwą, a jakie jałową karmą.

Mléczne rasy nie są skutkiem klimatu ani gatunku pożywiénia. Niektórzy fizyologowie utrzymują wprawdzie że w gorących krajach krowy nie są mléczne z powodu

wielkiéj transpiracyi skóry, przeszkadzającéj utworzeniu się większéj ilości mléka. Zdaniu temu sprzeciwia się mléczność bawolic i kóz w gorących krajach. Mléczność powstaje przez częste i zupełne wydajanie, które popierane obfitą karmą drażni naczynia mléczne i wykształca je nienormalnie. Mléczne krowy znajdują się najobficiéj w krajach słynnych z dobrych pastwisk i gdzie jest zwyczaj nie dawać cielętom ssać własne matki, ale karmić je sztucznie zaraz od urodzenia. W krajach tych przypuszczają téż do buhaja jałówki półtorarocznie i 14-miesięczne nawet. Zdaje się, że obfite karmienie młodziutkich cieląt sztucznėm mlékiem czyli polėwką, żywnością zatém mniéj strawną niż mléko, czyni zwierzę żarłocznėm, a przecież mało skłonnėm do tuczenia się; ruch na pastwisku sprzyja téż mniéj tuczności niżeli obfite karmienie przy gnuśnėm staniu na stajni, wcześne nakoniec zapłodnienie jałówki i wydajanie młodéj krowy odprowadza strawioną żywność i nie da jéj obracać się w tłuszcz i mięso. Przeciwne postępowanie, osobliwie wcześne tuczenie, albo téż opóźnione stanowienie przeistaczają pierwsze mléczną rasę w tuczną, drugie w dużą może, ale podlejszą, późniéj dojrzewającą. Ciekawą jest rzeczą, czy nie będą od jednéj i téj saméj krowy i po tym samym buhaju te jałówki dojniejszemi krowami, które urodziły się, gdy u matki ich rozwinęła się mléczność do najwyższego u niéj możebnego stopnia, a mniéj dojną ta, która była pierwszym jéj płodem i przy któréj ona z jałówki krową została? Analogia z dziedzicznością innych przymiotów czyni domysł ten bardzo prawdopodobnym. Wiadomo bowiem, że źrebięta urodzone od kobyły przed jéj ujeżdżeniem pod wierzch lub do sztuk konnych, bywają mniéj układne pod wierzch i do sztuk konnych, niżeli źrebięta od téj saméj kobyły, urodzone po jéj ujeżdżeniu. Ten sam przy-

padek jest u pudlów i wyżłów uchowanych od suk przed ich układaniem i po wyuczeniu ich do pewnéj służby.

Zastanowiwszy się nieco nad skutkiem różnego sposobu pielęgnowania, chodowania i karmienia, jestem winien zastanowić się nad wpływem braku lub obfitości światła i nad wpływem soli kuchennéj i saletry na budowę i przymioty zwierząt.

Białość częściowa lub całkowita skóry, któréj towarzyszy srokacizna lub zupełna białość sierści, zdarza się bardzo często w chowie stajennym. Najobfitszemi w te odmiany bo nawet w kakerlaki są króliki trzymane całe życie w miejscach pół ciemnych. Nigdy przeciwnie nie zdarza się ta odmiana w królikarniach gajowych, gdzie się zwierzęta te jak np. w Francyi wolno i pod gołém niebem chowają. Białowłose zwierzęta są téż częstém zjawiskiem w wysokiéj północy. Niektórzy utrzymują, że myszy chowane w klatce, gdy częstego doznają głodu rodzą młode zupełnie białe lub biało-srokate. Niedostateczne wszakże żywienie i częsty głód wpływają zapewnie bardzo mało na białość skóry, włosa i piérza. Przy najobfitszém żywieniu, w najróżniejszych klimatach, w moczarnych zarówno jak w suchych i górzystych położeniach, przy treściwém zarówno jak przy jałowém pożywieniu jest białość stałą towarzyszką chowu stajennego. Z wielkiém przeto prawdopodobieństwem można ją przypisać przytłumionéj transpiracyi i brakowi światła. Siwienie zwierząt na starość w zimie i w wysokiéj północy przemawia za tém. Jeżeli prawdą jest, że kwiaty kolorowe w pstre się zmieniają przez uprawę na gruntach nawożonych saletrą, to mogłaby sól ta sprawiać srokaciznę i zupełną białość u zwierząt w chowie stajennym, saletra bowiem powstaje nadto łatwo około domów i stajen, aby jéj nie miały zawierać w maleńkich ilościach wody wszystkich studzien blisko domów i stajen leżące.

Że sól kuchenna czyni włos bardziéj ślniącym i gładkim, dowiódł Boussingault. Jaki jest wpływ jéj na resztę organizmu, mianowicie na wielkość błon śluzowych i na grubość kości, nie wiadomo. W ogóle jednak zdają się mieć wielki wpływ na włosy sole, których zasady są alkaliczne. Profesor Flourens w Paryżu utrzymuje, że źrebięta, które się rodzą przypadkiem w salinach Wielickich, od kobył w źrebnym stanie do kopalni spuszczonych, bywają mało lub wcale nieporosłe włosami. Przerost czyli wyrost nieprawidłowy bądź całego ciała, bądź pojedynczych jego części, jest bardzo zwyczajnym w chowie stajennym. W stanie natury wyrasta nad miarę całe ciało zawsze w skutek obfitości pożywienia. Każdy prawie gatunek zwierząt domowych przedstawia przykłady nieprawidłowego wzrostu to całego ciała, to pojedynczych jego części. Między uprawnemi rasami koni są niektóre dwa razy większe od dzikich; celne rasy bydła, koni, owiec i świni odznaczają się wszystkie przerostem to jest nienormalną wielkością zadu i części ciała obfitujących w mięsce czyli muszkuły. Jakiéj przyczynie można przyznać tę nienormalność? Oczywiście żadnéj innéj, jak obfitości karmy i doborowi do rozpłodu zwierząt niezwyczajnie zbudowanych. Maleńkie różnice, zaledwo spostrzegalne u zwierząt miernie karmionych i nie powiększające się prawie przy szczupłém karmieniu przychowku, którego oboje rodzice mieli w małym stopniu ten przerost, występuje bardzo znacznie u przychowku obficie karmionego. Wielka część tych przerostów jest rzeczą upodobania, nie mówiąc jednakże o samych tylko odmianach pożytecznych, ale w ogóle o wszystkich i bez względu na ich użyteczność u jednych a zbyteczność u drugich zwierząt, wyrażam fakt, że wszelkiemu wyrostowi nad normę całego ciała lub niektórych tylko członków sprzyja obfite karmienie, a stoi na zawadzie skromne. Długość nienormalna uszów u

królików, wysoko ceniona przez miłośników ich chowu, wielkość kokonów u jedwabników i t. p. nienormalne przerosty dają się osiągnąć tylko przy obfitém karmieniu.

Co za przyczyny dają początek czyli zarodek skarłowacenia pojedynczych części ciała jest tak dobrze dotąd tajemnicą natury, któréj się trudno domyśleć, jak i przyczyn, które sprawiają przerost pewnych członków. Niektóre z przerostów zdają się być wynikiem przyczyn mechanicznych. Tak wyrasta np. zad zazwyczaj dokładniéj w miejscach górzystych, krótkie nogi towarzyszą więcéj bujnym równinom i żuławom, lecz wyrost nad miarę uszów, brak kości pacierzowych stanowiących ogon i inne skarłowacenia są skutkiem przyczyn, których nie wiedzieć nawet gdzie upatrywać i szukać potrzeba. Gdy się ustalą przez kilka pokoleń odmiany te w cechę osobnéj rasy, okazują się ponajwiększéj części niezależnemi od miejscowości, sposobu karmienia i pielęgnowania. Badać należałoby warunki w których rozwijają się do wyższego stopnia, a w których znikają łatwo. W kwestyach tego rodzaju jest fizyologia zupełnie niemą, dla tego nie może być jeszcze mowy o fizyologii zastósowanéj do chodowli zwierząt i roślin, o któréj marzyli Niemcy na trzynastém posiedzeniu niemieckich gospodarzy w Magdeburgu w r. 1850. Do takiéj fizyologii potrzebne jest zebranie faktów i doświadczeń z praktyki, z chodowli zwierząt, z ogrodnictwa, ze spostrzeżeń na jarmarkach i z badań długoletnich. Fizyologia ogólna czyli naukowa wyświeca tylko skutki przyczyn szybko i gwałtownie niejako działających, gdy zadaniem fizyologii rolniczéj byłoby wyjaśnienie skutków tych przyczyn, które nie jednorazowém działaniem, ale działając przez jedno lub dwa pokolenia pomagają lub przeszkadzają gospodarzowi do jego celów.

Środki do bardzo znacznego i spiesznego modyfikowania budowy i przymiotów, zostające w mocy czło-

wieka są: 1) gatunek i obfitość karmy, 2) stanowienie wyłącznie lub przeważnie jednym samcem, 3) łączenie zwierząt w najbliższém pokrewieństwie.

Najwięcéj rozmaitości z tych wszystkich przedstawia *pożywienie*. Weźmy np. jak różnie może mechanicznie i chemicznie działać karmienie trawą. Inaczéj będzie skutkować ta pasza, gdy ją zrywa sobie zwierze samo na polu i łąkach, inaczéj, gdy ją dostaje w świeżym stanie w okole lub w stajni, a inaczéj gdy będzie dawana w suszonym stanie.

W pierwszym przypadku trzeba większych ilości karmy z powodu ruchu, jaki ciągnie za sobą chodzenie najmniéj raz na dzień na pastwisko i powrót na noc do stajni, nakoniec oziębienie przez dészcze, zarówno jak powiększona transpiracya w czasie upałów. Właśnie ten ruch i wybór roślin najsmaczniejszych tylko nie zdeptanych i nie powalanych czyni, że zwierze nie może łatwo tyle zjeść w jednym dniu na pastwisku, co w stajni. Wielkie rasy są dla tego częściéj wynikiem dawania przynajmniéj połowy karmy w stajni lub w okole, a zbierania sobie drugiéj tylko połowy przez zwierzęta same na pastwisku. Sztuczne tylko albo wyjątkowo z natury już bardzo urodzajne pastwiska i łąki mogą wypędzić nienormalnie wzrost zwierząt. Natomiast wykształca ruch na pastwisku muskularność i nadaje kształtniejszą i silniejszą budowę nóg. Ciężar ciała spada w czasie powolnego ruchu i na nierównném miejscu z jednéj nogi na drugą i rozdziela się równiéj; ztąd mniéj koszlawych, krzywych i orczykowatych nóg w stadach pasących się w lecie, nie wiązanych za młodu i chodzących w zimie na spacer, niżeli u więzionych i dręczonych cały rok w stajni. Ta sama różnica grzbietów jest podług chowu wolnego albo dręczenia wiązaniem. Czy widział kto owce, psy lub kozy z tak potwornie krzywemi nogami i wklęsłemi grzbietami, jak są krowy

stajennie chowane? Słoty i małe zimna na pastwisku ściągają skórę, czynią ją grubszą i włos ostrzejszym i gęstszym; ruchem ciągłym wykształca się kosz piersiowy, natomiast rozwija się lepiéj w stajni skłonność do tuczenia, lecz nigdy nie wyrówna wesołością, kształtnością i wytrwałością na zimno i słoty zwierzę na uwięzi chowane temu, które w wolności wyrosło. Wielka nawet skłonność do tuczenia się będąc nierozłączną od szerokich piersi i obszernego kadłuba, nie może być osiągniętą przy chowie młodych zwierząt zupełnie stajennym.

Siano powinnoby zawierać te same części pożywne co trawa, z któréj powstało, analiza chemiczna wykazuje téż tę samą pożywność siana, jaką powinnoby mieć, gdyby trawa stając się sianem traciła tylko większą część swojéj wody. Zważywszy jednak, iż mało jest lat, w których uda się zrobić siano tak aby nieokruszyły się listki i nie zmoczył go żaden dészcz, przyznać trzeba, że inny musi być skład i inna pożywność siana robionego w laboratorium chemika, a inny skład i pożywność siana robionego pod gołém niebem i w wielkich rozmiarach.

Ważna jeszcze zachodzi różnica w składzie mléka, co do zawartego w niém masła, podług tego czy matki chodzą na pastwisku lub trzymane są ciągle w stajni. W pierwszym przypadku i w zimie jest mléko bogatsze w twaróg, w drugim w masło. W zimie obfituje ono więcéj w sole nierozpuszczalne w wodzie, w lecie w rozpuszczalne. Tłuszcz zawarty w mléku matki staje się zapewne tak znowu tłuszczem młodego zwierzęcia, jak to ma miejsce u innych pokarmów, zjadanych przez zwierzęta dorosłe.

Brak rozbiorów chemicznych, z którychby widzieć można, jaki jest skład mléka jednéj i téj saméj matki, gdy jest żywiona pewnym pokarmem, a jaki, gdy ży-

wiona jest innym, nie pozwala wnioskować, jaki może być wpływ mléka na budowę młodych, podług tego, czy matki zjadają te lub owe pokarmy.

Zastanawiając się nad ilością mineralnych części w różnéj karmie, zastępującéj 100 funtów siana, czyli karmiącéj tak samo jak 100 fnt. siana, okazują się bardzo znaczne różnice w ilości mineralnych części zjadanych w téj lub owéj rocznéj karmie, wynoszącéj zawsze tę samą wartość siana. I tak:

	bywa mineralnych części
W 100 funtach siana łąkowego . . .	5 do 8 funtów.
W 470 „ najlepszéj trawy (pół koniczu czerwonego, pół rajgrasu)	6,2 „
W 167 funtach plów mięszanych z różnych gatunków zboża	20 „
W 300 funtach słomy z różnych gatunków zboża	15 „
W 600 funtach brahy czyli wywarów ziemniaczanych	10 „
W 430 funtach pasternaku lub marchwi	6 „
W 663 „ turnipsu czyli rzepy angielskiéj	4,5 „
W 39 funtach makuchów pół lannych pół rzepakowych	3,5 „
W 223 funtach młóta	2,7 „
W 309 „ buraków cukrowych	2 „
W 183 „ ziemniaków	1,5 „
W 50 „ owsa	1,15 „
W 35 „ bobu	0,9 „

Mineralne części wchodzą wprawdzie w skład mięsa, skóry, krwi, włosów, wszystkich soków i części ciała zwierzęcego, głównie jednak służą one do sformowania kości, jako stałéj podstawy ciała zwierzęcego. Nie wszystkie istoty mineralne wchodzące w skład organi-

zmów znajdują się w równéj ilości w różnych częściach organizmu. W kościach przeważa nadewszystko fosforan wapna, którego zawierają w przecięciu przeszło 50%, gdy w mięsie zupełnie wysuszoném jest go zaledwie 1%. We krwi przeważają alkalia i więcéj jest żelaza, niż w którejkolwiek innéj części organizmu zwierzęcego. Krzemionki zawierają wszystkie części ciała nadzwyczajnie małe ilości, w największéj jeszcze znajduje ona się w włosach i piórach. W chrząstkach jest więcéj siarkanów alkalicznych, niżeli w innych częściach ciała.

Nie twierdzę wcale, że kości zwierzęcia zjadającego więcéj niż potrzeba karmy obfitéj w wapno lub w kwas fosforowy zawierać będą nienormalną ilość tych istot mineralnych, choć to bardzo być może, lecz utrzymuję, że młode zwierzę zjadając więcéj karmy obfitującéj w części mineralne kościotworne, więcéj w kości wyrastać będzie, niżeli inne młode zwierzę zjadające karmę mniéj obfitującą w te części. Młode zwierzę żywione cały rok słomą, sianem i plowami będzie mieć grubsze kości, niżeli inne zwierzę młode dostające ziarno zbożowe zamiast $1/4$ części plów i słomy.

Gdyby organizm zwierzęcy w tak małych granicach mógł się zmieniać jak minerały, gdyby zatém miał normy tak stałe, jak one, byłoby pole doskonalenia zwierząt i tworzenia ras nadzwyczajnie małe. Szczęściem tak nie jest, organizm może bez ucierpienia na zdrowiu bardzo daleko odstąpić od normy naturalnéj czyli dzikiéj, mianowicie równie w ilości pokarmów, w ich gatunku i fizycznym stanie, jak i w istnieniu wśród bardzo różnych stopniowań przyczyn fizycznych, jakiemi są klimat, miejscowość itd. Porównajmy co do wzrostu kucykowatego konia dzikiego z angielskim koniem piwowarskim; stosunek jednych części ciała do drugich w szkapie podłéj rasy do stosunku tego w koniu wyści-

gowym arabskim lub angielskim; ospałość pierwszéj a żywość i wesołość w drugim; opasłość świni chińskiéj z budową i hybkością dzika; płodność gołębia domowego z przymiotem tym u dzikiego; nagiego psa afrykańskiego do wełnistego pudla lub puchowatego pińcza, porównajmy szczególnie różne rasy psów co do budowy, kadłuba i szczęki a nawet ilości i jakości zębów, co do wzrostu, co do czasu ciężarności i innych przymiotów psów różnych ras. Gdzież tu szukać tak ścisłéj normy w żywieniu się i w zamieszkaniu pewnéj miejscowości? Czy można twierdzić w obec tych różnic, że organizm zwierzęcy ma pewną miarę, instynktową lub jakiejkolwiek natury, do zjadania różnych pokarmów w takim tylko stosunku jednych do drugich, jakiby czynił niemożebnym różny skład jego soku limfowego? Równie twierdzić nie można, że organizm przybiera z każdéj karmy jednakowe ilości mineralnych części, że nieprzyswaja sobie zbytku jednych lub drugich lecz wydziela go z siebie. Przeciwnie da się znacznie modyfikować organizm, bez uszkodzenia jego zdrowia, a silnym środkiem do tych modyfikacyi jest gatunek karmy, jéj stan fizyczny i ilość. Nie chodzi tu wcale o oznaczenie granic, w których nadziewać niejako i napychać można zwierzęta dla nadania im większego wzrostu, mniejszych kości, większéj skłonności tuczenia się albo porastania grubym lub cienkim włosem, ale rozliczne fakta wskazują, że to *jest* w mocy człowieka.

Przyjęte jest, że młode i rosnące zwierze jest dostatecznie karmione, gdy dostaje na każde 100 funtów swéj wagi na nogach 3,3 fnt. siana dziennie, albo odpowiednią temu ilość innéj karmy. Akuratność wzoru tego, czyli formułki téj, została w tych czasach bardzo mocno zachwianą pracami Alliberta, profesora zootechniki w szkole rolniczéj w Grignon, lecz stosunek mineralnych części spożytych w karmie rocznéj jałowéj do ilości tychże

części w karmie treściwéj nie zmienia się przez to wcale. Mała téż wypadnie różnica, gdy kto przyjmie inne liczby zastępne siana, zamiast tych, których użyłem tu trzymając się doświadczeń Wolfa, profesora z Hohenheimu.

Przypuściwszy, że młode, od cycka odsadzone zwierzę potrzebuje w przeciągu pierwszego roku życia swego 3000 fnt. siana lub wartość jego, natenczas:

I. Żrebie jałowo karmione zjada:	krzemionki	potażu i sody	wapna i magnezyi	tlenku czyli niedokw. żel.	kwasu fosfor.	kwasu siark.
	f	u	n	t	ó	w
W 750 funt. siana składającego się na pół z koniczu czerwonego, a na ½ z rajgrasu	14,6	12,9	12,6	0,2	3,0	1,0
W 3525 funt. téj paszy w stanie zielonym	14,0	12,9	12 6	0,2	3,0	1,0
W 2250 funt. słomy złożonéj w ⅕ z pszennéj, w ⅕ z żytniéj, w ⅕ z owsianéj, w ⅕ z jęczmiennéj i ⅕ bobowéj	48,7	25,9	15,0	0,6	4,0	3,4
W 1250 funt. plów mięszanych	114,0	16,0	14,0	1,7	7,0	2,0
razem	191,9	65,7	54,2	2,7	17,0	7,4
Rocznie zjada w téj karmie, prócz zawartéj w niéj soli kuchennéj 338 funt. mineralnych części.						
II. Treściwie karmione zjada:						
W 750 funt siana i 3225 trawy	29.2	25,8	25,2	0,4	6 0	2,0
W 313 funt. plów	34,0	4,0	3,5	0,4	1,4	0,4
W 375 funt. owsa	4 0	1,6	1,0	0,1	2,0	0,2
W 138 funt. bobu	0,2	2,0	0,5	0,05	1,7	0,09
W 562 funt. słomy	12,0	5,7	3,7	0,1	2,0	0,8
razem	79,4	39,9	33,9	1,5	12,1	1,49

Numer ten zjada w swéj paszy, prócz zawartéj w niéj soli kuchennéj 167,5 funt min. części, czyli o 50% mniéj, niżeli numer poprzedni w karmie swojéj, mającéj tę samą wartość pożywną.

III. Ciele jałowo karmione zjada:	krzemionki	potażu i sody	wapna i magnezyi	tlenku czyli niedokw. żel.	kwasu fosfor.	kwasu siark.
	f	u	n	t	ó	w
W 750 funt. siana i 3225 funt. trawy	29,2	25,8	25,2	0,4	6,0	2,0
W 4500 funt. brahy ziemniaczanéj	8,0	72,0	10,0	?	16,4	10,5
W 2250 funt. słomy mięszanéj	48,7	23,9	15,0	0,6	4,0	3,4
razem	85,9	121,7	50,0	1,0	26,4	15,9
W téj paszy zjada prócz soli kuchennéj 280 funt. miner. części.						
IV. Ciele treściwie karmione zjada:						
W 750 funt. siana i 3525 trawy	29,2	25,8	25,2	0,4	6,0	2,0
W 138 funt. bobu	0,2	2,0	0,5	0,05	1,7	0,09
W 1486 funt. turnipsu	0,5	4,0	1,0	0,05	0,9	1,0
razem	29,9	31,8	26,7	0,5	8,6	3,09
Ciele treściwie karmione zjada w swéj paszy rocznéj 100,7 funt. min. części, czyli o 64% mniéj niżeli numer poprzedni w paszy swojéj, mającéj tę samą wartość pożywną.						
V. Dwoje prosiąt jałowo karmionych zjada przez 9 miesięcy:						
W 405 funt. plów mięszanych	43,6	5,0	4,5	?	1,8	0,15
W 1156 funt. trawy	4,5	4,2	4,1	?	0,9	0,3
W 1476 brahy ziemniaczanéj .	2,6	25,0	3,6	?	5,0	3,4
razem	50,7	34,2	12,2	„	7,7	4,2

Zjadają w téj paszy 109 funt. min. części.

VI. Dwoje prosiąt treściwie karmionych zjada przez 9 miesięcy:	krzemionki	potażu i sody	wapna i magnezyi	tlenku czyli niedokw. żel.	kwasu fosfor.	kwasu siark.
	f	u	n	t	ó	w
W 1156 funt. trawy	4,5	4,2	4,1	?	0,9	0,3
W 95 funt. makuchów	1,7	1,7	1,7	?	2,5	0,1
W 566 funt. młóta (jest 6 funt. popiołu).	2,0	?	?	?	?	?
razem	8,2					
Zjadają w téj paszy 27,9 funt. min. części, czyli o 73% mniéj niżeli numer poprzedni w karmie swojéj, mającéj tę samą wartość pożywną.						
VII. Kilka sztuk drobiu jałowo karmionych przez 6 miesięcy zjada:						
W 850 funt. młóta (10 funt. popiołu)	4,0	?	?	?	?	?
W 667 funt. ziemniaków (5,8 funt. popiołu)	0,06	2,8	1,6	0,06	2,0	1,0
razem 15,8 funt min. części.						
VIII. Kilka sztuk drobiu treściwie karmionych przez 6 miesięcy zjada:						
W 175 funt. kukurudzy (1,9 popiołu)	0,6	0,6	0,2	?	0,3	0,03
W 182 funt. owsa (4 funt. popiołu)	1,5	0,9	0,4	?	1,0	0,05
razem 5,9 min. części czyli o	2,1	1,5	0,6	?	1,3	0,08

62% mniéj niżeli numer poprzedni w karmie swojéj, mającéj tę samą wartość pożywną.

Z powyższych liczb można wnioskować, że jałową karmą żywione młode i rosnące zwierzęta muszą mieć grubsze kości, niżeli inne treściwie za młodu karmione. Ostatnie muszą pierwéj dojrzewać, tuczyć się i większe wyrastać niż pierwsze, słowem gatunek karmy jest silną potęgą do modyfikowania budowy i przymiotów zwierząt. Bo czy może to być wszystko jedno dla organizmu, czy on dostaje swoje roczne pożywienie w 4351 czy w 2481 funtach? W I. bowiem przypadku zjada tę samą ilość pożywnych części w 4351 funt. suchej treści. w II. przypadku w 2481 funt. czyli w karmie blisko dwa razy treściwszèj. Nikt też zapewnie utrzymywać nie zechce, że ilość wody potrzebna do rozmoczenia 2481 funtów suchéj treści i do wyciągnienia z nich rozpuszczalnych części wystarczy także do rozmoczenia w tym samym stopniu 2 razy tak wielkiéj ilości. Innego wreszcie czasu potrzeba do zjedzenia 10 funt. słomy, a innego do 3,4 funt. siana, albo do zjedzenia $1\frac{1}{2}$ funt. owsa itd.

Treściwe pokarmy zajmują zwykle małą objętość w porównaniu do jałowych, higjena weterynarska mówi zaś, że do dobrego trawienia potrzebne jest pewne wypełnienie żołądka. Czy to rzeczywiście tak trudno osiągnąć pokarmami treściwemi? Mléko jest ze względu na stałe części swe najtreściwszym z wszystkich pokarmem, zawarta w niem woda nadaje mu przecież objętość potrzebną do strawności. Któraż zatem karma może niestanowić wraz z potrzebnym do niéj napojem czyli wodą objętość niedostateczną do wypełnienia żołądka zwierzęcego w stopniu potrzebnym do trawienia? Ciele naprzykład dla pewnego celu, 6 miesięcy treściwą tylko karmą żywione nie ucierpi wcale na zdrowiu, umiarkowaną ilością karmione rośnie mocno i uszlachetnia się, zbytnią tuczy. Mnóstwo przykładów dałoby się przytoczyć na dowód, że nauka chodowli nie jest zawsze wy-

razem doświadczeń i spostrzeżeń i nie wskazuje dróg do celów specjalnych.

Próbójmy teraz wyprowadzić, z teoretycznego poglądu tego na rasy, wnioski praktyczne, stosujące się do wyż wymienionych czterech przypadków, możebnych w chodowli zwierząt domowych.

Jestże w chowie owiec merynosów dostatecznem sprowadzenie najlepszych matek i tryków i oddanie ich pod opiekę owczarza i ekonoma, z których żaden nie rozumi więcéj nad to, że potrzebna jest na każdą sztukę pewna ilość téj lub owéj paszy, czystość, ciepło w stajni itd. Dla czegóż w Niemczech, osobliwie w wielkiéj części Prus udają się doskonale owce cienkowełniste? W niektórych owczarniach osiągnięto nawet znaczne ulepszenie bądź co do obfitości runa, bądź co do cienkości wełny. Przyczyną częstego niepowodzenia owczarni naszych, osobliwie galicyjskich, jest nieznajomość szczegółów w sposobie klasyfikowania owiec, niedbałość w karmieniu, a jeszcze większa w doborze tryków. To samo w chowie koni krwi pełnéj wyścigowéj. Chodownicy nasi trzymają się zazwyczaj ogólnych tylko zasad, do których należy np. dobór zwierząt krwi pełnéj, dobre karmienie w ogóle i t. d. A przecież może źrebna i karmiąca stadnica dobrze wyglądać na samém sianie, choć ono niedostateczne jest dla niéj do należytego wykarmienia źrebięcia przeznaczonego do wyścigów. W najczystszéj wreszcie rasie zdarzają się liche i wyrodne indywidua, które mimo czystości ich pochodzenia wykluczyć należy od rozpłodu, wybierając natomiast zwierzęta mniéj czystéj krwi, ale silne i dorodne. Pełna krew jest tylko rękojmią dziedziczności typu swéj rasy, ale nie jest wcale rękojmią przeciw chorobliwemu niedołęztwu, i nie może być tarczą przeciw skarłowaceniu wśród niedostatecznéj karmy. W ogóle przesadzoną bywa u nas wartość czystéj rasy i krwi pełnéj.

W polepszeniu rasy podłéj szlachetniejszą jest częstokroć rzeczywista wyższość poprawiającéj rasy czystym wynikiem lepszego karmienia i wyrozumowanego doboru zwierząt do rozpłodu, a oznaki rasy są tylko formą nie mającą żadnéj rzeczywistej wartości. Cóż bowiem zależy na tem w poprawieniu bydła polskiego szwajcarskiem lub holenderskiem, czy otrzymane mięszańce będą téj lub owéj maści, czy oddziedziczą podgardle po szwajcarskiéj rasie, albo krótkie i na przód pochylone rogi po holenderskiéj, byle były duże, a krowy z nich mléczne? Całe powierzchowne podobieństwo poprawnych źrebiąt do ogierów szlachetnych i cieląt do buhajów poprawiającéj rasy, jest rzeczą zupełnie obojętną. Celem krzyżowania jest nadanie rasie podłéj spieszno i najdaléj w dwóch pokoleniach tych własności, które jéj lepszém karmieniem i troskliwym doborem z niéj zwierząt do rozpłodu nadać można w równym stopniu zaledwo w kilka pokoleń. Dla tego jest rzeczywistem zepsuciem rasy stanowienie kobył małych naszéj fornalskiéj czyli tak zwanéj chłopskiéj rasy ogierami szlachetnemi, gdy ogiery te nie są już same raczéj dużemi roboczemi końmi niżeli zbytkowemi. Nie zdaje się téż wcale, aby konie bardzo wcześnie dojrzewające lub odpowiednio temu karmione mogły mieć należycie grubę kości i tak wielką massę w stosunku do swego wzrostu, jak ją powinny mieć konie przeznaczone do cierpliwéj i ciężkiéj pracy.

Wady i zalety zwierząt naszéj krajowéj rasy bywają niezawodnie przesadzane. Bydło krajowe ma być mięszaniną ras rozmaitych, konie zaś chłopskiéj rasy mają być niezmiernie czystego i dzielnego, lecz podupadłego rodu. Owcom naszym grubowełnistym przypisują jedni zalety, jakich one mieć nie mogą, inni osądzają ich jednostronnie i widzą w nich tylko wady.

Bydło nasze jest mniéj mieszaniną, a więcéj wyrazem niedbałéj chodowli i dla tego jest różnorakie i rzeczywiście podłe w porównaniu do ras uprawnych. Te same przyczyny, które posłużyły w innych krajach do wychowania rasy bardzo mlécznéj, albo łatwo tucznéj i prędko dojrzewającéj, wydałyby i u nas te same skutki. Bacznemu oku nie trudno jest upatrzyć między bydłem krajowéj rasy pojedyncze sztuki jeżeli nie celnéj budowy, to przynajmniéj bardzo do niéj zbliżonéj. Przymioty celnych ras bydła nie są wynikiem szczególnych i wyjątkowych przyczyn, ale prostym skutkiem pielęgnowania odpowiedniego pewnemu celowi i skutkiem dobrego karmienia. Gdyby sobie kto założył przeprowadzenie koni rasy ciężkiéj lub podłéj w wyścigową, albo owiec grubowełnistych w merynosy, musiałby zapewnie pracować wytrwale wiek cały, ale różnica między zwierzętami budowy celującéj dla rzeźnika a średniéj nie jest przecie tak oddalona. Ten sam przypadek jest co do mléczności; niewychowaliśmy tego w kraju o co się nikt nie starał i starać nie umiał, przymioty przeto naszych zwierząt chowanych dla mięsa i mléka są tak dziełem przypadku, jak celne przymioty angielskiego bydła, owiec, świń i drobiu są dziełem usilnéj pracy i wyrozumowanego doboru zwierząt rozpłodowych. Czas potrzebny do uszlachetnienia rasy krajowéj saméj w sobie może być bardzo krótki i rezultaty mogą być w drugiem lub trzeciem pokoleniu ogromne, a mogą też być małe i nieznaczne w dziesiątém jeszcze. Wszystko to zależy od doboru pierwszych zwierząt, osobliwie matek, co wcale nie jest łatwe. Bystre tylko oko i pilna uwaga potrafią rozróżnić pomiędzy tysięcem źle i miernie zbudowanych zwierząt jedno celne. Uwzględnijmy do tego mały wzrost, ochudłość i złe utrzymanie przytłumiające niezmiernie dobrą budowę, a przyznać należy, że ta sama bystrość i pilna uwaga potrzebne do ku-

pna kobył w założeniu stada, jeszcze potrzebniejszemi okazują się w doborze samic do chowu zwierząt dla mléka i mięsa. Od tego zaczynali wszyscy gospodarze angielscy, którzy ulepszyli do wysokiego stopnia rasę krajową. Niezmiernie opóźniającą w téj mierze jest chęć zrobienia wszystkiego odrazu, a to przez zły wybór dużych matek dla osiągnienia odrazu dużych zwierząt i stanowienie tak jednostronnie dobranych, bo wzrostem tylko celujących matek szlachetnie zbudowanemi samcami. W tém chybiamy zarówno w krzyżowaniu rasy krajowéj, jak i w uszlachetnianiu jéj saméj sobą. Zwierzęta celnie zbudowane należące do rasy krajowéj nieposiadają zazwyczaj w stopniu ustalonym i mocno dziedzicznym celne przymioty swoje, pierwszą przeto rzeczą jest ustalić je w nich samych. Najczęściéj jest zarazem potrzebne uwydatnienie i spotęgowanie tych przymiotów. Do tego wiedzie najspieszniéj zamknięcie rasy czyli łączenie najlepszego z najlepszem bez względu na pokrewieństwo a nadewszystko bez przypuszczenia do rozpłodu zwierząt obcych dokąd nie otrzyma się zwierząt obojga płci z wydatnie szlachetniejszą budową i z własnością przelania swych przymiotów na młode spłodzone z niepokrewnemi i obcemi sobie zwierzętami.

Konie chłopskiéj rasy są skarłowaciałym rodem koni dużych najróżniejszego pochodzenia. Dosyć jest porównać z uwagą kilkadziesiąt chłopskich koni, aby spostrzedz między niemi bardzo znaczne różnice. Wspólne im są tylko te przymioty, które są więcéj skutkiem jednakowego sposobu karmienia i pielęgnowania, a raczéj niedbalstwa i częstego niedostatku. Nie ma stada, w któréмby nie było przypadków skarłowacenia pojedynczych indywiduów przez choroby, przedwczesną utratę matki i inne przyczyny. Półskarłowaciałe indywidua takie, dosyć jest aby się dostały w ręce mniéj dbałych opiekunów, aby pierwsze ich pokolenie oddaliło się już

nie do poznania od dziadów swoich wzrostem, grubszym włosem i niepozornością swoją. Porównajmy tylko konia jakiejkolwiek rasy skromnie za młodu karmionego i już przy cycku zaniedbanego z koniem od tych samych rodziców, ale od najmłodszego wieku pielęgnowanym i dobrze karmionym, a wielki tylko znawca zgadnie jedność ich pochodzenia. Kto się przypatrzył źrebiętom czystéj chłopskiéj rasy, gdy matka i źrebię są dobrze karmione, spostrzegł pewnie, jak małe i ledwo znaczne wady i zalety rodziców występują zawsze w takiem źrebięciu wybitniéj i czynią go czasem bardzo dzielnym podjezdkiem, a czasem lichym tylko wypaskiem.

Zalety chłopskich koni leżą w ich małym wzroście, w przyzwyczajeniu do skromnéj karmy i właśnie w tém zaniedbaniu, które raczéj dzikim chowem niżeli zaniedbaniem nazwaćby można. Od dzikich koni różnią się tylko obłaskawieniem i przymiotami takiego chowu stajennego, który mało się różni od dzikości. W stosunku do koni ras uprawnych są one karłowatą i podupadłą rasą, w stosunku do dzikich obłaskawioną tylko. Karmione od młodu obficie, ale strawą jałową, trzymane dużo na uwięzi w stajniach dobrze od zimna zaopatrzonych ale zarazem dusznych i dobierane podług wielkości massy, wyrodziłyby się pewnie w ciągu kilku pokoleń tak dobrze w dużą, chorobliwą i najpodlejszą z wszystkich rasę czeską, jak wyradzają się przez kilka pokoleń u dobrych gospodarzy w najlepsze półrosłe konie fornalskie, zdatne zarówno do lekkiéj konnicy, jak i do gospodarskiéj pracy. W chłopskich koniach jest materyał tak dobrze do dzielnych koni roboczych miernego wzrostu, jak i materyał do koni dużych, zawsze więcéj niż małe i średnie obfitujących w niedołęgi.

Wielkość sama nie ciągnie za sobą skłonności do kalectwa, ale sposób pielęgnowania dający koniom wzrost

wielki: przesadne karmienie obok małego albo zbyt rzadkiego a za to natężającego ruchu wyradza kalectwo i skłonność do niego. Rzadko kiedy i wyjątkowo tylko zdoła człowiek podnosić jednocześnie dwa odrębne, choć nie przeciwne sobie przymioty; w miarę podnoszenia jednych, zaniedbuje drugie, ztąd jednostronność ledwo nie konieczna dzieł wysokiéj kultury.

Krzyżowanie krajowéj rasy szlachetną obcą, nie jest zawsze najkrótszą drogą poprawienia, czasem bywa nawet zupełnie daremną. Cóż pomoże np. uszlachetnienie koni polskich arabskiemi lub wyścigowemi dla nadania im cienkiéj skóry, jedwabnistego włosa i szczególnego kłusa, kiedy się sprzeciwia pierwszym dwom klimat nasz i sposób karmienia więcéj sianem niż ziarnem, a poziomemu i sztychującemu kłusowi górzyste położenie niektórych okolic naszych? Nadewszystko jaki może być rachunek w podobnéj walce daremnéj z miejscowemi cenami, klimatem i zwyczajem? Drugie pokolenie pokrywa się już sierścią odpowiednią paszy i klimatowi, w którym żyje, a całe odświeżanie krwi niezbędne w tak uporczywem przedsięwzięciu jest tylko zabawką kosztowną, a niepożyteczną nikomu, bo sprzeczną z naturą kraju i potrzebami jego. Mniéj ozdobny włos koni zupełnie spolszczonych nie jest jeszcze szpetnym, a odpowiada lepiéj miejscowości i użytkowi, do jakiego służą u nas konie. Ogier kosztujący 200 do 300 dukatów może się u nas bardzo dobrze rentować pokoleniem swojem, ale nikt nie znajdzie u nas rachunku w ogierze za 400, 500 albo i wiecéj funtów sterlingów, a przecież mało jest wypadków, aby celnego ogiera arabskiéj lub angielskiéj rasy wyścigowéj za tę cenę dostać można.

Uszlachetniając krajowe konie obcemi, daje się często pierwszeństwo źróbkom najwięcéj podobnym do ojca w przymiotach nawet które nie mają żadnego związku

z użytecznością, natomiast odsuwa się od rozpłodu te, które choć mniéj podobne do arabskiego lub angielskiego ojca swego, są rzeczywiście lepsze. Ztąd pochodzi ta obfitość nieużytecznych koni między wysoko uszlachetnionemi, niemléczność krów między poprawnemi i t. d. Mając celne rasy bądź do aklimatyzowania, albo też do uszlachetnienia niemi zwierząt krajowych, zdaje się być zbytecznem tworzenie nowéj rasy. Celna wszakże rasa bydła czy koni, świń czy drobiu może być nietylko jedna. Owce grubowełniste mogą stać się rasą celną, odpowiednio szczególnemu celowi lub potrzebie przemysłowéj tak dobrze jak są rasą celną owce merynosy. Charakterem starożytnéj kultury jest jednostajność, nowéj rozmaitość. Bo gdy w dawnym przemyśle, podstarzały koń rycerski do ciężarów służył i wystarczały dwa gatunki wełny, służy dziś inny koń pod żołnierzem, a innéj rasy koń ciągnie ciężary; przemysł dzisiejszy wyrabia kilka rzeczywistych gatunków wełny, z których każda ma jeszcze swoje sorty, utrzymywane umyślnie do sporządzenia różnych wyrobów. Odpowiednio nowym żądaniom przemysłu lub nowym warunkom najkorzystniejszéj produkcyi gospodarskiéj stają się potrzebnemi i tworzą się nowe rasy. Różnica wreszcie między uszlachetnieniem rasy, czy to saméj w sobie, czy zapomocą obcéj jest zazwyczaj bardzo mała i często zależna od miejscowości. Gdyby Holendrzy byli sami tak wysoko uszlachetnili swą rasę bydła, jak to uczynili Anglicy z rasą z Hollandyi sprowadzoną nienazywałaby się rasą durham ale uszlachetnioną holenderską. To samo można powiedzieć o koniach angielskich ciężkich, o wyścigowych, słowem o wszystkich ich rasach.

Dziwną jest rzeczą, że w naszym kraju, gdzie oświecone klasy, bo duchowieństwo i szlachta zajmowały się same gospodarstwem wiejskiem, gdzie rolnictwo stało się upodobaniem narodu, nie dokonano zgoła nic zna-

komitego i samoistnego w ulepszeniu zwierząt rasy krajowéj. Użyteczność naszych zwierząt jest mniéj wynikiem kultury niżeli sprzyjających okoliczności przyrodzonych. Lepszego nad obce rasy, używane do poprawienia krajowéj, niewychowaliśmy nic. Niemcy sprowadzają ciągle obce rasy koni, bydła, świń i drobiu, przyznać im wszelako należy udoskonalenie owiec merynosów, gdyż saskie przewyższają zaletami hiszpańskich przodków swoich.

Przyczyną zależności naszéj kultury gospodarskiéj od obcéj były ostateczne rozmiary dawniejszych gospodarstw naszych. Właściciel rozległych i kilkusetmorgowych folwarków choć ma kapitał i potrzebną inteligencyę, nie wchodząc w szczegóły gospodarstwa swego nie może łatwo zajmować się doskonaleniem swych zwierząt. Włościanin zaś odrabiający pańszczyznę, nieposiadał ani kapitału ani wyższéj znajomości swego zawodu, a wolnych i ukształconych posiadaczy średniéj wielkości gospodarstw nie było prawie u nas dawniéj. Przysłowie nasze: *Pańskie oko konia tuczy* jest wielką prawdą w tem znaczeniu, że ukształcony tylko i sam w szczegóły wchodzący gospodarz może niepowszednie osiągnąć rezultaty.

Józef Bogdan Rogojski.

DWA USTĘPY
z rękopismów pozostałych
po jenerale
KAZIMIERZU MAŁACHOWSKIM
herbu **Gryf.**
(Ur. 24go lutego 1765 roku, um. 5go stycznia 1845 roku.) *)

I. Krótka wiadomość o Legionach polskich we Włoszech znanych pod nazwą: Legionów Dąbrowskiego.

II. Wiadomość o wyprawie części legionów polskich na wyspę San Domingo w r. 1803.

I.

Niezaprzeczoną jest prawdą, że pierwsze legiony we Włoszech formował jen. Dąbrowski na mocy układów zawartych z Konwencyą Narodową, ówczasowym Rzeczypospolitéj francuzkiéj rządem, stósownie do projektu

*) Zaszczytne i długoletnie zasługi wojskowe jenerała Kazimierza Małachowskiego, prawość jego charakteru i rzadka skromność zjednały mu powszechny szacunek i poszanowanie. Był to człowiek prawy w całem znaczeniu tego wyrazu, a zatem każde słowo od takiego męża pochodzące i odnoszące się do wypadków których był naocznym świadkiem lub w których brał udział, zasługuje na zupełne za-

przez Dąbrowskiego uczynionego, a popartego przez akredytowanych przy tymże rządzie znakomitych Polaków w Paryżu bawiących. — Formowanie to z wyraźną dewizą *Legions Polonaises Auxiliaires* w rzeczonéj konwencyi zawarowaną odbywało się ku końcowi 1796 r. w epoce najświetniejszych Bonapartego powodzeń we Włoszech, zdobycia przez niego całéj Lombardyi, i niezwłocznego ogłoszenia jéj Rzecząpospolitą *Cyspadańską*. Ale Dąbrowski temi legionami do końca nie przywodził.

Wiadomo bowiem, że w ciągu wyprawy egipskiéj, podczas któréj cała flota Bonapartemu pod *Abukir* przez anglików pod komendą Nelsona zabraną została — nowo utworzona koalicya odnosząc nad Francuzami znakomite zwycięztwa, grożące samemu nawet-bytowi Francyi a przypisywane jedynie niemocy Dyrektoryatu i słabym jego rządom, zrządziły potrzebę porozumienia się nad zmianą onego, wtedy to Bonaparte opuścił armią egipską, przemknął się szczęśliwie pomiędzy flotami angielskiemi, wylądował na brzegach francuzkich, wpadł do Paryża bez odbywania kwarantanny, i uprojektowaną przez patryotów zmianę spełnił gwałtowném rozpędzeniem Dyrektoryatu, sam zostając pierwszym między trzema konsulem.

Wiadomo także że bardzo prędko pod Dyżonem (*Dijon*) uformował armią rezerwową, z nią szczęśliwie przebył góry piemonckie, pokonywając wszystkie na téj drodze przez nieprzyjaciela poczynione zapory, zeszedł na równiny Lombardyi, i stanowczą z połączonemi siłami

---

ufanie i drogo cenione być powinno. Z tego mianowicie względu, niniejsze ustępy własną ręką jenerała spisane, acz w krótkości skreślone i niektóre tylko szczegóły z dziejów legionów polskich w sobie mieszczące, tem skwapliwiéj podajemy do wiadomości publicznéj, że co do wypadków o których traktują, uważane być mogą jako Dokumenta historyczne. (P. R.)

austryackiemi stoczył pod *Marengo* bitwę, która długo będąc niepewną, po trzygodzinnem ciągłém cofaniu się piechoty francuzkiéj ku Medyolanowi, nagle zmieniła się na wielkie i stanowcze zwycięztwo niespodziewaném zjawieniem się Dezego (*Desaix*) z Egiptu przybywającego.

Desaix padł ofiarą swego zapału, ale pierwszemu konsulowi bohaterską śmiercią swoją wiekopomną zjednał chwałę zwycięztwem, które samo jedno dostatecznem było do odzyskania Włoch całych, i stało się ciągłem pasmem powodzeń i zdobyczy, aż póki rząd Austryacki nie znalazł się w potrzebie żądania pokoju, któren najprzód w Lunewillu rozpoczęty, a późniéj w dyplomacyi znany pod nazwą traktatu lunewilskiego, pomiędzy sekretnemi obustronnemi zobowiązaniami się, jakich podobno historya nie dotknęła, zawierał koncessye, pomiędzy innemi i tę, że legiony polskie nie będą istniały ani we Włoszech ani we Francyi. — Tym więc końcem legią formowaną przez Kniaziewicza nad Renem w ciągu wojny z Austryą 1799 r. na mocy postanowienia Dyrektoryatu, umyślił oddać pierwszy konsul w służbę nowo utworzonemu przez siebie królowi Etruryi, po zabraniu mu jako Infantowi Hiszpańskiemu dziedzicznych jego xięstw: Parmy, Placencyi i Gwastali, i przyłączeniu takowych do Francyi zamieniając Toskanią na znane w epokach jeszcze przed rzymiańskich królestwo Etruryi.

Ale Kniaziewicz, któremu z Bawaryi aż do tego tak odległego kraju spieszny marsz nakazano, przez przyjaźń, jaką miał z jen. Moreau i szacunek jaki od tego wodza odbierał, potrafił rzecz dobrze wyrozumieć, za przyprowadzeniem więc legii swojéj do Florencyi zaraz się podał do dymissyi, nie ukrywając przed swoimi podkomendnymi prawdziwych jéj powodów. — Objawienia takowe zrobiły pomiędzy oficerami najwię-

ksze wzburzenie, zaczęli głośno i z największą goryczą wywoływać, że nie przybyli jak Szwajcary służyć za pieniądze, ale walczyli obok Francuzów w innym celu, a kiedy ten przy traktatach zapomniany, hurmem tedy do dymissyi podawać się zaczęli, a wtedy legia już była z porządku starszeństwa pod komendą szefa sztabu legionu pułkownika Sokolnickiego. —

Działo się to w chwili, kiedy Murat jenerał en chef armii francuzkiéj we Włoszech konsystującéj równie jak i innych wojsk w tym kraju znajdujących się, wyprawiał niektóre regimenta francuzkie na wyspę St. Domingo, te znając zabójcze jéj klima, buntowały się i na okręty wsiadywać nie chciały, że aż musiano przystąpić do surowości decymowania. — Umiał pierwszy konsul korzystać z pory, kazał zaproponować naszym, że kiedy nie chcą służyć królowi, a legionistami być nie mogą, może przyjmą projekt wzięcia siebie do składu wielkiéj armii francuzkiéj, i zostania jednym z jéj regimentów. Przyjęli to dobrze legioniści, i zostali 113 regimentem piechoty liniowéj francuzkiéj. —

Kiedy się to działo w Toskanii a raczéj w Etruryi, jednoczeście legia pod komendą jła Dąbrowskiego zostająca, składająca się z 7miu mocnych batalionów piechoty, i 8go takiegoż artylleryi, zgromadzoną została w Reggio, Modenie i okolicach tych dwóch miast, dla jakiejś nowéj organizacyi, a jakeśmy byli przekonani dla podzielenia nas pomiędzy regimenta włoskie.— Łatwo sobie wystawić, do jakiego stopnia doszło pomiędzy nami oburzenie: że za tyle kampanij odbytych i tyle krwi przelanéj w sprawie Francuzów, Bonaparte Iszy konsul tak haniebnie nas niszczył. — Zrobiliśmy projekt a na naszym czele stanął jen. Dąbrowski, ażeby opuścić Włochy, przepłynąć na połwysep *Morei*, i tam zostać zbrojno pod opieką Turcyi do dalszych wypadków. — Wykonanie projektu było łatwe, gdyż rozłożeni

w niewielkiéj odległości od brzegów Adryatyckiego morza, mogliśmy na przewiezienie nas zabrać tyle okrętów i rozmaitych statków handlowych kupieckich, ile było potrzeba, a że tym sposobem byliśmy pewni utraty zaległości, jakie nam był winien rząd włoski, gdyż na jego byliśmy żołdzie, i włoskie nosiliśmy kokardy, postanowiliśmy więc jak najskrupulatniejsze po kassach krajowych złożyć rachunki, i takowe kazać sobie zapłacić, a pierwszemu konsulowi posłać treściwy adres obejmujący wszelkie powody, jakie nas do takiego czynu zmusiły — chodziło tylko o porozumienie się z legią w Toskanii będącą, która składając się z czterech batalionów piechoty, regimentu jazdy i kompanii artyleryi konnéj podnosiłaby siłę naszą do szesnastu tysięcy wyborowego i starego żołnierza, gróżną dla Rzeczypospolitéj Włoskiéj, ażeby śmiała przeciwko nam cokolwiek rozpocząć. — Lecz tam wzburzenie i niejedność wykryły plan — Dąbrowski wezwany do Medyolanu, już więcej do nas nie wrócił. Murat przysłał natychmiast jła dywizyi francuzkiego *Chabot* dla objęcia nad nami komendy i razem z nim jła Vignolle byłego ministra wojny wojsk włoskich na prezydującego w *Jury* pod kierunkiem którego pułkownik Grabiński i nas czterech podpułkowników: Chłopicki, Małachowski, Jasiński i Zawadzki, wszyscy przez Murata wybrani, na członków tegoż sądu i podług danéj instrukcyi, zreorganizowaliśmy naszą legią na dwie półbrygady, każdą o trzech batalionach; — te półbrygady zaraz wcielone zostały pierwsza do pierwszéj a druga do drugiej dywizyi włoskiéj.

Po spełnieniu u nas téj nowéj organizacyi, regimentowi kawaleryi polskiéj należącemu do legii Kniaziewicza dano rozkaz z Toskanii, czyli jak już wówczas zwano Etruryi, udać się do Medyolanu, a nie dochodząc do téj stolicy, już wojska włoskie czekały na rozebranie go

pomiędzy regimenta jazdy swojéj, dokazał przecież pułkownik Rożniecki dowódca tego regimentu, że Murat wstrzymał rozkaz Igo konsula, lubiąc niezmiernie ten piękny korpus złożony ze starego żołnierza, doskonale w szybkich obrotach wyćwiczonego, i siedzącego na pięknych, dobranych, hanowerskich koniach. —

Rząd włoski w tém nowém dla nas położeniu okazał całą swoją przychylność, ubrał nas na nowo i bardzo ozdobnie w narodowe i narodowego koloru kurtki, zachował nam do komendy język polski; ale to wszystko robił dla uspokojenia nas i przyciągnienia ku sobie, a razem do powolnego a w istocie niechętnego spełniania zawartéj przez naczelnika rządu francuzkiego umowy zniszczenia legionów — Tym końcem oficerom chcącym przechodzić w służbę włoską ofiarował wyższe stopnie, a żołnierzom gratyfikacye, widząc zaś że i takowe propozycye nie nęciły, udał się do innego pobratania nas środka, wysłał sekretnie emissaryuszów dla założenia u nas lóż massońskich, połączenia ich z lożami po regimentach włoskich istniejącemi, i wciągnienia do Wielkiego Wschodu Medyolańskiego, całkiem oddzielnego od Wielkiego Wschodu Paryzkiego i oddzielną mającego konstytucyę —

Udało się to w naszéj drugiéj półbrygadzie, ale dowódzca nasz pułkownik Axamitowski (*) przed którym kryto się ze wszystkiem, wyśledził, a drogą szpiégostwa zle zainformowany, jakoby to miał być spisek uorganizowany przeciwko rządowi francuzkiemu, strwożony, oskarżył przed Muratem rząd włoski, że nas do niego wciąga.

(*) Pułkownik Axamitowski a późniejszy jenerał o którym tu mowa, był bratem starszym pułkownika Józefa Axamitowskiego, znanego za czasów W. X. Konstantego jako majora placu miasta Warszawy. (P. R.)

Zrobiło to wielkie zamięszanie i dało pozór prawdzie gdyż właśnie w tymże czasie okazały się zaburzenia w Ferrarze i Bolonii gdzie nawet wielki teatr spalono.

Założyciel u nas takiéj loży pułkownik włoski *Aurora* w kajdany okuty i do więzienia wtrącony, a dwudziestu kilku oficerów naszych wożono do Ferrary i Bolonii do indagacyi, kiedy się zaś z nich wykazało, że wzburzenie ludu w tych miastach z innych wcale nastąpiło przyczyn i rząd ze wszystkiego się wytłumaczył, wtedy zamyślał usunąć Axamitowskiego, a dać nam innego pułkownika.

Strwożonemu Axamitowskiemu utratą stopnia i korzystnéj posady w administrowaniu półbrygady, naturalnie wypadało udać się do protekcyi Murata, i nowém kłamstwem zrobić sobie zasługę, że za przywiązanie do rządu francuzkiego jest prześladowany od włoskiego tak dalece, że ono rozciąga się na cały korpus, i w tak przykrym sposobie, że oficerowie podają się do dymissyi a żołnierze dezerterują.

Nie potrzeba było więcéj Muratowi, pierwszy kuryer wysłany do Paryża przywiózł mu w odpowiedzi od pierwszego konsula postanowienie, że jesteśmy wcieleni do wielkiéj armii francuzkiéj pod Nrem 114go regimentu liniowego, że jak tylko staniemy nogą na ziemi francuzkiéj, zostajemy naturalizowanemi francuzami i należymy do wszystkich praw i prerogatyw służących obywatelom francuzkim, a tą ziemią jest wyspa Saint Domingo, dziś *Hayty*, gdzie od dawnych czasów najdystyngowańsze regimenta francuzkie za czyny wojenne posyłane bywały, i gdzie płaca dla wszystkich stopni jest półtoraczna. —

Wyszły tedy rozkazy Murata pod datą 29go grudnia 1802 r. zgromadzenia nas rozłożonych na leże zimowe po departamentach Krostolo, Panaro i Reno w mieście

modeńskiém Reggio i wydania marszruty de Genui, punktu wsiadania naszego na okręty, sam zaś przybył do Parmy, na którą nam marsz przypadał dla ogłoszenia osobiście takowego postanowienia Konsulatu, ale trwożony przez pułkownika Axamitowskiego na kilka dni wprzód do siebie sprowadzonego, że przy takowym ogłoszeniu może wielkie wzburzenie nastąpić, uwierzył, i w chwili kiedy awangarda nasza wchodziła do miasta, Murat wymknął się z Parmy i do Mantuy pojechał, zostawując jednego ze swoich adjutantów dla ogłoszenia nam tak ważnego prawa, które odczytane naprzód, wszystkim w jedno koło zgromadzonym oficerom, a potem każdemu z osobna batalionowi, wydały kilkakrotne okrzyki: niech żyje Francya, niech żyje rząd francuzki, niech żyje pierwszy konsul — wtedy dopiero otworzyły się pozamykane okna rozmaitych pałaców i domów otaczających ten obszerny i piękny plac, na którym trwożący całe miasto akt się odbywał — Wnet wszystkie balkony okryły się damami wywołującemi pochwały nasze i na znak radości powiewającemi chustkami — w rzeczy saméj dzień ten był uroczystym dla Parmy, a dla nas dniem pewności, że udajemy się tam, dokąd rokiem wprzódy wysłano braci naszych, ambarkując ich w porcie liwurneńskim już jako 113 regiment francuzki.

Wszystko się szybko robiło — w kilkanaście dni, to jest w sam dzień nowego roku 1803 weszliśmy do Genuy, odbywając marsze jak najporządniéj i z pewnym rodzajem zapału, chociaż przewidywaliśmy nasz koniec tak z niektórych korrespondencyj od naszych wprzódy tam zasłanych, jako i z dzieł opisujących najgorszy téj wyspy klimat i jéj zabójczą zółtą febrę — obojętność zaś na widoczną naszą zagładę pochodziła ztąd, żeśmy zupełnie stracili nadzieję i wszystko nam jedno było, czy tracić życie we Włoszech czy gdzie indziéj.

Wsiedliśmy 4go lutego na eskadrę z Brestu pod komendą kontradmirała Bedout przybyłą, składającą się z trzech okrętów liniowych, dwóch fregat i jednéj korwety. — Okręt liniowy *le Fougueux*, na którym ja byłem z moim batalionem, najszybciejszy z całéj marynarki francuzkiéj, wytrzymawszy straszną pięciodniową burzę, która zaraz w pierwszym dniu okręty nasze rozproszyła, sam jeden przybył do ciaśniny gibraltarskiéj a po pięciodniowém pasowaniu się z pędem wód Oceanu wiecznie tym kanałem wlewających się do morza Śródziemnego, szóstego w nocy z burzą od Wschodu przybywającą, przebył tę ciaśninę, i w trzydzieści dni sam jeden stanął tam, gdzie dla nas grób był przygotowany, gdyż reszta eskadry ledwo we 20 dni późniéj nadpłynąć zdołała, kiedy ja prawie już blisko połowę ludzi moich utraciłem w bojach i przez choroby. —

Nasz pułkownik Axamitowski nie był z nami. — Murat pozwolił mu zostać we Włoszech z kilkoma członkami rady gospodarczéj, między którymi zatrzymał brata swojego Falkowskiego (*) jako kapitana ubiorczego, dla oblikwidowania się i odebrania zaległości, jakie nam rząd włoski był winien, a które późniéj sam nam miał przywieść. Tym szczęśliwie pozornym a w gruncie nieprawdziwym powodem uniknął ambarkowania się, którego się nadewszystko lękał, bo już się rozpoczynała nowa z Anglią wojna, a z nią pewność, że wszelka dla Francyi żegluga zamkniętą zostanie. — Na moją tedy osobę z prawa starszeństwa przypadła komenda rzeczonego regimentu, a jen. Rochambeau najwyższy

---

(*) Falkowski wówczas bardzo młody oficer, znakomity późniéj wojskowy, został przywołany do boku Cesarza Napoleona jako *officier d'ordonnance*. W tym stopniu odbył kampanie z r. 1806 i 1807. Następnie postąpił na pułkownika dowódzcę pułku w r. 1810, a za W. X. Konstantego został jenerałem brygady w piechocie. (P. R.)

rządca, swoim dekretem kolonialnym podniósł mnie na stopień pułkownika, lecz jego nominacye z powodu że kolonia upadła, przez Napoleona przyjętemi nie były, i ja wrócić musiałem do mego stopnia podpułkownika.

Kolonia zaś upaść musiała nie przewagą murzynów, ale straszliwie w niéj grassującą chorobą i prawie zupełnem nas wyniszczeniem tudzież blokowaniem przez Anglików wszystkich punktów i odcięciem nam wszelkiéj komunikacyi do tego stopnia, że szczątki nasze wszędzie z głodu musiały kapitulować i iść w ich niewolą — taka też koléj przyszła i na miasto *Cayes* w którém ja znajdowałem się z dwoma mojemi batalionami i szczątkami 113go regimentu, wszystko z tysiąców zredukowane do dwóchset kilkudziesiąt głów schorzałych żołnierzy i ich żon.

Takiemu samemu losowi uledz miała i pierwsza półbrygada, dla dopełnienia zamiaru całkowitego nas wyniszczenia, ale wojna z Anglią i jéj potęga na morzu stanęły na przeszkodzie, wkrótce też nowa wojna z Austryą i całą koalicyą niszczyły wszelkie poprzednie układy, tym sposobem Isza półbrygada utrzymała się we Włoszech, do któréj i ja puszczony na parol do Stanów Zjednoczonych Ameryki, wydobywszy się z niewoli angielskiéj i do Paryża przybywszy, posłany zostałem w skutek mojéj noty podanéj Napoleonowi ażeby mnie podług nabytego prawa jako francuza rozkazał umieścić we właściwym stopniu w jednym ze swoich regimentów wielkiéj armii.

Rzeczoną półbrygadę znalazłem w Pulii, jednéj z nadmorskich prowincyj królestwa neapolitańskiego, składającą część pierwszéj dywizyi Włoskiéj, która w parę miesięcy późniéj wraz z wojskami francuzkiemi wyprowadzoną została aż ku granicom Tyrolów włoskich, dla prędszego dokończenia wojny z Austryą. — Wypadło że w czasie kiedyśmy Wenecyą blokowali, spadł na nas

korpus austryacki dowodzony przez księcia de Rohan emigranta francuzkiego z Tyrolów wyparty w zamiarze połączenia się z korpusem Wurmsera w Wenecyi zamkniętym — korpus ten Rohana w bitwie stoczonéj pod *Castel franco* z naszą półbrygadą pod komendą jen. *Saint Cyr* i regimentem Szwajcarów pod komendą jen. Regnier zostającemi, całkowicie prawie przez naszą półbrygadę i z swym księciem do niewoli zagarniętym został. — Wkrótce też ogłoszono i pokój z Austryą.

A że w czasie ewakuacyi naszéj królestwa neapolitańskiego monarcha kraju tego zerwał ugodę z Francyą zawartą, przyzwał w pomoc wojska obce i wpuścił do Neapolu sprzymierzeńców swoich Anglików i Rossyan, znowu więc Napoleon widział się zmuszony do prowadzenia nowéj wojny, posłał na nię swoje regimenta, z niemi naszą półbrygadę i regiment Szwajcarów — stało się to bardzo prędko, bo po szybkiem przebiegnięciu krajów Papiezkich, zaraz zdobyliśmy twierdzę *Kapuę* Neapol zasłaniającą, a kiedyśmy byli w marszu już ku samemu Neapolowi, król nie czekając odwiedzin naszych, z familią, ministrami, całym swoim dworem, tudzież najznakomitszemi królestwa tego familiami odpłynął do Sycylii i założył rezydencyą w stółecznem téj wyspy mieście Palermo, oddając całą tę wyspę a więc i siebie pod opiekę angielską. — Neapol a szczególnie prawdziwa jego siła lazarony, których zawsze na 40 tysięcy rachują, bronić się nie chcieli, Rossyanie i Anglicy szczęśliwie sobie odpłynęli a my spokojnie weszliśmy do stolicy, która nas powtórnie jako zwycięzców a razem jako i gości witała, gdyż tą razą prowadziliśmy na jéj tron wielkiego Francyi konnetabla Józefa Bonapartego brata Napoleona. —

Po zajęciu Neapolu i ogłoszeniu królem tegoż Józefa, spiesznie organizowano pod komendą Reniego (*Regnier*) nowy na wyprawę do Kalabryi korpus, do którego i nas

już w ówczas dość znacznie naprzód, bo aż do Salerno posuniętych przyłączono. — W prowincyach tych skoncentrowane były wojska neapolitańskie i cała ich dzika i okrutna ludność przeciwko nam wzburzona i uzbrojona — Wojska te w stanowczéj pierwszéj bitwie w jednéj z najmocniejszych pomiędzy skałami tamtejszemi pozycyi, zwanéj *Campo tenese* zniszczone, większa część poszła w niewolę naszą, reszta ratowała się ucieczką, i na przygotowanych tym końcem statkach do Sycylii odpłynęła.

Ale nie to samo działo się ze zbuntowanymi, których my zwaliśmy *brygandami.* — Działania przeciwko nim szły nam z wielkim oporem, raz przez górzyste położenie kraju i w wielu miejscach prawie niedostępne, powtóre przez słabość sił naszych, które lubo były dostateczne do pokonania wojska, ale nie były takiemi do obsadzenia całego nieprzychylnego i wzburzonego przeciwko nam kraju, nadto przez oderwanie znacznéj części wojska na zdobycie pogranicznéj twierdzy *Gaeta* rozpoczęte na samym wstępie do tego królestwa.

Ciągnąca się bez żadnego rezultatu w Kalabryach z powstańcami wojna, coraz bardziéj niszczyła siły nasze, a wzmocnić ich niczem nie można było gdyż Napoleon w téj chwili odmawiał bratu swemu zasiłków, sam znajdując się w nowéj z Prusakami i Rosyanami wojnie. — Taką to upatrzono porę do wysłania z portu sycylijskiego *Malazzo* skombinowanéj floty angielskiéj i neapolitańskiéj w liczbie 50 żagli to jest okrętów różnéj wielkości pod komendą sławnego admirała angielskiego *Sidney Smith*, która w żatoce *Santa Eufemia* wylądowała znaczne obu tych narodów siły pod komendą jen. angielskiego *Stuard*, przeciwko którym na prędce zebrał Regnier swoje siły całkiem nie odpowiednie, gdyż w kraju, w którym drogi nie znane, niemógł mieć żadnéj artylleryi naprzeciwko tysiącom dział gra-

jących z floty i szalup wzdłuż brzegów rozciągnionych; przegraliśmy więc tę bitwę, która powstańców bardziéj jeszcze przeciwko nam rozogniła i wojnę okrutniejszą zrobiła, że tylko w massie całym korpusem mogliśmy się trzymać.

W takiém znajdowaliśmy się położeniu, aż póki mocna twierdza Gaeta leżąca na pograniczu królestwa i na krawędzi prowincyi Ferra di Lavoro nie poddała się nakoniec Massenie, po wielomiesięczném oblężeniu, gdyż zdobywanie jéj było zbyt trudném, jako skały w kształcie amfiteatru całkiem na morze wysuniętéj, do koła ufortyfikowanéj, i stykającéj się z lądem tylko bardzo wązką szyją o jednéj bramie i bronioną 80ciu działami, prócz tego floty angielskiéj rozłożonéj w obszernéj i wygodnéj zatoce przez cały ten czas silnie i skutecznie na oblegających działającéj — wszystkie te jednak zawady męztwem i wytrwałością Francuzów pokonane zostały — Na barkach znoszono ziemię na wierzchołek upatrzonéj nagiéj skały, ścieszkami w gzygzak wykutemi dla porobienia na niéj działobitni, wywindowania dział wielkiego kalibru i burzenia niemi fortyfikacyj a zarazem i dosyć pięknego jéj miasta, aż póki żądany nie nastąpił skutek — W ciągu oblężenia flota angielska i twierdza tyle na oblegających wyrzuciły rozmaitego rodzaju pocisków, że z nich późniéj ułożono kilka dużych piramid zadziwiających podróżnych.

Tak pomyślny wypadek zasilił nas żołnierzem od rzeczonéj twierdzy ściągniętym, że mogliśmy się na nowo rozdzielić i na wielu działać punktach — Gwiazda też szczęścia ciągle Cesarzowi Francuzów przyświecająca, zmieniła postać rzeczy. Potęga Pruska w pierwszéj zaraz bitwie pod Jena rozbita nigdzie się zatrzymać nie mogła, odłamy jéj rejterując się różnemi punktami ścigane przez Francuzów, taki przestrach rozniosły, że nawet ich fortece dobrowolnie się poddawały, i otwierały

zwycięzcy wolne wnijście do Warszawy, gdzie zaproponował wystawienie 40 tysięcy wojska polskiego, zaś do przyśpieszenia takowéj organizacyi zażądał Cesarz od brata swojego króla Józefa przysłania 24 oficerów z naszéj półbrygady i 12 oficerów także z naszéj kawaleryi polskiéj, a wtedy już mógł posłać mu nowe z Włoch zasiłki. Wprawdzie wojna nie była jeszcze ukończona, ciągnęły ku Warszawie świeże wojska rossyjskie, do których przyłączyły się i szczątki pruskich, ale i te z kolei pobite zostały pod Gełyminem, Pułtuskiem i Preusisch Eylau. — W téj właśnie porze nasza półbrygada, zastąpiona legią cudzoziemską *Latoura* z Ankony przybyłą, zciągniętą została do Neapolu, zkąd oficerów w liczbie żądanéj wysłano pocztą do Warszawy, między któremi i ja przybyłem do niéj 13go kwietnia 1807 r. gdzie wszedłem na Gros Majora do pułku I. piechoty formowanego przez pułkownika Michała Grabowskiego — Wkrótce też nastąpiła świetna dla oręża francuzkiego bitwa Frydlandską zwana, a po niéj pokój i traktat Tylżycki. Wtedy już król neapolitański nie widział potrzeby podług pierwiastkowego zażądania Cesarza posyłać nam do kraju naszą półbrygadę. Żołnierzy rozebrano pomiędzy regimenta gwardyj, a samych tylko podoficerów i oficerów jako kadry posłano do Wrocławia, gdzie im nowo utworzone Księstwo Warszawskie dostarczyło kantonistów na trzy kompletne regimenta, każdy o trzech batalionach, te najprzód posłane do Niemiec a później do Hiszpanii znane tam były przez cały ciąg wojny pod nazwiskiem Legii Nadwiślańskiéj.

To co do Legionów.

Co zaś do jenerała Dąbrowskiego — Wezwany do Medyolanu jakem wyżéj powiedział, zaraz po naszém rozdzieleniu na dwie półbrygady wszedł w służbę włoską, został inspektorem jeneralnym jazdy téj rzeczypospolitéj, organizatorem nowo formujących się regimen-

tów, i ich prawdziwym instruktorem. Poważany od rządu, — w czasie koronacyi Napoleona należał do składu delegacyi włoskiéj złożonéj z najznakomitszych obywateli, wyprawionéj do Paryża dla ofiarowania cesarzowi korony włoskiéj. — A jako najpierwszy organizator Legionów Polskich we Włoszech, wezwany od Napoleona na wojnę Pruską, najpierwszy także za wkroczeniem Francuzów do Poznania, wojsko polskie organizował, nowe pułki formował, i najpierwszy z nieprzyjacielem boje staczał jak tego dowodem są pomiędzy innemi, których nazwisk nie pamiętam: bitwa pod *Czczewem* i oblężenie Gdańska. —

II.

Wątpię, ażeby ktokolwiek z tych co należeli do wyprawy na wyspę San Domingo mógł ułożyć rzetelną i dokładną całość, przez rodzaj wojny jaka w zbuntowanéj kolonii prowadzoną była; i tak naprzykład jak wieść powszechna chodziła: że legia przez Kniaziewicza nad Renem formowana, wzięta do kadrów armii francuzkiéj i jak 113 regiment liniowy téj Rzeczypospolitéj pod komendą pułkownika francuzkiego Bernard, był ambarkowany w Liworno, nie cały od razu, ale częściowo, po większéj części na najętych statkach kupieckich, te nie płynąc razem, pojedynczo zawijały do portów hiszpańskich dla zreparowania uszkodzeń jakie ponieść mogły od burz morskich, i tam podług upodobania, krócéj lub dłużéj bawiły, co zrządziło pewien nieład, gdyż żołnierze zostawali się w Hiszpanii i nie wszyscy do miejsca doprowadzeni być mogli, znalazło się nawet kilku oficerów, którzy wysiadłszy na ląd, podawali się do dymisyi jako schorzali i niemogący znieść klimatu mor-

skiego. Zatém okręty nie razem do kolonii przybywając, wysadzały oddziały na nich znajdujące się w rozmaitych miejscach, w takich nawet, z których połączenie się z korpusem albo było zbyt trudném albo niepodobném; niknęły więc pojedynczo i bez żadnéj z ogółem komunikacyi — a więcby wypadało, ażeby każdy taki oddział miał swego historyka do sklejenia całości, a to jest niepodobném.

Powtóre. Druga półbrygada polska, któréj dowódzcą był pułkownik Axamitowski i w któréj ja się znajdowałem, zamieniona na 114 regiment liniowy francuzki, rokiem późniéj od wyż wspomnionego ambarkowany był w Genuy, ale i o tym więcéj drobnostek aniżeli ważnych rzeczy objawić jestem w stanie.

Pułkownik Axamitowski otrzymał od Murata pozwolenie zostania chwilowo we Włoszech dla obrachowania się z rządem włoskim i odebrania zaległości jakie nam tenże rząd był winien, gdyż na jego zostawaliśmy żołdzie, zatrzymał z sobą brata swego Falkowskiego jako kapitana ubiorczego, Darewskiego kapitana i parę indywiduów z niższych stopni, wszystkich jako członków rady gospodarczéj.

W zastąpieniu pułkownika Axamitowskiego, komenda przypadła na najstarszego pułkownika jakim był Zagórski szef kontroli (stopień, jaki późniéj zamieniony został na gros-majorowski); wiedzieć wszelako wypada, że zaraz za naszém do Genuy przybyciem, przysłał pierwszy konsul do komenderowania nami jen. brygady francuzkiego Spital, który miał za adjutanta przy sobie rodzonego brata swojego.

Weszliśmy do Genuy w sam dzień Nowego roku 1803, a we 12 dni późniéj weszła do przystani genueńskiéj i rzuciła kotwice eskadra z Brestu przybyła pod komendą kontradmirała Bedout, składająca się z trzech okrętów liniowych, kontradmiralskiego *l'Argonaute*, *Héros* i *le*

Fougueux, z fregaty *la Vertu* i z korwety *la Serpente*. Te pięć okrętów zajęły się zaraz braniem świeżéj wody, dokompletowaniem na długą żeglugę i powiększoną liczbę gąb dostatecznéj żywności, a żołnierze nasi układaniem broni w paki, przewożeniem jéj na okręty, w kitlach z szarego płótna, jakie całemu dano regimentowi dla oszczędzenia mundurów w pracach do jakich w ciągu podróży użyci być musieli, zastępując uszczuploną liczbę marynarzy, dla zrobienia im większego miejsca.

Regiment ze swymi oficerami wsiadł na okręty 3 lutego na noc, a 4go po południu wypłynął na morze w następującym porządku: najprzód kontradmiralski, na którym był jen. Spital, podpułkownik Zagórski z żoną i trzeci batalion komenderowany przez kapitana Tysson w zastępstwie podpułkownika Zawadzkiego, za urlopem we Lwowie pod ówczas znajdującego się. Za nim drugi batalion pod komendą podpułkownika Jasińskiego, a za tym fregata i korweta z resztą ludzi, którzy się na okrętach pomieścić nie mogli, został tylko *le Fougueux* na którym ja byłem z 1szym batalionem, dla wydobycia z morza kontradmiralskiéj kotwicy i wciągnienia jéj na swój pokład przysyłając tym końcem linę od niéj, ale kotwica tak się zahaczyła o skały w morzu, że użytych sześćdziesiąt grenadyerów pracując przez 2 godziny oderwać jéj nie mogło. Zniecierpliwiony kontradmirał że okręt tak długo stoi na miejscu, daje nam sygnałami rozkaz, zapewne nieprzyjemny — kapitan zostawia wielką szalupę z 60 majtkami i jednym oficerem dla jéj wydobywania, a sam wypływa na pełne morze.

Burza już wtedy, która się niespodzianie zerwała, coraz bardziéj się wzmagać poczynała i wieczór nadchodził, przyciągano na wierzchołki masztów pozapalane latarnie dla oryentowania się, ale je burza pogasiła, a okręta w ciemnościach nocnych zupełnie się pogubiły i rozproszyły. Kapitan okrętu naszego, troskliwy o ludzi

których zostawił dla wydobywania kotwicy, staje *en panne*, to jest: tak nastawiając żagle, że wiatr prąc z równą siłą na wszystkie strony, trzyma okręt na miejscu; w takiéj pozycyi doczekał się przecie owéj szalupy, która po największych wysileniach, straciwszy maszt swój złamany i wraz z żaglem w morze porwany, dobiła do okrętu, który dla dania jéj znaku, trzymał majtków z latarniami na galeryi głównego masztu—jednego z nich burza zerwała, spadł na działo, a zgruchotana czaszka w tymże momencie śmierć mu przyniosła — resztę nocy poświęcono na wywindowanie 3ch szalup na pokład okrętowy, włożenie ich jedna w drugą i przymocowanie do tegoż pokładu.

Za nadejściem dnia żadnego nie dostrzeżono okrętu, a tak sam jeden pasując się z burzą trwającą 5 dni i nocy, w największém zostawał niebezpieczeństwie rozbicia się o brzegi Sardynii, od któréj na żaden sposób oddalić się nie mógł, a choć manewrował dolnemi tylko żaglami, gdyż górne wraz z ich masztami na dół ściągnięte zostały, wiatr tak silnie działał, że dwa razy poszarpawszy wielki żagiel zwany *grande voile de misène*, dopomógł bałwanom okręt zupełnie na bok położyć. W tak straszném niebezpieczeństwie, i ażeby całkiem przewróconym nie być, kapitan rozkazał uchwycić siekiery, obciąć liny i wszystkie działa z zatopionego boku wpuścić w morze dla dania drugiemu przeciwwagi, ale kiedy już do takiéj rzucono się pracy, nadzwyczajnym trafem przyszedł bałwan, który silném uderzeniem wyprostował go.

Po ustaniu burzy płynęliśmy w takim kierunku, żeśmy zawsze widzieli brzegi Hiszpanii; przed samą Malagą, i kiedyśmy się znajdowali w małéj bardzo od niéj odległości, nadeszła cisza morska, która nas resztę dnia tego i cały następny na miejscu trzymając, ciekawym Hiszpanom przyjemny mogła sprawić widok, ale nikomu

z okrętu nie wolno było wysiąść na ląd, gdyż był rozkaz żadnéj z ziemią nie mieć komunikacyi. Zonda w tém miejscu puszczona pokazała 300 sążni głębokości. — Trzeciego dnia wzmógł się lekki wiatr i dozwolił okrętowi wnijść do cieśniny Gibraltarskiéj, a że nie był tak silny, ażeby mógł pokonać pęd wód Oceanu wiecznie tamtędy wlewających się do morza Śródziemnego, męczył się przez 5 dni i nocy, aż nakoniec 6go z nadchodzącym silnym wiatrem od wschodu burzą grożącym, wśród ciemności nocnych ryzykując się nawet na niebezpieczeństwo, przebył szczęśliwie tę cieśninę i na Ocean wypłynął.

Przez cały ten czas nie ukazał nam się żaden z okrętów naszéj eskadry, tak więc sam jeden płynąc, kapitan był kontent że się uwolnił od rozkazów przykrego dla siebie komendanta — a że okręt jego *le Fougueux* był jednym z najszybciéj płynących w całéj marynarce francuzkiéj, stanąwszy tedy na wysokości wiatrów alizejskich ciągle od wschodu wiejących i pewny dalszéj swojéj żeglugi, odjętą przez kontradmirała ludziom naszym trzecią część kompletnéj żywności przywrócił, nakazując taką samą jaką majtkowie pobierali, nadto wodę kazał dawać na dyskrecyą, któréj pospolicie udzielano jednę tylko butelkę na 24 godzin.

Reszta żeglugi była przyjemną i tak pewną, że dniem wprzódy wyrachowano godzinę o któréj spostrzeżem *Portoricco*, toż samo i przylądek *Samana* już do St. Domingo należący, równie jak i godzinę o któréj weszliśmy do portu stołecznego miasta *Cap Français* połowy wyspy do Francyi należącéj, gdyż druga jéj połowa była hiszpańską i miała za stolicę miasto Santo Domingo, ostatnim traktatem cała do Francyi należąca, ale nie objęta w posiadłość dla toczącéj się z murzynami wojny.

W pięknem tém i niegdyś bogatém, dziś całkiem zburzoném mieście utrzymywała się jeszcze główna kwatera

jenerała Rochambeau, naczelnego rządzcy wyspy—W porcie znaleźliśmy kilkanaście rozmaitéj wielkości okrętów wojennych i admirała *Latouche Trévil*, któremu składając raport, dostrzegliśmy łódź od brzegu płynącą, był to nasz kapitan Przebendowski, teraz adjutant jen. Rochambeau, wysłany dla dowiedzenia się co miał znaczyć ten nowo przybyły okręt.

Zaproszony, wraz z kapitanem okrętowym na obiad i posadzony po lewéj stronie rządzcy, zapytany od niego, jak ten kraj uważam? odpowiedziałem: że bardzo górzysty.. Rozumiem, odrzekł mi, znam ja was we Włoszech i lud wasz za ciężki do działania w górach, dla tego poszlę was w równiny do części południowéj bynajmniéj nie zniszczonéj, gdzie powinno wam być dobrze. Jakoż drugiego dnia kapitan okrętu odebrał rozkaz udać się z nami do *Cap Tibouron* i tam nas na ląd wysadzić, a mnie, dowiadywać się o najbliższego jenerała i pod jego pójść komendę.

Okręt dla przeciwnego wiatru nie mógł wnijść do przystani, ale dostrzegliśmy w głębi jéj okręt na kotwicy stojący, był to liniowy nazwiskiem *Atalante*, który na 10 dni wprzódy wylądował z jenerałem *Sarrazin*, batalion 14go regimentu lekkiéj piechoty, z którym tenże jenerał przeszedł lądem do miasta *Cayes* z największą wprawdzie trudnością, lecz mu się udało, gdyż był najpierwszym i niespodzianym w tém miejscu ruchem. Musiał więc okręt nasz krążyć po morzu, a mnie szalupą na ląd wyprawiono. Wysiadłem pod całkiem zburzoném miasteczkiem *Tibouron*, w którém zastałem kilka sporych szop z desek zbitych i bardzo niewielką ludność; tam się dowiedziałem, że najbliższym jenerałem w tamtych stronach komenderującym był jen. *Darbois*, mający swoją kwaterę w mieście *Gérémie*, tam tedy posłałem w oryginale dany mnie od jen. Rochambeau rozkaz.

Jenerał Darbois rozkazał mi przypłynąć z batalionem do Gérémie — przesadzono tedy batalion z okrętu na kilkanaście małych statków, nie bez wzajemnego rozczulenia się z zabranéj na nim przyjaźni i prawdziwéj sympatyi, tudzież dziękczynień dla tak dobrego kapitana jakim był *Bescogne* i jego oficerowie.

Jenerał Darbois jak tylko dostrzegł tę flotyllę na morzu, wysłał przeciwko niéj adjutanta, żeby się do brzegu nie zbliżała, tylko żebym ja sam z tym adjutantem przybył do niego. Jenerał ten, zmienił swój plan, kazał wracać do Tyburon, tam na ląd wysiąść i na siebie oczekiwać — jakoż przybył niezwłocznie i rozpoczął takąż samą lądową ekspedycyą, jaką poprzednio zrobił był do Cayes jen. Sarrazin.

W pierwszym zaraz dniu takiego pochodu wzdłuż brzegu morskiego, obok ciągłego pasma gór odwiecznym lasem zarosłych, wyszliśmy na płaszczyznę zagłębiającą się w nowe gór pasmo, które przedzielała nie wielka rzeczka w morze wpadająca, dolinę tę zwano *Cavarahanac*, od któréj nazwisko wzięła mocna reduta murzynami obsadzona na wyniosłéj górze w morze spadającéj, około któréj kręciła się przypadająca nam droga. Redutę tę wypadało naprzód zdobyć; w tym celu ruszyły dywizye batalionowe dla przedzierania się pobocznemi górami, okrążenia téj reduty i odcięcia jéj z tyłu komunikacyi. Spostrzegłszy to murzyni, po słabym oporze i ranieniu kilku tylko żołnierzy, wyszli z niéj — ale uważałem, że wszyscy byli należycie uzbrojeni i kompletnie w mundury francuzkie ubrani. — Droga robiona o któréj wspomniałem, w wielu miejscach miała pokopane rowy, a za niemi wzniesione parapety z podwójnemi ustępami dla ukrywania się w potrzebie.

Po wzięciu téj pozycyi zeszliśmy na obszerną w kształcie amfiteatru dolinę zwaną *Aux Anglais*, opasaną do koła wzniosłemi górami w morze zapadającemi — tam

resztę dnia przepędziliśmy wśród poburzonych młynów cukrowych i kilku kup kawy nasypanéj na ogromne liścia figi bananowéj, lecz zarazem uważaliśmy ciągłe tłumy murzynów z bagażami, dążące górami w stronę którędy nam marsz przypadał.

O trzeciéj po północy ruszyliśmy z miejsca tego, mając rozkaz nie nabijać broni ażeby się nie bawić strzelaniem, ale prosto iść na nieprzyjaciela z nadstawionym bagnetem. Szliśmy dość długo spokojnie, mając po prawéj stronie brzeg morski, a po lewéj okrywając się łańcuchem woltyżerowskim od zasadzek jakie mogły mieć miejsce pomiędzy plantacyami cukrowemi; ale jakeśmy się zbliżali ku miejscu które pomimo ciemności nocnéj odkrywało oczom naszym bliską górę, spostrzegliśmy, na jeden raz, sygnał w rozciągłéj linii zrobiony ze spalenia na panewce prochu, któren nas przekonywał o czujności i gotowości nieprzyjaciela. W krótce téż sypnął się rzęsisty karabinowy ogień; był to murzyński ogień na naszą sekcyą woltyżerską prowadzoną przez podporucznika Wejgiel, za nią rzuciła się naprzód kompania grenadyerów w awangardzie idąca a następnie i reszta batalionu; ale również przywitana, w tył cofać się zaczęła. Wypadało więc przeciwko ogniowi na nas sypanemu front uformować i podobnyż na nieprzyjaciela rozpocząć. Kiedy się to dziać zaczęło, ciemna noc w okamgnieniu zamieniła się na dzień zupełnie widoczny — gdyż w tamtych klimatach świtania nieznane, a wtedy dopiero postrzegliśmy górę przez którą szła droga w skale kuta, na kondygnacye, zatarasowana rowami i parapetami, murzynami obsadzonemi; na zwierzchniéj zaś jéj płaszczyznie trzy reduty osadzone mnóstwem zbrojnego ludu. Tam to zginął ze swoją sekcyą podporucznik *Weigiel*, kapitan grenadyerów *Mesange*, adjutant-major *Królikiewicz*, wielu grenadyerów zabitych i rannych.—Nie można było w takiéj zbyt nas rażącéj

utrzymać się pozycyi, posunęliśmy się na lewo, weszliśmy w krzaki, z nich staraliśmy się górami okrążyć pozycyą — ale nieznana w Europie gęstość lasów powiązanych *lianem* rośliną zbyt tam mnogą, ogromne rozpadliny w górach, jak mówiono będące skutkiem dawniejszych okropnych trzęsień ziemi, wszystkie nasze usiłowania daremnemi czyniły tak, że jen. Darbois około południa osądził potrzebę ustępu. Ten się rozpoczął, może z zadziwiającym jenerała porządkiem, wśród rzęsistego nieprzyjacielskiego ognia, i z taką zimną krwią, jak gdyby się to na mustrze działo — ale przyznajmy z drugiéj strony: że w klimacie tak gorącym, w samo południe, żołnierz wyniszczony fatygą nie mógł być rześkim, a tém samém stał się obojętnym. — Murzyni nie umieli nas ścigać, przestawali na przeraźliwych wyciach, a zabiegać nam nie mogli, gdyż im przeszkadzała wielka przestrzeń plantacyi cukrowéj wodą zalanéj — resztę naszego marszu odbywaliśmy spokojnie, i kiedy już byliśmy niedaleko Tyburon, jenerał bierze z sobą kompanią grenadyerów a mnie każe wracać do owéj reduty pod Carvahanac — szczęściem nie była jeszcze przez murzynów zajęta i ja do niéj spokojnie wszedłem. Tam przez dwa dni zostawałem żadnego nie odbierając rozkazu ani żywności, szczęściem znaleźliśmy świnie błąkające się po lesie, te żołnierzom dostatecznie racye zastąpiły. Jenerał na drugi dzień ruszył sobie do Gérémie i dopiero w drodze przypomniał, że żadnego dla mnie nie dał rozkazu, wątpił nawet czy już nie byłem zabrany, kazał tedy mnie wyszukiwać. Wyszedł najprzód oddział żandarmów, za nim kompania grenadyerów. Żandarmowie zbliżając się ku reducie, pojedynczo wymykali się z lasu i napowrót szybko się kryli, że to zrobiło pewien rodzaj trwogi na tych co takowy ruch dostrzegli, ale pokazywało, że tam murzyni być nie mogli, gdyż przed godziną zrobione patrole nic nie

odkryły — kazałem tedy na wielkiéj żerdzi wśród reduty wznieść naszą trójkolorową chorągiew z kogutkiem, wtedy dopiero pokazali się żandarmy, a za niemi i nasza kompania grenadyerska. — Wróciłem do Tyburon, wsiedliśmy na te same statki które nas do Gérémie woziły, ja z kompanią grenadyerską na tenże sam co wprzódy bryg armatorski *Bonaparte*, na który zabrałem wszystkich rannych i morzem udaliśmy się do *Cayes*, zostawując podług rozkazu jeneralskiego jednę kompanią w reducie nad Tyburon będącéj. W téj żegludze dwa mieliśmy wypadki; pierwszy, że korweta angielska kazała naszemu brygowi stanąć, sama do nas przypłynęła, komendant jéj wszedł na nasz pokład, cały statek zrewidował, a znalazłszy go napełnionym żołnierzami tak zdrowymi jak rannymi, słowa nie mówiąc, oddalił się i ze swoją korwetą odpłynął. Wizytę taką nasz kapitan wziął za niewątpliwy znak wypowiedzianéj Francyi wojny — zrobił z tego zdarzenia protokół i zachował dla przesłania go wyższym władzom. — Drugi, szczególny w swoim rodzaju, był ten, że podporucznik *Bergonzoni* który jeszcze pod *Carvahanac* był zachorował, pewnego poranku, na samém rozwidnieniu wszedł do izby kapitańskiéj w któréj ja się znajdowałem; zapytany odemnie: czegoby żądał? odpowiedział, że przyszedł zameldować się że umiera — a na moją perswazyą, żeby tylko był spokojny a żyć będzie i zdrów zupełnie — słowa więcéj nie wyrzekłszy, wyszedł, kilka kroków zrobił, padł i już nie żył. W podobnym téż rodzaju miał i pogrzeb: po zrobieniu protokółu, zaciągnieniu go do dziennika morskiego i wydaniu mnie duplikatu, wsunięto ciało jego w wór, tenże zawiązano u głowy z kulą wielkiego kalibru i w przytomności nas zgromadzonych wpuszczono po desce do morza; — takim sposobem odbyły się obrzędy religijny i świecki razem.

Statki nasze, jedne wcześniéj, drugie późniéj przybi-

jając do brzegu u miasta Cayes, ściągnęły mnóstwo ciekawych, tak białych jak czarnych; biali szczególnie witali nas z oznakami szczeréj radości, i bardzo sprawiedliwy mieli do tego powód, gdyż na parę dni wprzód miasto było attakowane przez murzynów i cudem prawie utrzymało się od rzezi, jakaby niewątpliwie nastąpiła gdyby miasto było zdobyte.

W mieście tém, nielicznym garnizonem francuzkim komenderował jen. brygady *Laplum*, rodowity murzyn, pozostały wiernym rządowi francuzkiemu — gdyż wiedzieć potrzeba, że kolonia utrzymywała 12 tysięcy regularnego wojska należycie wyćwiczonego, z samych murzynów złożonego, dla zastąpienia europejskiego, któremu we wszystkich epokach klima tamtejsze stawało się śmiertelne, nie dziw zatém, że z owego wojska dawały się widzieć porządne oddziały.

Tenże jen. Laplum, kontent z naszego przybycia, codzienne na nieprzyjaciela zaczął robić wycieczki, sam zawsze na czele, ubrany w paradny mundur generalski.— W mieszkańcach duch na nowo ożył, rzucono się do wzmocnienia miasta zasłaniając miejsca przystępniejsze, z początku szańczykami z beczek i różnych pak kupieckich ziemią przysypanemi, a późniéj na ciągłe opasanie miasta wałem i rowem podług reguł fortyfikacyjnych z bateryami, w których się znalazło 50 dział dostatecznie amunicyą zaopatrzonych. Takie wzmocnienie i czujność nieustanna, niezmiernie powiększyły służbę garnizonową a z nią i śmiertelność; nie było dnia, ażeby z głównych hauptwachów w ciągu tych wałów pozakładanych, nie wywożono trupów — bardzo często znajdowano dwugodzinnych szyldwachów zmarłych przy ich kzluzowaniu: toż samo się działo po szopach nam na koszary przeznaczonych.

Ale wróćmy z tego smutnego obrazu do naszych, których na Śródziemném zgubiliśmy morzu. Okręt kontr-

admiralski *l'Argonaute*, budowa hiszpańska wygodna ale do żeglugi niepospieszna, zatrzymując przy sobie, daleko skorsze budowy francuzkiéj, zrządziła to, że ledwie we 20 dni po mnie do *Cap Français* zawinąć mogły; takież same otrzymała rozkazy udania się do Cap Tiburon i tam wysadzenia na ląd wojska, które zaraz drugiego dnia zaczęło doznawać skutków klimatu, gdyż między najpierwszemi tamże zmarłemi, znalazł się nasz jen. Spital ze swoim bratem i kapitanem *Petrykowskim* z batalionu 3go, a nim się zebrały oddziały francuzkie do wyprawy kajskiéj przeznaczone i jenerałowie niemi dowodzić mający, już bataliony nasze, znaczną w zmarłych poniosły kleskę. Przyszła nakoniec chwila expedycyi, niestety! rozbiła się w tém samém miejscu, z którego ja ustępować musiałem; nic nie pomogły kilkakrotnie ponawiane attaki i eskaladowania, wrócić do Tiburon wypadało, ztamtąd 2gi batalion z podpułkownikiem *Jasińskim*, lądem posłany został do Gérémie, a podpułkownik *Zagórski* z 3im batalionem i oddziałami francuzkiemi ambarkowany do Cayes, wyniesiony został na ląd chory, zmartwiony niepowodzeniem jakie pospolicie z podobnych zdarzeniach nierozsądni kierownicy starają się na kogoś obcego zwalić, umarł pierwszéj zaraz nocy i drugiego dnia ze wszystkiemi honorami pochowany został. Przybyli także jenerałowie dywizyjny naczelnie komenderujący *Brunet* po nim *Darbois* i *Serclu* a z nimi kilku sztabsoficerów od inżynierów i artyleryi na fregacie *La Vertu*, która po kilkodniowém wypocznieniu, i nowém zaopatrzeniu się miała wracać do Europy. Na nię wsiadła z małym synkiem włoszka wdowa po Zagórskim, otrzymawszy od naszéj Rady gospodarskiéj poświadczenie prawości testamentu, którym nieboszczyk czynił ją dziedziczką całego swego majątku w kraju posiadanego. Fregacie zawinąć wypadało do *Port au prince* gdzie już była główna jen. *Rochambeau* kwa-

tera, dla odebrania expedycyi do rządu francuzkiego. Uroda i wdzięki téj kobiety, która do oddzielnéj należy historyi, tyle ujęły serca młodzieży głównego sztabu, iż dokazali swego, że do nowéj okazyi między nimi pozostała. Znikła później wszelka okazya. Anglicy okrętami swojemi oblokowali wszystkie porty i przecięli całkiem komunikacyę wodną, a lądowéj już dawno dla przemagającéj siły murzynów nie było. W tak ścisłém zamknięciu zaczęło wszędzie brakować żywności, gdyż magazynów zapasowych nigdzie nie było skutkiem złego powietrza które w krótkim czasie wszystko psuło, nawet lekarstwa po upłynioném półroczu traciły właściwość swoję — rzucono się na prywatne śpiżarnie obywateli, ale te na bardzo krótki czas wystarczyć mogły, późniéj na muły, osły, psy, koty a nawet i szczury po magazynach, z czasem i to się przebrało.

Na kilka jednak miesięcy wprzód nim te klęski nastąpiły, Francuzi starali się wszędzie wziąść przewagę nad zbuntowanemi murzynami. Nasz garnizon Cayes robiąc częste wycieczki, upatrzył pozycyą, był to piękny i obszerny wzgórek wzniesiony wśród plantacyj cukrowych obok dwóch pięknych krzyżujących się dróg robionych, palmowém drzewem wysadzanych zwanych *quatre chemins*. Na tém wzgórzu założono obóz z nazwą *Camp Bourdet* jako miejscu zburzonéj temu obywatelowi pięknéj habitacyi, do którego zaraz w pierwszych dniach przybycia swego trzeci nasz batalion zgromadzony został i tam się do ostatka utrzymywał. Wzgórek ten wkrótce zamienił się na małą forteczkę okopaną szerokim rowem, zasłonioną mocnym parapetem z bateryami, w których się znajdowało ośm dział obsłużonych po większéj części przez dawnych kanonierów murzynów pozostałych wiernymi dawnemu swojemu rządowi. Była ta pozycya bardzo bliska obozów murzyńskich na górach

rozłożonych, która im wszelkich działań na miasto przeszkadzała.

Na wspomnionéj fregacie *La Vertu* odpłynął do Francyi już żadnéj nie mający komendy jen. Sarrazin i jen. Laplum; ten umarł w Kadyksie z dawniejszego w piersi postrzału i niewydobytéj kuli. W naszym punkcie, oprócz głodu i zamknięcia portu jednym okrętem angielskim, nie było nic rozpaczającego, lecz nie tak się działo na innych. Mieszkańcy zaczęli opuszczać miasta i udawać się do wysp sąsiednich, najwięcéj do hiszpańskiéj *Kuby*; z takiéj sposobności korzystał w Gérémie *Fresinet* wsiadł na obywatelski okręt z adjutantami swoimi, i z nimi i kapitan *Zimirski* po wymarciu starszych, komenderujący batalionem 2gim, gdyż już od dawna nie żył podpułkownik *Jasiński* odebrawszy sobie życie wystrzałem pistoletowym. Cóż tu powiedzieć o batalionie zostawionym w reducie nad miastem będącéj? Porucznik *Rusiecki* zeszedł na dół z raportem do swego komendanta, a że go już zastał na okręcie nie miał nic lepszego do zrobienia jak porwać żonę z dziećmi i zostać pod dalszemi jego rozkazami bynajmniéj niedając znać w reducie co się na dole działo. Opuszczone miasto zajęli murzyni, oblegli redutę i po dwudniowém traktowaniu weszli do niéj, znalezionym tamże francuzom toporami na pieńku głowy poucinali, a naszych oddali anglikom, którzy ich zaraz ubrawszy w swoje mundury, kurtki polskie i cały ich ubiór oddali murzynom; w takim to ubiorze przyszedł nam się prezentować jeden batalion murzyński. Zbliżała się i dla nas chwila, ewakuowaliśmy miasto *Aquin* zajmowane jedną kompanią z batalionu 1go, dowódzca jéj kapitpn *Zieleniewski* zrąbany przez kawaleryą murzyńską, po dostaniu się do *Cayes* umarł. Jenerał dywizyi *Brunet* zwołał radę wojenną i podał projekt przedzierania się do *Kartageny* na statkach obywatelskich na jakich w porcie nie zbywało, wszystkie te

jednak projekta nie przyszły do skutku, przybyło więcéj okrętów angielskich i z komodorem *Cumberland* niemi komenderującym ugodę zawrzeć musiano, mocą któréj oddawano anglikom: miasto, arsenał, zgoła wszystko co było rządowego albo wojskowego, anglicy zaś obowiązywali się zaprowadzić nas na swoją wyspę *Jamaikę*, tam oficerów przesadzić na okręta transportowe i odwieźć do Francyi napowrót, a żołnierzy do dalszego czasu zatrzymać jako jeńców wojennych. Hurmem za nami, rzucili się obywatele na statki z familiami swemi, ale dużo pozostało w mieście ufnych w kapitulacyą angielską. Ci najprzód zajęli wszystkie po nas poczty, a przy ambarkowaniu się wprowadzili do miasta niewiele lądowego żołnierza. Po wyjściu z portu i zbliżeniu ku wyspie zwanéj *l'Isle à Vache* na przeciw Cayes leżącéj, na któréj zawsze utrzymywałem oddział z 50 ludzi złożony z jednym oficerem, obok któréj nieszeroka była głębia, którą jedynie mogły wchodzić i wychodzić okręty, reszta w kształcie ogromnego półkola zamknięta pasmem skał pod powierzchnią wody ukrytych, dostatecznemi były że w tém miejscu postawiony jeden okręt angielski najściśléj nas blokował, i wszelką więcéj jak przez trzy miesiące odjął nam komunikacyą. W tém tedy miejscu, cała ewakuacya nasza ze wszystkiemi statkami obywatelskiemi na kotwicy stanęła, a komodor Cumberland, ze świtą oficerów wziętą ze wszystkich swoich oficerów, ku wieczorowi odpłynął do miasta. Była to chwila wpuszczenia tryumfalnego do Cayes, jenerała murzyńskiego *Dessalines* z wojskiem jego. Huczne natychmiast usłyszeliśmy okrzyki, całe miasto rzęsisto oświecono, śpiewy i nieustanne strzelania dowodziły powszechnéj radości wśród któréj odbywała się uczta dla anglików wyprawiona, ta się przeciągnęła aż do następnéj nocy i niewróciła nam anglików na okręta aż trzeciego dnia rano znużo-

nych biesiadami ale dobrze obładowanych złotem za sprzedanie murzynom tego miasta. Naród przemyślny wszędzie znajdzie dla siebie korzyści i u nas takaż, chociaż w niegodziwym sposobie, dla anglików się wydarzyła.

Jenerał Darbois jeden z najbogatszych w gotówkę jaką łatwo kilkoletnim pobytem w kolonii mógł nabyć, ambarkowany na okręt tegoż kapitana który nas blokował, żywy z temperamentu, w zajściach musiał czémsiś pogrozić anglikowi, że ten oskarżył jenerała jako buntującego polaków na ten okręt wsadzonych ażeby go opanowali i wieść siebie kazali gdzie się jenerałowi podoba. Jenerał tedy aresztowany, na dnie okrętu osadzony, za wnijściem do *Port Royal* wyprowadzony do tego ufortyfikowanego miasteczka zasłaniającego ogromny port w głębi którego znajduje się miasto *Kingstown* stołeczne wyspy Jamajki i w nimże w areszcie zatrzymany przy zabraniu wszystkiego co posiadał, co dało najfałszywszy powód jakoby francuzi zgwałcili kapitulacyą z komodorem zawartą. Gubernator wyspy ogłasza ją za niebyłą, zatrzymuje wszystkie okręta pod témże miasteczkiem i przez dni kilka anglicy ścisłą odbywają rewizyą, zabierając wszystkie pieniądze jakie tylko znaleźć mogli, gdyż byli pewni że nie małe znajdą summy, wszystkich bez wyjątku ogłaszają jeńcami wojennemi, z zabranych pieniędzy tak najmłodszemu podporucznikowi jak najstarszemu jenerałowi, ni mniéj ni więcéj, dają po dwadzieścia pięć talarów, z szyderstwem: że ponieważ u nas równość panuje, oni ją szanować umieją. Tak nas oporządziwszy, wprowadzili okręty w głąb' portu, nas pod samym *Kingstown* na ląd wysadzili i jako jeńców zgromadzili do miasta *Spanishtown* 14 mil angielskich w głąb kraju będącego, gdzie gubernator wyspy miał swoję rezydencyą i w którém skoncentrowane były władze, tak sądownicze jak administracyjne, wziął na

swój dwór 14tu pozostałych nam muzyków, z 30tu niegdyś dobranych amatorów, tym się dobrze u hucznego rządzcy powodziło. Znaleźliśmy także w tém mieście kapitana *Zimirskiego* i porucznika *Rusieckiego*, o których wyżéj była mowa wpadłych podczas swéj żeglugi w ręce angielskie. Wkrótce za nami przybył i Rochambeau ze swemi sztabami i garnizonem *Port au Prince*, który był ostatnią ewakuacyą.

Tu się zastanówmy i zapytajmy się: co się stało z temi 600 kilkudziesiąt ludźmi choremi których ja z *Cayes* na jeden raz odesłałem do lazaretu w *Mole St. Nicolas*, gdzie była reszta naszego 113 regimentu wcielona rozkazem dziennym gubernatora do naszego 114go, w czasie ogólnéj organizacyi podczas któréj, kilka zniszczonych, w jeden zlewano regiment, gdyż ja uznany za komendanta, i na przedstawienie jen. dywizyi *Brunet* podniesiony na stopień pułkownika, ani tych ludzi ani ich chorągwi i kassy nie widziałem, wiedziałem tylko że przed nami byli polacy z Cayes, mężnie się trzymali, szczególnie wychwalali kapitana *Dziurbas* tamże poległego, i pamiątkę jego uświetniono, nazwaniem wzniesionego szańca *Fort Dziurbas;* żałowano także mocno podpułkownika *Bulaste* w *Jaquemet* zmarłego, co się zaś stało z jego wojskiem? niewiadomo, gdyż my musieliśmy tam posłać nowy garnizon pod komendą kapitana *Mościckiego*, a co się i z tym stało, także mnie niewiadomo, gdyż kapitan przybywszy sam po żołd, nie znalazł prędkiéj okazyi do powrotu, zachorował i umarł, a my tymczasem kapitulowaliśmy i jako jeńcy wojenni dostaliśmy się w moc angielską. Więcéj jeszcze podobnych znalazłoby się wypadków, które szczególnych, z tożsamości wypływających potrzebują świadków.

Anglicy, po kilkunastodniowém nas zatrzymaniu, zaczęli głosić: że gubernator chętnie by nas do Francyi odesłał gdyby miał przewozowe statki, gdyż wojennych

okrętów do tego użyć nie może, ale pozwoli nam częściowo udawać się do Stanów Zjednoczonych Ameryki o swoim koszcie, gdzie konsulowie francuzcy łatwe znajdą sposoby, wyprawienia nas jako parolowanych do Francyi. Tak się też i stało, do trzeciego transportu ja się podałem i znalazłem siedmiu ochotników, którzy zemną odpłynąć chcieli, wszystkich komisarz angielski akceptował, ale kiedy przyszła kwestya ażeby mnie wydał mojego służącego, który nie będąc żołnierzem nie mógł podpadać pod kategoryą jeńców wojennych, na zapytanie jakiego był narodu? kiedy mu odpowiedziałem że Polak — jak skoro Polak, to wydany być nie może, zapytany przezemnie: dla czego? odpowiedział komisarz: „mogliście służyć Francuzom: przelewać krew w ich sprawie i ginąć, to żołnierze wasi mogą służyć Anglii, a będą lepiéj odziani, zapłaceni i zaszanowani, a jeżeli chcesz mieć służącego, wybierz sobie między Francuzami jaki ci się podoba, a będzie wydany," zacząłem w żywszą nieco wchodzić rozmowę a widząc że napróżno odszedłem.

Pozwolono nam udać się do *Kingstown*, tam znaleźliśmy bryk amerykański *Federaliste*, który wyprzedawszy swój towar, deski, miał próżno do Karoliny południowej odpływać, ale znalazł nas do 40 osób najwięcéj Francuzów z żonami i dziećmi, mających zamiar osiąść na zawsze w Ameryce — Bryk ten już był kondemnowany, uznany za niezdatny do żeglugi, przecież chciwy kapitan jego *Eborn* znalazł sposób wymknięcia się, nie miał nawet bussoli, bez któréj żaden okręt podróży morskiej nie odbywa, i pewnieby nas w kanale *Bahama* zatopił, gdybyśmy szczęśliwym trafem nie mieli między sobą kapitana z zabranego przez Anglików okrętu, ten nas od niezawodnej uratował śmierci; rzuciwszy się sam do rudla i zakomenderowawszy manewr przerzucenia żagli, jakiśmy dobrze znali, w chwili wpadania statku

na ukryte w wodzie skały. Działo się to o 9 w wieczór, byliśmy wszyscy na pomoście, i dla tego bardzo szybko ten manewr się spełnił, a skierowany w inną stronę statek, już nie miał żadnego niebezpieczeństwa; ale go czekało drugie. We dwa dni później zbliżyliśmy się wieczorem ku brzegom portu *Charlestown* a że żaden okręt bez pilota do portu nie wchodzi, rzucono kotwicę, tę burza zrywa, okręt w temże miejscu uszkadza, że się weń woda gwałtownie wdziera — rzucono się do pompy, ta niedostateczna — rzucono się do różnych naczyń i niemi wodę wciąż wylewano — burza wpędziła nas na pełne morze. Kapitan nie mając bussolki ani żadnego potrzebnego instrumentu, nie wie gdzie jest — szczęściem jego pomocnik dostrzegł w odległości ziemię, rozpoznał że to był *Cap St. Antoine*, zbliżyliśmy się do brzegu, weszliśmy na rzekę *Savanah*, i tam już więcej wody nie wylewając, ani pompując, pozwoliliśmy brygowi osiąść na dnie — drugiego zaś dnia szczęśliwie dostaliśmy się do miasta *Savanah*, gdzie nam w ciągu kilkunastodniowego bawienia, Amerykanie pokazali grób Kazimierza Puławskiego wymurowany w miejscu, w którém spadł z konia nasz rodak komendant jednego regimentu kawaleryi francuzkiéj przesadziwszy wał i spadłszy w środek reduty angielskiéj.

W tém na nowo z pożarów wznoszącém się mieście, pamiętném klęską francuzów wspierających amerykanów wybijających się na wolność, nie wypadało długo bawić, nam trzeba było szukać takiego, w którembyśmy mogli znaleść jakiego Francyi agenta, a takiem był wyżéj wspomniany *Charlestown* stołeczne miasto Karoliny południowéj, do niego więc udaliśmy się, to jest nas trzech: ja, kapitan *Bogusławski* i kapitan kwatermistrz *Truskolaski* lądem, odbywając tę 40 milową podróż, dość wygodnym dyliżansem, samemi jak świat staremi lasami, pomiędzy któremi znajdowaliśmy same tylko stacye

pocztowe z niewielą domkami i ludnością zabezpieczającą miejsca te od napadu Indyan, a reszta naszych morzem. — Przybyliśmy do *Charlestown* w wilią Bożego Narodzenia 1803 roku, w którém już dużo zastaliśmy Sandomingowskich Francuzów tak cywilnych jak i wojskowych; był w niém komissarzem do interesów handlowych: *Commissaire des relations commerciales*, nazwiskiem *Soult*, ten nam wszystkim bez wyjątku dawał takąż samą płacę 6 talarów na tydzień jakąśmy od anglików mieli, możeby kto powiedział: dość dobrą, kto nie zna niezmiernéj w owych krajach drogości. — Tenże komissarz wynajął dla nas okręt kupiecki trzymasztowy zwany *Minerwa* własnością hiszpańską będący, mający swego kapitana i kilku majtków hiszpanów, a że mocarstwo to, równie jak i Francya było w wojnie z Anglią, więc dla zabezpieczenia tak okrętu jak i nas od napaści nieprzyjaciela, komisarz ugodził do komenderowania nim, anglika z wyspy *Jersey* nazwiskiem *Messeray*. Okręt ten napełniony i cywilnemi z żonami i wojskowemi, między któremi i my, wszyscy w liczbie 8miu znajdowaliśmy się, wypłynął z portu 1go marca 1804 roku po wytrzymaniu 53 dniowej wśród srogich burz żeglugi, która miotając nami od *grands bancs de Terre neuve*, czyli niebezpiecznego pasma piasków morskich, i raz pędząc ku Norwegii, to znowu odwrotnie ku brzegom Afrykańskim i wyspom Kanaryjskim, dozwoliła w końcu, nieoszacowanemu kapitanowi naszemu wnijść do *golfu Gaskońskiego*, a następnie w ujście rzeki *Dordony*, gdzie po 4ro dniowym nas zatrzymaniu dla przekonania się o stanie zdrowia całego ekwipażu wpuszczono do *Bordeaux*, zkąd żadnemu wojskowemu nie wolno było ruszyć.

Tu mi wypada nadmienić o czynie krzywdzącym charakter i honor polaka, ale tego wymaga po mnie prawdziwość historyi. Kapitan *Zimirski* osobną drogą przy-

były do Paryża, dowiedziawszy się o moim do *Bordeaux* przybyciu, pisze list donoszący mnie że dzienniki francuzkie, a za niemi i wszystkie zagraniczne głosiły, żeśmy przechodzili na stronę murzynów i z niemi przeciwko Francuzom walczyli, i że dla tego kolonia utrzymać się nie mogła. Tak dotkliwą odebrawszy wiadomość, postanowiłem udać się do Paryża, jakoż po zakomunikowaniu prawdziwego celu takowéj podróży jenerałowi *Avril* komenderującemu 11tą dywizyą wojskową, otrzymałem od tegoż żądane pozwolenie, tak dla siebie jak i dla kapitana kwatermistrza *Truskolaskiego*.

Nie było pod ówczas w Paryżu ani Murata, ani Bertiego (*Berthier*). Oba towarzyszyli Napoleonowi w objeździe departamentów po ukończonéj sprawie Morego (*Moreau)* a widzieć ich koniecznie mnie wypadało. — W tymże czasie stolica wielkie robiła przygotowania do koronacyi Bohatera wieku. — Mogłem tylko podać notę ministrowi marynarki *Decraye* nie ukrywając bynajmniéj smutnego z naszym drugim batalionem wypadku i razem dowodząc, że on nie był owym haniebnym zarzutem zbiegostwa do Murzynów — reszta czasu zostawała nam do obrachowania się z ministeryum marynarki z zaległości które przyjęto i zdecydowano, że będą wypłacane w miarę jawiących się indywiduów z pewnemi dowodami, których nazwiska znajdą się w złożonych listach imiennych i księgach kontrollowych, — gdyż wiedzieć i to potrzeba, że korpusa przeznaczone do kolonij, wychodziły ze składu wojska lądowego i zupełnie do morskiego należały, dopókąd na nowo do lądowego przelanemi nie zostały. — W tymże samym czasie zainformowałem się, że istotnie znajdowała się w ministeryum wojenném lustracya 113go regimentu: w któréj podana była znaczna liczba dezerterów; — wprawdzie nadmieniono mnie było jeszcze w kolonii, że Polacy umieli oszukiwać inspektorów — ja to wziąłem za rzecz bardzo

naturalną, gdyż pospolicie w całej armii francuzkiéj i włoskiej kapitanowie podawali za obecnych ludzi od dawna nie istniejących dla pobierania za nich płacy i żywności, które częstokroć stanowiły im więcéj jak podwójną gażę, a na nakazaną lustracyę najmowali ludzi najczęściej dworskich, których dosyć było ubrać w mundur i postawić w szeregu: ażeby jak kolej nadejdzie odezwał się słowem: francuz lub włoch *présent*, a polak *jestem*, gdyż inspektora obowiązkiem było porachować ludzi, sprawdzić listy przyzowne i potwierdzić takowe dla ułożenia płacy na obecnych pod bronią i potrącenia tego co nadebrane być mogło. — Ale nasz 113ty regiment za daleko manewr ten posunął. Kapitanowie nie podawali zmarłych wśród widocznéj śmiertelności, dostrzeżono to, nakazano ścisłą lustracyę *revue de rigueur;* nie było dla nich innego do ratowania się środka, jak podać na raz kilkuset dezerterów. — Taką to lustracyę wraz z wieloma od innych regimentów i różnemi od jen. Rochambeau expedycyami, tak do ministeryum jako i do rządu zawiózł do Paryża *Boyes*, jeden z oficerów głównego sztabu, wkrótce po naszém do kolonii przybyciu i wprzód niż ona przez Anglików oblokowana została. — Taki czyn bynajmniéj nie ściągał się do naszego 114 regimentu, śmiało więc prosiłem o audyencyę *Murata* jako naszego protektora, i tego, który nas do St. Domingo wyprawił — otrzymałem ją w *Neuilly* rezydencyi tego księcia, tam w salonie znalazłem bardzo wielu jenerałów w obec których oświadczyłem księciu Newszatelskiemu że jako komendant 114go regimentu w kolonii, przybywam prosić go o sąd lub komissyą, ażeby mnie kto chciał dowodzić żeśmy nie byli wiernymi rządowi i przechodziliśmy na stronę murzynów i z niemi przeciwko francuzom walczyli, a ja daję głowę moję w zakład.

Taisez vous zawołał *Murat*, Cesarz się o wszystkiém przekonał i wie co to wszystko znaczyło, nawet jest niekontent, że to do pism podano, a więcéj ani słowa o tém. Zaczęto mnie na wszystkie strony obracać i robić projekta: czyby nie dobrze było kiryssyerom dać mundurów krojem podobnych do mojéj kurtki — na tém się skończyła dana mnie audyencya, i ja już żadnych dalszych nie czyniłem kroków.

Kiedy się ta nadzwyczajna odbywała koronacya na którą przybył z *Rzymu* Papież ze wszystkimi swoimi kardynałami, i z całych prawie *Niemiec* udzielni książęta Rzeszy, również jak i królowie utworu Napoleona, jednocześnie przybyła z Medyolanu delegacya ofiarująca Cesarzowi Francuzów koronę włoską, imieniem całego narodu, w niéj znajdował się jrł. *Dąbrowski*, jako jeneralny inspektor jazdy téj Rzeczypospolitej. — Zdarzyło się że podczas jego bytności w Paryżu wydebarkował w Bordeaux nieznany mnie z nazwiska i rangi oficer 113go regimentu; ten uchronioną jednę ze swoich chorągwi odesłał mnie przez kapitana *Bogusławskiego* przechodzącego do *Chalons sur Marne* gdzie wszystkich polaków z różnych stron na rezydencyę posyłano. I dla mnie było tamże przeznaczenie, na które udałem się po sześciomiesięcznym przeszło w Paryżu pobycie, wprzódy jednak nim to nastąpiło, zapytałem *Berthiego*, co każe robić z dwiema chorągwiami u mnie będącemi, gdyż jednę z 114go regimentu jeszcze przed kapitulacyą u siebie zachowałem — a kiedy żadnej nie odbierałem odpowiedzi — „oddaj mi“, rzekł Dąbrowski, — tak zrobiłem — Owe te chorągwie złożone były ze wszystkiemi darami przez Dąbrowskiego testamentem zapisanemi w domu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, i na tém rzecz całą kończę. —

WIERSZ

Stefana Garczyńskiego

napisany

w tydzień po płynieniu łódką na Lemanie.

Bex, 3 lipca 1833.

1.

Płynąłem — ciche wiatry kołysały łodzią
Drgającą na wód głębi jak motyl na trawie,
Już był dzień ku schyłkowi — już po zwykłéj wrzawie
Z rozbiegłą nad brzegami rodzinnemi młodzią
Ojciec rybak ostatnie porozstawiał sieci.
Tu łódka rozwieszony w słońcu żagiel pali,
Tam druga brzeg dopędza — a wyżéj i daléj
Na niebie i na wodzie i gdzie wzrok doleci
Jak lutni brzęk w śpiewaków nastrojonym chórze
Ogień zachodni słońca topił się w lazurze.

2.

Wiatr powstał — czołgająca łódka w pędzie nagli
I jam chciał żyć inaczéj — rzucam się do żagli,
I żagle rozpostarłem — pędzę przez wód piany
Pędzę ale napróżno! — napróżno obwiany
Wiatrem, serce poruszam — próżno drżącą dłonią
Czerpam wodę i rzucam na wybladłe lice;
Myśli moje ścigają inne okolice
Myśli moje na powrót ku rodzinie gonią!

3.

Dawniéj — lecz na co przeszłe wywoływać duchy?
Życie w przeszłości śmiercią prawdziwą w zarodzie;
Więc wołać do żyjących! — wołałem — świat głuchy;
Opuszczam tedy żagle — na brzeg pchnijmy łodzie —
Obojętność jest pierwszém rozstania się godłem.
Jam się stał obojętnym dla całego świata;
Życia mało — przeszłością niech zajdą me lata.
Na ludziach się i ogniu i wodzie zawiodłem!

KSIĘŻNIE M. C.....

za muzykę Szopena

przez autora „Błogosławionéj“.

O! księżno moja gdy pod twoją dłonią
Śpiewają dziewic naszych usta smętne,
Kościołów pańskich ciężkie dzwony dzwonią,
I szemrzą głucho słowa boju chętne.
Gdy szumy wichrów co po polach gonią
I głosy z harfy wzbiją się namiętnie
I jęk zmięszany z łamiącą się bronią
Dnie przypomina boleścią pamiętne —
Patrzę na ciebie rychło mi od ziemi,
Odlecisz skrzydły niesiona srebrnemi.

Ty może sama nie wiesz księżno moja!
Jaki otacza ciebie orszak biały:
Na jednym z wodzów, złota lśni się zbroja
Nad drugim sępie skrzydła się rozwiały
W koronie z pereł starsza siostra twoja
Z zamkowych progów niesie wzrok nieśmiały

Grecka dziewica z nad cichego zdroja,
Rzuca przed tobą wonne liście chwały,
Snują się dzieci a wieśniacy w dali
Biją do taktu w podkówki ze stali.

Jedne i drugie rozrządzasz orszaki
Zwracając dłonią w tę to w ową stronę,
Skinieniem palca zczarowałaś ptaki
Słowiki w gajach ciemnych zatęsknione
Więc i żniwiarki strojne w polne maki
Co noszą sierpy w księżyc zaostrzone,
Więc i rycerze których rżą rumaki
I szemrzą pióra w skrzydła utwierdzone,
Wszystko się kwoli twym skinieniom składa,
Żyje, porusza, coś śpiewa, coś gada. —

Patrz Czarodziejko na izby klepisku
Wali się mazur że aż dusza rwie się,
Dłoń z dłonią spojna w serdecznym uścisku
Radosne krzyki wiatr po lipach niesie,
Tymczasem starce gwarzą przy ognisku
Jak siwe dęby w nieprzejrzanym lesie,
A przy gwiazd górnych migotliwym błysku
Śród łóz po których bujny powój pnie się
Rodzinna Wisła powoli, wspaniale,
Toczy do morza burzliwe swe fale.

Patrz Czarodziejko pod dłońmi twojemi
Jaka powstaje z jéj wody wodnica,
Ledwie się stopy dotyka lekkiemi
Gwiazdzistéj wody mglana tanecznica,
Warkocze liśćmi ubiera długiemi

Szaty jéj wietrzyk z cichych błoń rozchwyca
I mgłę niebieską roznosi po ziemi,
Co cieniem nocnym pochmurzyła lica.
Tymczasem twoja królowa strumieni
Budzi słowiki spiące śród drzew cieni. —

Widzisz ją widzisz! jak długie warkocze
Jak len, jak złoto, lecące strumieniem
Splata, rozplata, aż jasność migocze,
Kiedy je czesze srebrzystym grzebieniem;
Przejrzy się, całe rozbłyska przezrocze,
Zanika, wierzby okrywa się cieniem,
Jak miesiąc świeci, jak słowik szczebiocze
I niby śmiechem jest, niby westchnieniem;
Tyle prostoty i smutku w jéj głosie,
Co w młodéj głowie i w pieśniach po rosie.

Wodnica znika—niebo się pochmurza
Gwiazdy pogasły, szary świt w obłoku,
Poranek słotny: ni cisza ni burza—
Widzisz tych dwoje stojących w półmroku
Dziewczyna wodę ciągnie śród podwórza
Zdala przybyły chłopiec przy jéj boku,
Na nim i na niéj nie widać wesela,
Choć to poranek i choć to niedziela.—

„Nie będę twoją“—zabrzmiała piosenka,
Ani niczyją—daléj giną słowa....
O! Czarodziejko czemu twoja ręka
Dwoje tych pięknych postaci mi chowa?
Uderzasz w struny że aż serce pęka
Powstaje tętent, grzmi trąba bojowa,

Każdy głos struny jak miecz stary szczęka
W chrobrym zamachu na bramach Kijowa,
Ojcowie moi chorągwiami wieją,
Patrzą się na mnie i idą i śmieją.—

Na twardych zbrojach brody się kędzierzą
Długie proporce wiatr unasza letni:
Poważnym wzrokiem pole bitwy mierzą,
Tacy zwycięzcy i tacy szlachetni.
Więc i trębacze długie trąby dzierżą
Których głos pędzi po przestrzeni kwietnéj
Jak snopy zżęte lute wrogi leżą
Ojcowie moi jakżeście wy świetni!
Och na kolana przed wami się chylę
Jak polny oset na głuchéj mogile.

Księżno ty moja, gdzie oni? gdzie oni?
Jak wszystko nagle w ziemię się zapadło,
Jak na pogrzebie struna twoja dzwoni,
A lice dziwną bladością pobladło,
Straszne bo chmury pędzą z pod twéj dłoni
Pochodnie skrawe, cmentarzów widziadło,
Zgrzyt słyszę tylko kurzącéj się broni,
Przy krzyżach płaczek kilkoro usiadło
W oczekiwaniu mar idących z cieni,
Pod światłem skrawych języków płomieni.

Anioł rozpaczy pieśnią pożegnalną
Żegna rozbitą drużynę sierocą
Pieśnią pogrzebu tak smutnie kryształną
Gdy wierzchołkami drzew wichry szamocą
Żadne się gwiazdy na niebie nie złocą.

Grom tylko huczy przed burzą nawalną
Daleki puszczyk odzywa się nocą
Szarymi skrzydły bijąc w ścianę skalną
Orszak iskrami rzuca w wiatru fale
I anioł nuci kryształowe żale.

O przestań, przestań, bo jeśli się zbliżą
Jeśli mnie powiew pogrzebu owieje,
Jeśli mnie zgłuszy dzwon straszliwą spiżą
Serce pożegna ostatnią nadzieję.
Ręce się moje nad grobem rozkrzyżą
I mrok podziemny do mnie się rozśmieje.
Zasłoń przedemną zasłoń ręką chyżą
Owe tak straszne a za bliskie dzieje.

Niech mi się zdaje że ona oddycha
Że przy jéj stopach dzieci plotą wieńce
A ona święta tak przedziwnie cicha,
Królewskie z góry podaje im ręce
Tego całuje temu się uśmiecha
Ten jéj radości sprowadza rumieńce,
Ten jéj podaje złote zboża kłosy
Ten lutnię strojną pieśniowe niebiosy.
Cisza—muzyka przebrzmiewa, zamilka
I czarodziejka za mgieł srebrną smugą—
Była to chwilka, ale taka chwilka
Wystarczy w życiu na długo.—

POWIEŚĆ KRAKOWSKA.

VII.

Po gwałtownéj scenie jaka na pensyi zaszła, Zosia nie mogła tam dłużéj już pozostać; wyjrzawszy więc oknem i przekonawszy się, że doróżka z Grucą zniknęła już z przed domu, zbiegła na dół nie zatrzymana przez nikogo i udała się wprost do Konieckich. Jedyne to było miejsce, gdzie na czas jakiś znaleźć jeszcze mogła przytułek. Wprawdzie miała ona kilka innych znajomości w domach dawniejszych koleżanek swoich, które wprzód od niéj pensyę były opuściły, wiedziała wszakże iż spotkanie z Grucą nie pozostanie tajemnicą i że musiało ono przeciąć od razu wszystkie stosunki jakie ją zaczynały wiązać ze społeczeństwem do którego wejść pragnęła.

Przybywszy do Onufrych opowiedziała im w krótkich słowach, jak Gruca pijany wpadłszy na pensyę narobił wrzawy, jak ją szarpał i do szynku chciał ze sobą ciągnąć, jak jéj narobił wstydu i wystawił na szyderstwo

---

Patrz zeszyty marcowy, kwietniowy i majowy.

wszystkich panien, które się od niéj natychmiast odsunęły, dowiedziawszy się że jest córką szynkarki. Wśród płaczu opowiadanie jéj przerywającego prosiła Onufrego żeby ją wywiózł z Krakowa dla ukończenia edukacyi, lub pomyślał o umieszczeniu jéj z dala od napaści tego ordynarnego człowieka, jak nazywała Grucę.

— Wszystkiemu temu ja winna! — zawołała pani Koniecka. — Stałam się wspólniczką kłamstwa zezwalając na to, aby Zosia pod przybranem nazwiskiem zostawała na pensyi. Trzeba ją było oddać na naukę w takie miejsce, gdzieby stan jéj matki nie był jéj poczytywany za występek, gdzieby nazwiska swego niepotrzebowała się wstydzić.

— Prawda że się źle stało — dodał Onufry, czując że i on zawinił. — Kłamstwo utrzymać się długo nie mogło. To co się dziś stało, byłoby zawsze stać się musiało, nie tym to innym sposobem. Dziwi mię jednak, skąd Gruczyński mógł być pijanym, on co podobno nie pijał?

— Pijanym był, pijanym! — zawołała Zosia — oto mi porobił sińce na ręku, a potém się potoczył i musiano go sprowadzić po schodach i doróżką do domu odesłać.

— Dziwna jednak rzecz — mówił daléj Onufry — Wczoraj jeszcze przyrzekał księdzu Janowi że się z żoną pojedna i Zosię przyjmie do domu jak córkę.

— Teraz o tém ani myśleć. Ale cóż z Zosią zrobiemy? — zapytała pani Koniecka.

— Ha, zobaczymy naprzód co ona umié.

I Onufry pamiętny swojego dawniejszego zawodu nauczycielskiego, jął wypytywać dziewczynę o to i owo w ogóle, pewny będąc, że z niewielu pytań można będzie łatwo poznać co uczeń wart. Zosia wymawiała się z początku bólem głowy i wielkiém swojém strapieniem, które jéj przeszkadzało zebrać myśli, a kiedy to nie zaspokoiło Onufrego, który wpadł w dawny swój nauczycielski zapał, oświadczyła mu, że takich pytań w kaje-

tach jéj nie było, lecz gdyby je miała ze sobą, toby mu na wszystko co w nich jest odpowiedziała co do słowa.

Pani Koniecka błagała męża na migi, aby dał temu wszystkiemu pokój, lecz kto wié czyby jéj był usłuchał, gdyby Szczepanowa nie była przerwała tego egzaminu, wpadłszy nagle do mieszkania ich i zawoławszy:

— Panie Koniecki! ratuj pan! Gruca nie żyje, a Chłapczyński wyprowadza wódkę ze składu.

— Co? Gruca umarł! — zawołał przerażony Onufry i już był za drzwiami, a Szczepanowa teraz dopiero spostrzegłszy Zosię, zapomniała na chwilę o zmarłym i o szynku, i z otwartemi rękami pochwyciła Zosię, wołając:

— O moja Zosieńko! moja ty pociecho!

— Ach! mój kołnierzyk! na nic się pogniecie! Szczepanowa albo tych słów niedosłyszała, albo też nieprzywiązywała do nich żadnéj wagi, gdyż uściskawszy opierającą się wnuczkę wybiegła za Onufrym; lecz pani Koniecka je dosłyszała.

Onufry przybywszy do szynku, spłoszył naprzód Chłapczyńskiego, który nasprowadzał wyrobników i wypróżniał sklep bocznemi drzwiami, bo przodowe, że to niedziela, były zamknięte. Wszedłszy potém do izby tylnéj, zastał ją pełną ludzi, z których jedni ciekawie gapiąc się otaczali trupa, a drudzy przeglądali wszystkie kąty mieszkania. Na środku stał chirurg wycierając szmatą lancet i pytając obecnych:

— Któż mnie zapłaci?

W kącie siedziała skulona Pawłowa, prawie nieruchoma, nie słysząc co się w koło niéj dzieje. Na twarzy jéj malowało się jedno tylko uczucie, przerażenia, i żadne inne w téj chwili przystępu znaleźć do niéj nie mogło. Powoli zaczął się gwar zwiększać, każdy miał coś powiedzieć: ten, że ratunek winien być spieszniej-

szy, tamten udzielał rad i przestróg, inny chciał się zajmować pogrzebem, a każdy przyznawał sobie tytuł przyjaciela nieboszczyka. Kiedy Onufry w sieni ucierał się z Chłapczyńskim i kryminalną mu nawet sprawą groził, Szczepanowa wypraszała za drzwi przyjaciół natrętnych poglądając im na ręce i odbierając niejeden drobiazg, któryby chcieli z sobą unieść jako pamiątkę po zmarłym przyjacielu.

W klasie zamożnéj zauszniki obojéj płci lub służba wypróżnia częstokroć gabinety, szkatułki, gotowalnie i pugilaresy; w klasie zaś téj do któréj należał Gruca, czynią to pierwsi lepsi sąsiedzi, a nawet obcy, łatwy mając w takich razach wstęp do mieszkania.

Onufry powagą swoją a nawet siłą wsparł Szczepanową i jednych wypraszał, drugich wypychał za drzwi, ale trudniejsza była sprawa z kobietami które obsiadły Pawłową, i mimo wszelkich przedstawień nie ruszyły kroku, poczytując sobie za powinność zawodzić żale i pocieszać wdowę. Zastępują one miejsce starożytnych płaczek z tą różnicą, że czynią to bezpłatnie i że zamiast łzawic używają chustek do nosa albo i zapasek. Też same kobiety idą z pogrzebu na ślub lub chrzciny, bo proszone czy nie proszone, wszędzie być muszą gdziekolwiek się cieszą lub smucą, gdzie tańcują lub płaczą. Mają one do każdéj okoliczności gotowy wielki zapas przypowieści i przysłów, któremi jakby ozdobami krasomówczemi mowy swoje przystrajają. Ich to wymowie przypisać wypada, że nieraz zanim świeża mogiła trawą porośnie, już się rozpoczynają swaty.

Starania ich nie pozostały i tym razem bez skutku. Zaledwie się skończył pogrzeb i rozpoczęto postępowanie spadkowe po zmarłym, a Szczepanowa objęła dawne nieograniczone za szynkfasem panowanie, kiedy zaczęły się już schodzić kumoski perswadując, że gospodarstwo bez mężczyzny grozi upadkiem, że Pawłowa

jest jeszcze dość młodą, aby niemiała znaleźć męża, a dość bogatą, aby się o nią ktoś lepszy nawet starał. W saméj rzeczy obie kobiety nie mogły sobie dać rady z takiém gospodarstwem, jakie Gruca prowadził i nie pozostawało im nic do zrobienia, jak albo połowę jego zwinąć, albo szukać jakiego wiernego pomocnika.

Zosia pozostała u Onufrych, bo matka o to prosiła, uznając że niestósowném byłoby dla panny która już na pensyę chodziła, mieszkać przy szynkowni. Pani Koniecka nalegała na męża, aby ją gdzie umieścił, lecz Zosia ani raz skłonić się nie chciała, żeby iść na pensyę w Krakowie.

Wśród tego Chwałkiewicz wraz z wychowanicą swoją Anusią przyjechał do Krakowa, chcąc wpłynąć przez siostrę na brata i uzyskać połowę owych dziewiętnastu tysięcy zostawionych Onufremu przez Stanisława, a których drogą procesu wymusić na nim nie mógł. Onufry przyjął siostrę z wylaném sercem, nie wymawiał jéj że go procesowała, lecz Chwałkiewicza zimno powitał. Szczupłe mieszkanie Konieckich musiało się jeszcze rozdzielić na dwie połowy, z których jedną oni sami z dziećmi zajmowali, a drugą ustąpili Zosi i Anieli. Obie dziewczyny najsprzeczniejszy przedstawiały widok. Córka szlachcica słuchała z podziwieniem jakby czegoś zupełnie dla siebie nowego opowiadań o wielkim świecie, jaki jéj malowała córka szynkarki, która z pensyi swojéj jakby przez dziurkę od klucza przyjrzeć mu się niekiedy miała sposobność. Aniela powzięła wielki respekt dla Zosi, uważając ją za coś od siebie wyższego, znosiła jéj wszystkie przywidzenia i grymasy i usługiwała jéj na każde zawołanie.

— Ja ścierpieć tego nie mogę — mówiła pani Koniecka do męża nazajutrz po przybyciu Anieli — że ta Zosia tak tyra twoją siostrą.

— Tak ci się tylko zdaje moja Marysiu, bo odkąd Zosia jest u nas, masz do niéj jakieś uprzedzenie.

— Nie jest to uprzedzenie, ale rzeczywistość. Do téj niechęci się przyznaję i błagam cię, abyś tę dziewczynę z domu wydalił.

— A to czemu? — zapytał Onufry urażliwie.

— Ty pytasz: czemu, głosem tak dziwnym, jakbyś mię chciał posądzać o zazdrość. Onufry! ta myśl nigdy we mnie nie postała. Nie chciałabym abyś moje uczucia wyprowadzał z pobudek tak niskich chociaż często słusznych, lecz nie dla tego Zosia mię niepokoi. Znam twoją dla mnie miłość, a bardziéj jeszcze znam twój charakter i prawość. Dla czego ja mam ku Zosi niechęć: oto że z ust jéj usłyszałam jedno słowo powiedziane do staréj Szczepanowéj, a to słowo wiele dało mi do myślenia i odtąd wszystko co ona mówi i czyni przymierzam do tego jednego słowa, i rzecz szczególna, jak to wszystko przystaje!

— Nie rozumiem cię wcale.

— Nic dziwnego! Wy mężczyzni zajęci pracą która umysł wasz w różne rozrywa kierunki, nie możecie skupić myśli waszych w jeden punkt. Nas kiedy co uderzy, to mamy czas rozbierać to wrażenie, obracać je na wszystkie strony, ważyć, oceniać a potém zapisać w pamięci naszéj głęboko. Ręka która szyje, nie przeszkadza myśli pracować, a że myśli nasze w małém obracają się kółku, więc muszą zapuszczać się w takie drobnostki, jakie dla waszego umysłu byłyby nawet nieprzystępne. Wierzaj mi Onufry, Zosia jest złą dziewczyną.

I jakież to było słowo tak straszne, które ją tak czarno w oczach twoich wystawiło?

— „Mój kołnierzyk!“

Onufry spojrzał na żonę z podziwieniem, lecz zanim

mu zagadkę tę mogła rozwiązać, wszedł Chwałkiewicz, i powitawszy Konieckich tak rzecz zaczął:

— Panie Koniecki prawowaliśmy się z sobą, tyś wygrał a ja przegrałem. Niemam do ciebie żalu że ci szczęście a raczéj nieostrożność brata posłużyły.

— Proszę się nie zapominać!

— Tylko mi nie przerywaj. To co mówię, mówię nie z własnego serca, lecz z aktów prawnych, z resztą opieram się na zdaniu Stanisława, który był pewnym, że połowa pieniędzy przez niego zostawionych, dostanie się Anieli.

— Tego nigdy Stanisław do mnie nie powiedział. Pieniędzmi temi chciał on spłacić dług serca; ja temi pieniędzmi spłacam własny dług jego obowiązków.

— Wiem o wszystkiem. Pani Gruczyńska opowiadała mi kto jest Zosia i że pan dajesz na jéj utrzymanie. Domyślam się że to jest ta sama summa, o którą się proces między nami toczył.

— Tak jest.

— Więc rzecz skończona co do tego punktu. A teraz przystępuję do drugiego. Od pana Stanisława mam sobie przyrzeczoną rękę mojéj wychowanicy a jego i pana siostry. Spodziewam się, że i pan mi jéj nie odmówisz, a lubo Aniela jest pełnoletnią i może sobą dowolnie rozrządzać, wszelako radbym od braci jéj tyle na mnie łaskawych przychylnego zdania.

— On taki stary; — szepnęła pani Koniecka mężowi.

— W tym względzie — rzekł Onufry — muszę panu z całą otwartością powiedzieć, choćbym go miał sobie narazić, że lubo nie mam prawa rozporządzać ręką siostry pełnoletniéj, wszelako radbym od niéj saméj usłyszeć, co ona o tém małżeństwie myśli. Aniela nie zna ludzi, wychowana w zakącie, zajęta tylko gospodarstwem niemiała może czasu i sposobności rozpatrzeć się we

własném sercu. Zresztą wychowanie jéj było tak zaniedbane, jak gdybyś ją pan nie na żonę dla siebie chciał wychować. Nie życzyłbym sobie tego, aby Aniela miała się stać okupnem téj dzierżawy, którą, jak mi ona sama mówiła, Stanisław panu wypuścił.

— A gdyby i tak było? Czy pan sądzisz, że Aniela znalazłaby stósowniejszą partyę? jeżeli pan jesteś tego zdania, to chyba że zamierzasz te dziewiętnaście tysięcy przeznaczyć na posag dla niéj. Zresztą jak panu mówiłem, Aniela jest pełnoletnią, a krok ten mój jest raczéj grzecznością niż obowiązkiem. Gdybyś pan rzeczywiście nie miał zamiaru przeznaczyć dla niéj kapitału służącego dziś na utrzymanie Zosi, jestem pewny, żebyś go już był przepisał na imię owéj Zosi, skoro dziewczyna dochodzi już podobno tego wieku, żeby niezadługo mogła iść za mąż. Bez przepisania zaś na jéj imię kapitału, nikt nie będzie mógł liczyć na ten posag. Wyznaję jednak, że to wstrzymywanie się pana jest dla mnie wielką otuchą.

— A jaką?

— Że część tego kapitału, jeżeli nawet nie cały, ma być przeznaczony dla Anieli.

— O co w tem, to mogę pana upewnić, że oprócz Zosi nikt grosza z niego nie otrzyma.

— Daruj pan, że ja jako obeznany z interesami, przyrzeczenia tego nie uważam za nieodwołalne. *Verba pa-nie volant, scripta* tylko *manent*. Któż zresztą może ręczyć za jutro? Jesteśmy śmiertelni. Upadam do nóg kochanym państwu, proszę mię uważać jako przyszłego męża Anieli.

— Jednakże on ma słuszność co do Zosi — rzekł po chwili namyślenia Onufry do żony,

— O, zrób to, choćby dla tego, aby mu odebrać nadzieję posagu za Anielą. Ten człowiek wcale mi się nie podoba. Jabym Anieli za niego niepuściła.

— Aniela jest panią siebie. Wreszcie jakież my mamy prawo rozrządzać jéj losem lub z góry zapowiadać, że ten człowiek szczęśliwym jéj nie uczyni? Aniela nie tyle potrzebuje miłości, ile raczéj zajęcia. Uczucia wszystkie swoje skupiła ona głównie w zwierzętach co ją otaczały, bo ludzie którzy byli blisko niéj, nie umieli ich wzniecić. Zostawmy ją taką jaka jest. Któż nam powie, że inaczej byłaby szczęśliwszą?

Przez ten czas inna zupełnie toczyła się rozmowa na dole przed mieszkaniem Onufrego. Chwałkiewicz zszedłszy z góry zastał już Chłapczyńskiego czekającego niecierpliwie skutku odwiedzin.

— No jakże? — zapytał pisarz pokątny.

— Niech mię djabli porwą, jeżelim go w pole nie wywiódł!

— Zobaczymy do jutra. Jeśli do jutra żadnego nie zrobi kroku dla przepisania summy téj na rzecz Zosi, to . . . .

— No to co?

— To się nam trzeba żenić z Anielą, bo możeby się nie opłaciło z wdową.

— Jakto nam?

— E, to termin adwokacki. Kiedy ja komu radzę, to póki interes nie skończony a honorarium nie ściągnięte, uważam sprawę za wspólną. Więc jeśli się nam uda, to honorarium jak było wymówione: dzierżawa konsensu dla Jakubowéj bezpłatnie i okowity kufa na kredyt.

— Słowa nie cofam. Djabli mi już potem po konsensie, okowitę musicie za rok zapłacić, bo inaczéj to konsens odbiorę. Jestem więc swego pewny.

Chłapczyński i Chwałkiewicz nie zawiedli się bynajmniéj w swojej rachubie. Koniecka nie dała mężowi pokoju, nalegając na niego, aby kapitał zaraz jutro przepisał na imię Zosi i zbył się raz już z głowy kło-

potu, który mu tyle sprawia przykrości i dobre imię jego na szwank naraża; skoro po śmierci Grucy niema obawy, aby kto z tych pieniędzy dla siebie chciał użytkować. Koniecki, którego Pawłowa uprosiła na członka rady familijnéj, uznał sam, iż i tak bez niego pieniędzy tych nikt podnieść nie może, i z dochodów ich rachować się musi; nie stawiał przeto w tym względzie trudności. Nazajutrz więc zwołał radę familijną i zajął się przepisaniem summy dziewiętnastu tysięcy do dyspozycyi jego zostawionéj, na rzecz małoletniéj Zofii Wojtasionki.

Chłapczyński który miał znajomych po wszystkich biórach, sądach pokoju i kancelaryach notaryalnych, téj saméj jeszcze chwili wiedział o spisaniu rzeczonego aktu i spiesznie o tem nowego klienta swego zawiadomił. Chwałkiewicz pospieszył do Pawłowéj, ofiarował swoją rękę i majątek, zrobił intercyzę, zawarował na przypadek zawodu zobopólnego wynagrodzenie pieniężne i cichaczem, wyniósł się do Brzezinki, nie obiecując zjechać do Krakowa aż po skończeniu żałoby i nie mówiąc ni słowa Onufremu i Anieli, którą zostawił jak to mówią na koszu.

Nazajutrz kiedy Onufry szedł do bióra, zastąpiła mu drogę Szmulowa, pytając:

— Czy jegomość niema rubli obrączkowych?

Onufry skoczył jak oparzony, lecz upamiętawszy się zaraz, odrzekł obojętnie.

— Niemam.

— I nie będzie ich więcéj. Jegomość mię nie usłuchał, kiedym dobrze radziła, a teraz już zapóźno. I pieniądze Zosine stracone, i Chwałkiewicz żeni się z Grucową.

— Co ty gadasz stara żydowico?

— Ny, co ja gadam, niech się jegomość zapyta Chłapczyńskiego.

— O co?

— Że Chwałkiewicz żeni sią z Grucową a nie z panną Anielą. Oto niech jegomość patrzy, Chwałkiewicz wchodzi *pod beczkę* jak dawniéj kiedy żył Gruca.

Onufremu zdawało się, że marzy. Szedł do bióra nie wiedząc jak zaszedł, pisał nie wiedząc co pisze, narobił pomyłek w referacie, cytował mylnie przepisy senackie, pomieszał akta dwóch odrębnych przedmiotów i zyskał naganę od senatora, a śmiech od kolegów, którzy już wiedzieli, że pieniądze o które się procesował i które wygrał, teraz tak puścił bez niczego. Posądzano go wyraźnie o bzika.

Wróciwszy do domu przekonał się, że słowa Szmulowéj były prawdziwe. Zosia w tryumfie opowiadała pani Konieckiéj, że matka jéj idzie za mąż za dzierżawcę, że ona wyjeżdża zaraz na wieś i zajmie się urządzeniem dworu tak jak widziała u rodziców jednéj z pensyonarek, z którą była pewnego razu na wsi na Zielone Świątki.

— W Brzezince moja pani Koniecka to nie tak jak w Krakowie. Tam mię inaczéj uszanują. Żal mi tylko panny Anieli, która z pewnością liczyła na pana Chwałkiewicza. Ale ja mu się nie dziwię. Trudno bo to było zająć się nią, kiedy ona tak mało zna świata. A pan Chwałkiewicz to człowiek bardzo rozsądny.

— Moja Zosiu, pamiętaj żebyś i ty u Chwałkiewicza nie zeszła na dziewkę do bydła. Co się zaś tyczy Anieli, mocno się cieszę, że tym sposobem uczyni rozbrat z tym człowiekiem, do którego serce jéj nie lgnęło. Nie prawdaż Anielo?

— Żal mi tylko — rzekła Aniela z westchnieniem — tych ślicznych krówek moich i tych pastwisk w Brzezince, na które się tak cieszyłam. Panno Zofio, pamiętaj o siwuli!

— A pfe! a gdzieżby ja się zajmowała takiemi rzeczami! A od czegóż ludzie? Ja sobie już ułożyłam co robić będę. Mama mi kupi fortepian, będę grać, książki francuzkie czytać i po parku się przechadzać w piękny wieczór przy księżycu, a potem dumać w grocie, lub spoczywać nad sadzawką. Piękny też tam jest park w Brzezince panno Anielo?

— Co to park?

— No taki park, gdzie drzewa; ja przyznaję się, że jeszcze parku nie widziałam, lecz czytałam we francuzkich książkach, że taki park musi być zawsze około zamku.

— O, drzew jest tam dosyć i parkany są, i lasek brzozowy i sad, i wierzby u grobli. Stawu bo tam niema, lecz trzęsawica tylko gdzie chodzą kaczki. Ale panno Zofio, żeby nie pasać tam bydła na moczarach, bo to bardzo szkodliwe.

Zosia widząc, że się zbliża czas powrotu Onufrego z bióra, wyniosła się mając pełną głowę projektów urządzenia w Brzezince dworu, i po drodze przypominała sobie, wszystkie opisy pięknych zamków jakie czytała. Tak postępując machinalnie ku mieszkaniu matki swojéj nie spostrzegła się aż się zetknęła z dwoma pannami idącemi na pensyę.

La princesse du tonneau — rzekła z nich jedna.

— Moja panno Adelo, bądź łaskawa odwiedzić mię na wakacye w Brzezince, przyślę po ciebie konie jeśli zechcesz, bo mieszkać będę u siebie na wsi. *Au révoir ma chère, vous me fairez plaisir de passer la saison chez moi à la campagne.*

Impertinente! — zawołała panna Adela i pociągnęła swoją towarzyszkę spiesznie za sobą.

Zosia przybywszy do matki zastała liczne towarzystwo. Były to te same przyjaciołki, które na pogrzebie odgrywały rolę płaczek, a teraz ze zmianą okoli-

czności przybywały z powinszowaniami. Zosi nie w smak było to towarzystwo a i kumoski również z podziwieniem na nią spoglądały.

— Jakże też to wyrosło i wyładniało moja Walenta! ady ja to pamiętam, to niedawno jeszcze biegało boso przed domem.

— A edukowana nieprawdaż? chodzi do Madam. Cóż pani Pawłowa myśli z nią? pewnie na guwernantkę.

— Na co Bóg da moja kumo, jeszcze czas między ludzi; może też nie będzie tego potrzeba. Zresztą naradziemy się.

— Z mężem?

— Tak, niby....

— Powiedzcież mi moja pani Pawłowa, zkąd to tak nagle poszło?

— Ej co tam o tem gadać! albożto pewna?

— Pewna czy niepewna — zawołała Szczepanowa — to nie o to rzecz idzie; boć to i od ołtarza a rozchodzą się. Więc pewnego nigdy nie ma póki się nie stanie. Ale kiedy kumosce o to idzie żeby wiedzieć zkąd do tego przyszło, to ja powiem.

— Chłapczyński po śmierci Grucy przeprosił się z nami. Już to on źle z nim był w ostatnich czasach, a to dla tego, jak mi mówił Chłapczyński, że mu radził pogodzić się z żoną. Nieboszczyk, Panie świeć nad duszą jego! był prędki a uparty. Jak mu było powiedzieć biało, to on czarno, a jak czarno to on biało. Chłapczyński wiedząc to do niego, podbudzał go przeciwko żonie, bo kiedy go namawiał do dobrego obchodzenia się, to właśnie najgorzéj wypadało. Kasia oczywiście nie dorozumiewała się tego, ani ja też, więc obieśmy go nie cierpiały. Otóż... ale na czemże ja to stanęłam? Aha, już wiem. Otóż..., ale nie to chciałam powiedzieć... Jakeśmy się z Chłapczyńskim pogodziły, takeśmy się naradzali, co daléj robić, a tymczasem przy-

jechał tu pewien szlachcic z Królestwa, i że mu było potrzeba dłużéj zabawić, więc mu zbrakło pieniędzy. Chłapczyński przyprowadził go do nas, żeby mu pożyczyć. Szlachcic wdowiec, Kasia wdowa, podobała mu się i nie mogła mu odmówić przez wzgląd na Zosię. Dziewczyna w szynku niczego się dobrego nie nauczy, pensyę już ukończyła, mówi nawet po francuzku, a mnie téż żal żeby się dziecko po cudzych kątach tyrało, mając swój grosz. Z dworu to łatwiéj ją i wydać za mąż, i może się trafić jaki bogaty człowiek. Alboż to moja pani kumo i nad nami nie prawdziwe szczęście? Czy to człowiek się za młodu spodziewał, że będzie miał swój kawałek chleba na starość? Ale się dosyć przeszło i z moim i z zięciem.

— Co było a nie jest nie pisze się w rejestr.

— Ja też to mówię zawsze Kasi, bo ona głupia żałuje jeszcze Pawła, jakby się nie dosyć bicia nabrała. A i to dziecko! pójdźno tu sama Zosiu!

Zosia siedziała zdala od towarzystwa i z wlepionemi w książkę oczyma słuchała ciekawie opowiadania babki.

— Nie słyszy, tak się zaczytała! Co to za szczególna pasya u téj dziewczyny do nauk!

Pawłowa przez cały ciąg opowiadania matki siedziała milcząca, lecz czując że się jéj łzy do oczu cisną, powstała i wyszła do sieni, wstydząc się płakać po stracie męża, którego niekochała, i po którym wdowią żałobę tak długo tylko nosić miała, jak tego wymaga przepis prawa. A przecież płakała.

Był to płacz po stracie zmarnowanéj młodości. Żal jéj było tego życia pełnego uciech i swobody jakiego zaznała będąc we dworze; żal jéj było tych lat strawionych bez radości pod żelazną ręką męża, który wprzągł ją do pracy jak bydlę do deptaka, co choćby chciało ustać, to niemoże, bo mu krążec z pod nóg się usuwa; żal jéj było wreszcie téj wdowiéj szaty, którą

oszołomiona namową matki, prośbami córki i złudzeniami przyszłości, zrzucić miała tak wcześnie i po raz drugi iść za mąż, za człowieka, którego ledwie widziała, który niemógł od niéj żądać niczego prócz posagu. Dziś męża niema a jest niewolnicą we własnym domu i żeby się swobodnie wypłakać, cichaczem do sieni i na podwórze wynosić się musi, a cóż będzie potem?

Wróciła do izby z mocnem postanowieniem zerwania układów, choćby miała to przypłacić częścią majątku, lecz zamiar ten postanowiła ukrywać, a wykonanie jego zostawić stósownej chwili.

Tymczasem nadszedł ś. Jan a z nim i pora objęcia dzierżawy Brzezinki przez Chwałkiewicza. Doniósł on o tem Chłapczyńskiemu a zarazem radził co zrobić, bo bez gospodyni ani myśleć, i nie ma nikogo coby mu Anielę zastąpił.

Chłapczyński niczego się bardziéj nie obawiał, jak aby klient jego nie zechciał wrócić się do Anieli. Przepadłoby wtedy honorarium i urwałaby się sposobność dokuczenia Onufremu, do którego oprócz dawnéj niechęci przyczyniła się nowa, kiedy go tenże zdybał na wyprowadzaniu wódki w dzień śmierci Grucy. Po długim namyśle postanowił śmiały krok uczynić i sprowadzić Chwałkiewiczowi na tymczasem Szczepanową, któréj nie było obce gospodarstwo. Zeby zaś mocniéj utrwalić ten węzeł i zastaw niejako dać Chwałkiewiczowi w rękę, zamierzył dodać Szczepanowéj Zosię. Miał on przytem i ten jeszcze plan, że postępowanie spadkowe było na ukończeniu, to sobie Gruczyńska bez niego nie poradzi mimo opieki Onufrego. Będzie się więc musiała w niejednem na niego spuścić, a może nawet nastręczy się sposobność dodać jéj w szynku wcześnie Jakóbową do pomocy.

W tym celu postanowił Chłapczyński działać przez Zosię, poznawszy po niéj, że się jej przykrzy takie ży-

cie, i że radaby wyrwać się z domu, tylko niewie gdzie. Z Zosią sprawa była łatwa, a przez nią i ze Szczepanową, która za niczem tak niewzdychała, jak żeby choć raz w życiu wrócić na wieś. Wspomnienia dawnéj karczmarki zawsze żywo w niéj się odzywały, i zdawało jéj się, że jest jeszcze tak rześką jak kiedy mieszkała w Mazowieckiem.

Najtrudniéj — myślał sobie Chłapczyński — przyjdzie namówić Pawłową, dla tego niepomału się zdziwił, kiedy ta za pierwszem napomknięciem przystała na wyjazd matki. Pawłowa rada była w téj chwili, że znajdzie sposobność być samą, że będzie mogła rozpatrzeć się w swojem położeniu, bo zaczynała już żałować iż dała słowo Chwałkiewiczowi z takim pośpiechem, jak to uczyniła była idąc za Grucę. Z Zosią trudniéj jéj się było rozstać, lecz i na wyjazd jéj przyzwolić wreszcie musiała, bo nietylko że Szczepanowa nie chciała się bez niéj ruszyć, ale i Zosia naparła się wyjechać, a umiała już ona postawić na swojem.

Chłapczyński postanowił sam odwieźć obie do Brzezinki, aby i Chwałkiewiczowi usprawiedliwić się z tego kroku i cudzym kosztem zwiedzić Kielce, gdzie niejedna sprawa sądowa w styczności z Krakowem zostawała.

Pawłowa zostawiona saméj sobie, przez cały dzień i wieczór nieustannie krzątać się musiała w szynku, ale kiedy godzina 10ta wybiła i patrol policyjny resztę uporczywych pijaków wyprowadził za drzwi, znalazła się sama, pierwszy raz w życiu sama. Służąca jedyna téj samotności towarzyszka weszła na stryszek po owéj drabince, po któréj przed kilku laty Zosia do swojéj sypialni wbiegała. Teraz dopiero znalazła Pawłowa chwilę, gdzie mogła bez przeszkody zastanowić się nad położeniem swojem: nie było męża przed którym co wieczór składać musiała rachunek z całego dnia nie-

tylko z pieniędzy, ale ze wszystkiego co się w szynku zdarzyło; niebyło matki, która po śmierci Grucy odzyskała całą gadatliwość, i kończyła wieczorem wszystkie w ciągu dnia przerwane opowiadania. Ciało znużone całodziennem utrudzeniem dopominało się spoczynku, więc Pawłowa zapaliwszy kaganek nocny układła się zamierzając w łóżku oddać się myślom. Przebiegła całą swoją przeszłość aż do ostatnich czasów, lecz kiedy nadeszła koléj na śmierć męża, ogarnęła samotną kobietę jakaś nieprzezwyciężona lękliwość; przypominała sobie że w téj saméj izbie o krok od jej łóżka leżał na inném łóżku trup rozciągnięty, a w tem miejscu gdzie stoi stół na środku z kagankiem, stała trumna. Czerwonawy płomień oleju połyskiwał mdłem światłem, które zamiast rozegnać ciemność, o tyle ją tylko rozwidniło, iż wszystkie przedmioty znajdujące się w izbie nabyły nieoznaczonych zarysów, dozwalających wyobraźni rozmaitemi oblekać je kształtami, stósownie do tego ku czemu myśl się skierowała. Pawłowa usłyszała skrzypnięcie drzwi, zacisnęła więc głowę w poduszki, a pomimo dusznego, wyziewami wódczanemi i kopciem lampy nasyconego powietrza, zimno przebiegło ją po kościach. Chciała wołać na sługę, lecz głos zastygł jéj w piersiach, chciała przetrzeć oczy żeby lepiéj rozeznać co się koło niéj dzieje i przekonać się że nie śpi, lecz ręka jakby spętana, ani sposób dźwignąć ją do góry. Nagle płomyk lampki zatrzeszczał, zrobiło się prawie zupełnie ciemno, a potem znów nagle rozwidniło się w izbie i Pawłowa z wielkiem przerażeniem swojem ujrzała postać zmarłego męża. Zimny pot oblał jéj czoło, dreszcz przebiegł po ciele, a serce bić poczęło gwałtownie. Przymknęła oczy, lecz słyszała przytłumiony brzęk pieniędzy liczonych na stole i szeptanie przy ich liczeniu zupełnie tak jak to zwykł czynić Gruca kiedy się wszyscy układli. Za chwilę pieniądze zsypały się zwolna do trzosa i

znów zrobiła się cichość. Ośmielona tą ciszą, zaczęła wmawiać w siebie odwagę, a wreszcie podniosła oczy, lecz w téj chwili ujrzała tę samą postać nachyloną nad sobą z tym samym złośliwym uśmiechem, jaki zawsze na ustach Grucy był widoczny, ile razy miał jéj jakąś przykrość wyrządzić. Krzyknęła, ale głosem tak głuchym, że nawet służąca usłyszeć go niemogła, bo sił jéj niestało do dobycia z piersi krzyku, zamknęła oczy i już niewiedziała co się z nią daléj stało.

Nie długo wszakże potem zbudził ją brzęk jakiś w szynkowni, zerwała się z łóżka, a i służąca która brzęk ten usłyszała zbiegła na dół. Pierwszy brzask dzienny przedzierał się przez kratę okna, a od ulicy dmuchnął nagle świeży powiew wiatru. Drzwi prowadzące z izby do szynku stały otworem, a drzwi z szynku na ulicę również były uchylone.

— To złodzieje! — zawołała służąca — drzwi od wewnątrz odryglowane.

Pawłowa drżała jak liść osiki i nie śmiała przestąpić progu izby, lecz kiedy służąca rzekła: „to złodzieje!“ uspokoiła się znacznie.

— Mówisz że złodzieje? chwała Bogu!

— Jakto pani? alboż mogło być co gorszego?

— Ach, to był zapewne sen! — rzekła Grucowa jakby mówiąc do siebie.

Obie weszły do szynkowni, a pierwsza rzecz która uwagę ich zwróciła na siebie, był rozbity gąsiorek z wódką leżący na ziemi w tem samem miejscu gdzie przed kilku miesiącami wypadł był gąsiorek z rąk Grucy. Służąca się schyliła i podniosła szyjkę butli pokazując ją Grucowéj. Na szyjce przylepiona była karteczka z napisem „Goldwasser“.

— To on! — wymówiła cicho wdowa. — O, to okropne! ja myślałam że to sen tylko!

— Nie, to chyba nie złodzieje — rzekła służąca która przez ten czas przejrzała wszystkie kąty — Wszystko na swojem miejscu, nic nietknięte. Ja myślę, że wczoraj wieczór musiał jaki pijany człowiek zostać się w szynku, i zamknęliśmy go. Jak się obudził, to szukał którędy wyjść, i dla tego otworzył drzwi do izby paninéj, a potem wyszedł sklepem i albo się chciał napić tylko, albo też brał ze sobą flaszkę wódki i rozbił ją niebędąc całkiem trzeźwy.

Pawłowa niesłyszała rozumowania bardzo zresztą prawdopodobnego swojéj służącéj, bo umysł jéj zajęty był widzeniem nocnem. Przypominała sobie każdy ruch téj postaci, która się jéj dzisiejszéj nocy ukazała, a rozbita butla z wódką, utwierdziła ją w tem przekonaniu.

— Zostań tu Magdusiu, ja się zbiorę i dam na Mszę świętą za pokój jego duszy. Czy ty wiesz Magdusiu kto to rozbił butlę i drzwi pootwierał?.... to mój mąż nieboszczyk!....

— E, co też to jejmość gada! skądżeby znowu?.... już to prawda, że to bywa niekiedy, że straszy w jakim domu, alem nigdy niesłyszała żeby rozbijało flaszki z wódką.

— Ja ci powtarzam, że to on był.... Widziałam go widziałam go na żywe oczy i myślałam że już po mnie.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołała służąca z przerażeniem.

Zaledwie Pawłowa wyszła do kościoła, zaczęły się schodzić do szynku kucharki idące do miasta i murarze do fabryki. Magdalena opowiadała każdemu co się stało dziś w nocy, pokazywała kawałki szkła z potłuczonéj flaszki, a faryniarka która przyniosła gęsinę na sprzedaż zapytała Magdaleny, czy pozostanie nadal w służbie w domu gdzie straszy.

— Za nic w świecie! — odpowiedziała służąca.

Szczególna to natura ludzka! Magdalena porzuciła własne swoje przekonanie tak zgodne z rzeczywistością a poszła za zdaniem Pawłowéj dla tego tylko, że tłumaczenie nocnych odwiedzin przez tę ostatnią, znamionowane było nadzwyczajnością.

Grucowa ledwie do wieczora zdołała przytrzymać w domu służącą; sama jedna lękała się również, potrzeba jéj było koniecznie jakiejś rady, więc się po nią udała do Onufrego.

Pani Koniecka nie wpuściła jéj do izby mężowskiéj bo Onufry ciężką złożony był chorobą. Walczył on długo z przeciwnościami, aż wreszcie praca i zmartwienie tajone przed żoną i przed światem powaliły go na łóżko. Procesa w które mimowolnie się wplątał, opieki familijne, powrót niespodziewany Anieli i porzucenie jéj przez Chwałkiewicza zaraz po oświadczeniu się i przyjęciu takowego, a wreszcie bieda starych Kozińskich w znacznéj części na jego kieszeń zredukowanych, bo ksiądz Jan nie mógł tyle co się spodziewał rodzicom dosyłać, wszystko to razem wzięte musiało zachwiać zdrowiem jego, długą i mozolną pracą styranem. A do tego żadnéj zniskąd nadziei, żadnego widoku! Młodszym będąc sądził, że na téj ziemi pracą dokupi się wszystkiego, a kiedy siły stargał na pracy, dopiero się przekonał, że sama praca ledwie wystarczy na zaspokojenie dzisiejszego głodu. Niepokojony przyszłością żałował niekiedy, że pieniędzy Stanisława nie obrócił na swoją i swojéj siostry korzyść; lękając się przeto aby ta myśl nie wzięła z czasem góry, pochwycił chętnie pierwszą sposobność jaka mu się nadarzyła, aby je na własność Zosi przepisać, usprawiedliwiając się sam przed sobą, że to nie z własnego czyni popędu. Zapóźno spostrzegł, że aktem tym zniweczył prawie to wszystko co dotąd dla dobra Zosi uczynił, że sporządzenie takiego aktu było dowodem słabości charakteru, świadectwem mało-

ści duszy samemu sobie wydanem, że wreszcie pieniądze te oddał na pastwę chciwości Chwałkiewicza, bo one to wydały w ręce tego człowieka i wdowę któréj był opiekunem i córkę. Przyłączyła się do tego troska o przyszłość Anieli, nieunikniona konieczność nowego procesu z Chwałkiewiczem o rachunki z opieki siostry i zwrot jéj posagu, bo nie miał nadziei odzyskania go dobrowolnie. Tyle utrapień naraz musiało go o chorobę przyprawić. Dzień w którym Pawłowa rady jego zasięgnąć przyszła był dniem bardzo dla chorego niebezpiecznym.

Pani Koniecka zgadywała przyczynę choroby, a reszty dopełniła sobie z tego co mąż jéj wśród gorączki wypowiedział, a lubo słowa te były przerywane, dał się z nich jednak ułożyć cały szereg utrapień jakie go dręczyły. Nie taiła więc przed Pawłową przyczyn choroby męża, a opowiadaniem swem mocne sprawiła wrażenie na umyśle wdowy rozdrażnionym już wypadkami dzisiejszéj nocy. Pawłowa pożegnawszy więc ze łzami strapioną wróciła do domu nie wiedząc co począć sobie. Zastała pełny szynk ciekawych, którzy się schodzili oglądać plamę na podłodze gdzie była wódka rozlana i okruchy szkła ze stłuczonéj flaszki. Wyniosła się czemprędzéj z domu nagabywana przez chciwych nowości, i własny dom stał się jéj w téj chwili nieznośnym. Byłaby chętnie ukryła się przed oczami ludzkiemi śledzącemi każdy jéj ruch, pytającemi o przyczynę płaczu, którego ślady były widoczne. W tem strapieniu pobiegła do starych Kozińskich błagając ich jak o łaskę, aby objęli jéj gospodarstwo, jeżeli niechcą aby je pierwszemu lepszemu oddała. Koziński niedał się długo prosić. Brak zarobku wielce go martwił, zwłaszcza czując że jest ciężarem zięciowi. Kilkoletnia bieda przywaliła go brzemieniem swem, lecz sama myśl, iż będzie mógł za-

rabiać na siebie, nowych mu sił dodała i wyprostowała zgarbione plecy.

— Za szynkarza? dobrze? — zawołał.

— A pamiętasz — zapytała go żona — iż chciałeś osiąść przy Grucy i oddać mu warsztat; a teraz wolisz służbę niż chleb u dzieci, chociaż ci tego chleba nie żałują i ostatkiem dzielą się z tobą?

— Ależ nie o służbę tu idzie moja pani Ignacowa. Jabym wam chciała oddać całe gospodarstwo na spłatę.

— Na spłatę? a kiedy my biedni i niemamy czem zapłacić.

— Nie troszczcie się o to, będziecie mię spłacać ratami jak się da. Ja nigdy już szynku trzymać nie będę. Osiądę z matką na gruncie co go mam za miastem, a z niego i z tego co od was mieć będę, wystarczy dla nas obojga do śmierci. Zosia dzięki Bogu ma edukacyą i posag, to się o nią nie boję.

Tegoż jeszcze dnia Kozińscy objęli szynk na siebie, a Pawłowa pozostała u nich czekając przyjazdu matki i córki, do których list na ręce Zosi napisała. Kiedy w kilka dni potem Chwałkiewicz wrócił do Krakowa, nie mógł dorazu pojąć co się stało. Przedstawienia jego na nic się nie przydały, bo Grucowa była na nie głuchą, Koziński zbywał go niczem, a z Onufrym widzieć się nie mógł, bo go niewpuszczono. Długi też czas Onufry nie wiedział o téj zmianie, taiły ją przed nim żona i Aniela, a obie trzymały go w takiéj kurateli, że nikt obcy przystępu do niego mieć niemógł.

— Tyś się musiała Marysiu bardzo zadłużyć przez moją chorobę? — rzekł rekonwalescent do żony.

— Kilka złotych tylko winnam i to rodzicom.

— A oni zkąd mają?

— Ojciec znalazł robotę i ma odbycie.

— Dzięki Bogu!

VIII.

W taki sam piękny dzień niedzielny, jak przed kilku laty, zbliżał się Maciéj do Brzezinki. Niebył to już wszakże ani ów zwinny terminator Maciek, ani nawet ów nieokrzesany a dobroduszny czeladnik Kozińskiego, z którego ruchów dorazu poznać było jego zatrudnienie. Dzisiejszy Maciéj był tem względem dawnego, czém wyćwiczony żołnierz w porównaniu z rekrutem. Każdy ruch jego dziś taki pewny, każdy krok dosadni, suknia nawet jakoś inaczéj na nim leży. To też pomiędzy dzisiejszym a dawnym Maciejem leżała nie tylko przestrzeń lat kilku, ale cała zarazem szkoła wielkiego miasta. Surowy i szorstki wyraz twarzy jego zmiękł jakoś i złagodniał, czoło wyszlachetniało, usta nabrały pewnego wdzięku, ruchy ciała stały się okrąglejszemi, a lubo nie była to jeszcze mina panicza, wszelako mniéj znający towarzystwo mógł go był wziąść za takiego, zwłaszcza jeżeliby się ich obu obok siebie nie postawiło.

W Kielcach dowiedziawszy się Maciéj że ksiądz Koziński zawsze jeszcze wikarym w Brzezince, niemógł przenieść na sobie, żeby go nieodwiedzić. Zostawiwszy więc swój tłomoczek podróżny, ogarnął się w niedzielę z rana porządnie, a ubrany na pół świątecznie na pół po podróżnemu stanął w Brzezince i udał się wprost do kościoła, gdzie już nabożeństwo było się rozpoczęło.

Główną ławkę przy wielkim ołtarzu zajmował Chwałkiewicz ze Zosią, któréj Maciéj wcale nieznał, a przynajmniéj znał jeszcze małem dzieckiem. Była w kościele i Szczepanowa i Chłapczyński lubo w innéj ławce. Maciéj niezmiernie się zdziwił, że w téj wiosce tyle znajomych, a przynajmniéj znanych sobie znalazł osób; lecz głównie zajmowała go Zosia. I jéj uwagi nie uszło pojawienie się w kościele jakiegoś nieznajomego i dostrze-

gła, że oczy jego głównie na nią zwrócone. Ciekawa była dowiedzieć się ktoby to był. Mając głowę nabitą książkami, z których świat i społeczność poznać się starała, pozbawiona sposobności poznania go na praktycznéj drodze życia, a przez to samo nie umiejąc pomiędzy książkami samemi czynić wyboru, brała je na oślep lub też w miarę jak drażniły imaginacyę. Nie dziw więc, że w nadzwyczajnościach się lubowała, zwłaszcza kiedy życie jéj dziwnie niemi było przeplatane. Najprostsze przeto zdarzenie przybierało w jéj oczach jakąś niesłychaną ważność, bo się jéj zdawało, iż z każdego może się jakiś ważny wpływ na jéj życie wysnuć. Ukazanie się obcego dla niéj Macieja w kościele musiało zdaniem jéj mieć styczność z jéj losem, a wyobraźnia niedozwalała jéj przypuszczać, aby to się zwykłym przypadkiem zdarzyć mogło, lecz jakieś nadzwyczajne okoliczności winny były towarzyszyć wszystkiemu co z życiem jéj ma styczność. Niczego bardziéj nielękała się jak powszedności, jak owego spokojnego trybu jakim idzie żywot większéj części ludzi.

W marzeniach swoich dwie ostateczności przewidywała dla siebie: albo nowoczesnego Rinaldiniego, albo też wielkiego pana, który u nóg jéj złoży tytuły i majątek. Była pewną, że nieznajomy ten umyślnie przybył żeby ją widzieć, dziwiła się tylko że czynił to tak jawnie. Z pozoru nie wyglądał on wprawdzie na zbójcę, który jak wiadomo powinien być udrapowany w płaszcz, z piórem u kapelusza i sztyletem za pasem; podobniejszym zaś był do pana, bo miał odzież świeżą i modną, nie zupełnie zgodnie z przysłowiem, które mówi, że szewc bez butów chodzi.

Po nabożeństwie udał się Maciéj do księdza, który niezmiernie się ucieszył ujrzawszy go i nie tylko na obiad zatrzymał, ale posłał po tłomoczek do Kielc chcąc gościa swego parę dni u siebie przytrzymać. Na opo-

wiadaniu o sobie zeszło im szybko, a ksiądz słuchał z ciekawością jak mu Maciéj roztaczał dziwy miast wielkich które widział. Pytany ciągle niemiał sam wiele czasu do zadawania pytań, a dowiedziawszy się tylko że wszyscy znajomi w Krakowie zdrowi, poprzestał na tem na dziś, nie chcąc odrazu zaczepiać gospodarza swego o Zosię. Gdyby mu widok Zosi był obojętnym, byłby się niewachał zaspokoić swojéj ciekawości, ale mu się wydawało, iżby z ócz mu wyczytać można, że go dziewczyna nieznajoma obchodzi, gdyby tylko pierwsze słowo o niéj z ust wypuścił. Na zapytanie o Szczepanową i Chwałkiewicza odrzekl ksiądz sucho, że pierwsza prowadzi u dzierżawcy gospodarstwo, a drugi niekiedy tu przyjeżdża.

— Ale daj mi tam pokój z temi ludźmi — odrzekł wikary — ani jako ksiądz, ani jako człowiek niemam najmniejszéj styczności ze dworem; gadaj mi raczéj o sobie.

Po tych słowach ani sposób dowiedzieć się było cokolwiek o nieznajoméj piękności.

Po nieszporach wypadło księdzu jechać do drugiéj wsi do chorego, pożegnał więc Macieja obiecując wrócić późno wieczorem. Maciéj zostawiony sam sobie przeszedł wieś, a potem go znęcił lasek brzozowy, gdzie płynęła ta sama struga wody, przez którą niegdyś Maciéj przeprawił się wstępując pierwszy raz do Brzezinki. Przedarłszy się więc wikliną wzdłuż strumienia wszedł do lasku, szukając najdogodniejszego miejsca, gdzieby usiąść i podumać troszkę, a może i zdrzymać się, bo Maciéj nie był z rodzaju tych ludzi poetycznych, którzy nad strumykiem marzą szmeru jego tylko słuchając.

Zosia która w gaju tym miewała swoje najcichsze ustronie, gdzie czytywała książki, dostrzegłszy zbliżającego się Macieja wprzód zanim on ją mógł ujrzeć, jak spłoszona sarna sunęła w bok, nie tak jednak ci-

cho aby Maciéj nie zwrócił uwagi w stronę gdzie gałęzie zaszeleściały. Uciekając zostawiła książkę na murawie, Maciéj nie śmiał jéj ścigać, podniósł książkę i zaczął ją przeglądać, nie wiedząc co robić. Zawsze jednak przypadek ten był mu na rękę, bo mu dał sposobność prędzéj czy późniéj mówić z piękną nieznajomą. Zosia przypomniała sobie o zgubie i wróciła po nią. Rozmowa stała się nieuchronną.

— Ach to moja książka!

— Szczęśliwy jestem, że ja pierwszy znalazłem zgubę.

— O, niebyłaby tu ona zginęła, tu do tego lasku nikt prócz mnie niechodzi.

— Mogłoby to być dawniéj, lecz od dziś jak pani widzisz, lasek ten przestał być niedostępnym. Chyba że pani każesz....

— A w takim razie?

— Przyznaję, że rozkaz ten byłby dla mnie bardzo surowym.

— Nie jestem tak okrutna, abym miała pana pozbawiać jedynego miejsca przyjemnego we wsi. A nadto niemam do tego żadnego prawa, będąc tu tylko w gościnie.

— Bardzo wdzięczny pani jestem, że mię ośmielasz korzystać z tego ustronia, wszelako wymawiam sobie, że przechadzka moja nie przerwie odwiedzin jéj w tym lasku.

— Na warunek ten z góry przystać niemogę.

— A to czemu?

— Bobym się musiała obowiązać bywać tu i rano i wieczór, jak to zwykle czynię.

— Więc przynajmniéj do jutra rana.

— Niech i tak będzie.

— Od starań moich teraz zależy, warunek ten codzień ponawiać.

— A przez jak długi czas?

— To znów od pani zależy.

— A prawda, że to ja mam dawać panu pozwolenie bywania w lasku od rana do wieczora i od wieczora do rana.

— Nie tylko w lasku ale i w Brzezince.

— Mogłabym słusznie nie przyjść jutro do lasku, bo pan przekraczasz warunek. Na ten raz panu odpuszczam i żegnam.

— Pani pozwoli....

— Towarzyszyć sobie? nie.

— Pani kończy moje słowa inaczéj niż ja zamierzałem. Pytania tego jakie pani sobie uzupełniłaś, niechciałem tak wcześnie zadawać.

— Żegnam.

To mówiąc pobiegła w stronę przeciwną najbliżéj do dworu wiodącą. Maciéj został i długo jeszcze dumał upojony szczęściem, lecz w obawie, aby to suche pożegnanie nie było dowodem rozgniewania się.

Zosia wyszedłszy z lasku wracała wolnym krokiem do domu. Całe postępowanie nieznajomego utwierdzało ją w domyśle, że ona głównym celem jego pobytu w Brzezince. Myśl ta pochlebiała jéj wielce, zwłaszcza, że spotkanie w lasku było bardzo podobném do tych jakie natrafiała w romansach.

Nazajutrz rano schadzka w lasku powtórzyła się. Rozmowa trzymała się w tym samym co i pierwsza zakresie i kończyła się pożegnaniem tak zimném ze strony Zosi jak przeszłego wieczora, co Macieja tém mocniéj drażniło. Przez cały dzień był bardzo zamyślony, tak iż ksiądz nawet zwrócił uwagę na to, lecz Maciéj tłumaczył się znużeniem z wędrówki, które nie zaraz czuć się zwykło. Zostawiony sam sobie zaczął się rozpatrywać w swojém położeniu i postanowił jak tylko można najrychléj wyjść z niepewności.

— Jeżeli ona jest bogatą szlachcianką, na cóż wszystkie moje plany i zabiegi? — mówił do siebie — Czyż zechce ona ze swoim majątkiem i edukacyą podzielić los rzemieślnika, nie mającego nic prócz dziesięciu palcy? Dla czegóż rzemiosło w takiém jeszcze poniżeniu?... Lepiéj wcześnie jak zapóżno powiedzieć jéj, że ja krawczyk, sierota znaleziony pod płotem i wzięty przez litość na wychowanie od wieśniaka.... tak, powiem jéj to wszystko i już więcéj nie pokażę się w Brzezince. Rzucę się w świat napowrót, może łatwiéj o niéj zapomnę.... A jeśliby, pomimo wyjawienia jéj mego stanu, nie odepchnęła mię od siebie? nie, to być nie może!... ja sam nie powinienem na to pozwolić. Ona pomiędzy czeladzią i chłopcami, może jak stara Kozińska przy kuchni gotując jadło dla ludzi, albo jak żona czeladnika pomagać mężowi w szyciu! Czemuż nie jestem panem! Złożyłbym jéj u nóg cały mój majątek. A jeżeli się ja łudzę tylko, jeżeli ona ze mną rozmawia tak jakby rozmawiała z każdym kogo spotka?.... Obojętność jéj byłaby okropniejszą niż gdyby mię przez wzgląd na nierówność stanów odepchnęła. Pójdę do lasku, los mój dzisiaj się rozstrzygnąć musi.

I poszedł. Siedział do zmroku, siedział do ciemnéj nocy, Zosia nie przyszła.

Wikary bardzo się z początku dziwił, że Maciéj przybywszy do niego w gościnę ucieka od jego towarzystwa wtedy właśnie, kiedy najwięcéj mogliby ze sobą pogadać. Potém zaczął się nawet niepokoić, czy mu się co złego nie przytrafiło i niecierpliwie przybycia jego oczekiwał. Maciéj powiedział mu, że wyszedłszy w pole na przechadzkę usnął pod krzakiem, a wikary przestał go daléj badać.

Maciéj przepędził noc bezsenną, pierwszą w swojém życiu noc taką. Zdarzało mu się nieraz i dawniéj nie zmrużyć oka przez noc całą ślęcząc nad pilną robotą,

ale na posłaniu do białego dnia przeleżeć, przedumać i przeboleć, tego nigdy jeszcze nie doświadczał. Okropne też myśli przesuwały się przez jego głowę, zwątpienie, rozpacz, wszystkie cierpienia zawiedzionéj miłości, a w miarę jak się im oddawał, miłość jego ku Zosi rosła, i czekał tylko niecierpliwie aż nadejdzie godzina wstania, bo gotów był pobiedz do dworu, rzucić się do nóg kochanki, choćby nawet w obec świadków, wyznać jéj swoje uczucia i żądać od niéj, aby wydała wyrok, wyrok szczęścia lub potępienia.

Naprzeciw posłania jego wisiał zegar ścienny, którego pendul klekotał jednostajnym biegiem. Maciéj utkwił oczy w skazówkę, która mu się zdawała iść ociężale, a uchem całém był w sypialni księdza, czekając póki tenże nie da znaku ocknięcia się. Lękał się wstać przed nim, żeby nieobudzić podejrzeń zaledwie uśpionych wieczorem. Lecz w sypialni księdza panowała cichość zupełna. Tak wytężone zmysły znużyły się rychło, i kiedy ksiądz wstawał, już go Maciéj nie słyszał. Zerwał się wreszcie z pościeli, spojrzał w okno, słońce wysoko już było na niebie, wypadł przed dom, odepchnął chłopaka który go na śniadanie chciał przytrzymać i pobiegł do lasku brzozowego. Na ławeczce darniowéj gdzie Zosia siadywała, leżał skrawek papieru załamany. Pochwycił go z chciwością, lecz papier był czysty. Dawniéj na taki skrawek papieru z inném Maciéj spoglądał uczuciem, upatrując na nim ząbków wyciętych na znak miary grubości lub długości, dziś papier ten inne mając przeznaczenie, inne zupełnie miał znaczenie. Załam jego świadczył, iż służył za zakładkę do książki. Czy zguba ta była przypadkowa, czy umyślna? Zarozumiałość kazała mu to ostatnie przypuszczać, a gdyby i tak nie było, to zawsze papierek ten świadczył, iż Zosia dziś rano tu na téj darni siedziała. Przeklinał Maciéj swoją ospałość, lękał się czy mu ta obojętność

nie będzie za złe poczytana i przemyśliwał jakby przeprosić obrażoną. Papierek ten schował jako pierwszy upominek, pierwszy zadatek wzajemności, i byłby go nieoddał dziś za skarby całego świata. Smutek i radość miotały nim na przemian tak dalece, że przy obiedzie łzy mu stawały w oczach, kiedy go ksiądz rozweselić się starał, a znów śmiał się wśród najpoważniejszéj rozmowy. Wstawszy od stołu wymknął się za wrota probostwa i sunął szybko do lasku, bo mu się zdawało, że słońce musi zajść niezadługo. Zwolnił dopiero kroku kiedy wszedł w wiklinę i postępował zwolna dumając o swojém szczęściu, którego wszakże jak wszyscy kochankowie nie umiał ubrać w szaty rzeczywistości. Gdyby kto się go zapytał w téj chwili, jakie to jest owo szczęście, byłby mu wskazał na ten kawałek papieru i na darniową ławeczkę. Przedzierając się gęstwiną usłyszał jakiś szmer jakby głos ludzki, lecz potém wszystko ucichło, a kiedy zbliżył się do miejsca zwykłych odwiedzin swoich, ujrzał dwoje osób znanych sobie, siedzących na téj saméj darniowéj ławeczce. Byłby je w pierwszém uniesieniu zepchnął z tego siedzenia, którego niegodne były zajmować, lecz się powstrzymał żeby się nie zdradzić i przesunął się obok nich, niby idąc daléj, i nie pozostało mu też nic innego, tylko drugą stroną lasku wyjść na otwarte pole zkąd dwór był widny. Zdawało mu się, że w jedném z okien mignęła sukienka, nieśmiało więc, jak gdyby w dalszym kierunku swéj przechadzki zbliżał się ku dworowi ukosem. Kiedy już był blisko, ukazała się Zosia w oknie otwartém, a Maciéj dobywszy zakładkę papierową przycisnął ją do ust, pierwsze oświadczenie miłosne czyniąc na migi, którym zawsze wolno być śmielszemi niżeli słowom głośnym. Zosia musiała pojąć co to znaczy, bo naprzód pogroziła, a potém położyła palec na ustach jakby nakazując milczenie i wreszcie znikła z okna. Ma-

ciéj upojony wrócił do plebanii i zasiadł do pisania pierwszego w swém życiu listu miłosnego, nie będąc pewnym czy zajdzie potrzeba a wreszcie i możność wręczenia go.

Wśród tego osoby które siedziały w lasku na darni prowadziły daléj zaczętą rozmowę, którą zjawienie się Macieja przerwało.

— Więc to on? — zapytała Szczepanowa kiedy Maciéj znikł już im z oczu.

— Ten sam krawczyk, o którym wam mówiłem — odrzekł Chłapczyński.

— Anibym go poznała. Ale skąd wam przyszło panie adwokacie myśleć, że on tu siedzi dla Zosi?

— Skąd? rzecz bardzo prosta. Miałem Zosię na oku, więcem ich oboje podsłuchał a potém przeszkodziłem Zosi, żeby tu wieczór nie przyszła.

— Dziękuję wam panie adwokacie, że tak czuwacie nad moją wnuczką. Tegoby jeszcze potrzeba, żeby ją z majątkiem i edukacyą wydać za krawca. Nie będzie z niego pewnie nic lepszego tylko drugi Gruca.

— Ale gdzie tam! przeciwnie, ona ani się domyśla że to krawczyk, ja jéj téż nie myślę wyprowadzać z błędu, ale powiem że to jakiś hrabicz, który tu umyślnie przyjechał za nią i ukrywa się pod imieniem Macieja czeladnika krawieckiego, żeby nie dać po sobie podejrzenia.

— Czyście wy oszaleli panie Chłapczyński, żeby tak dziewczynie głowę zawracać, kiedy jéj i tak pańskość na myśli.

— Ba ba! co tam z wami o tém mówić. Jabym tu rychło interes skończył, żeby nie to iż muszę do Krakowa. Jeżdżę tu i tak często, a jak mi nie zapłacicie, to sobie róbcie co chcecie. Człowiek ma sprawy ważne które opuszcza, byle wam dobrze było. Wasza córka zrobiła głupstwo, niechże wnuczka interesa naprawi za

matkę. Żebym ja nie był wtedy Pawłowéj odstąpił, nie byłoby wcale do tego przyszło.

— No, ale cóż chcecie teraz zrobić? Dziewczyna gotowa się w tym Maćku pokochać, i znów będzie jak z Grucową.

— Ja téż chcę żeby się pokochała w nim, lecz nie w krawczyku Maćku, tylko w panu hrabim.

— No to cóż z tego?

— Albo ja się nie znam na ludziach, albo Zosia pokochawszy hrabiego Macieja, kiedy się dowie że to Maciéj prawdziwy, odpędzi go obrażona że ją zwodzi i w żalu i gniewie przestanie na szlachcicu.

— Ależ bo to źle wypaść może.

— No, to Chwałkiewicz naprawi. Tylko mi szyków nie psujcie. Może jeszcze wstrzymam się z wyjazdem, jeżeli mi co dacie dla Jakóbowéj... choćby te korale.

— Zobaczę, zobaczę. Ale nie mogę być z tego mądra, co mi mówicie.

— Tylko mi zostawcie całą sprawę, ja już ją pokieruję; nie takie ja małżeństwa kojarzył!

I rozeszli się oboje. Szczepanowa poszła na folwark, a Chłapczyński do dworu.

— Spotkałem też dawnego znajomego — rzekł do Zosi — Bogaty to panicz, wraca właśnie z podróży. Znałem go jeszcze dzieckiem. Zwierzył mi się ze wszystkiego i prosił o instancyę.

— A do kogo? — zapytała zarumieniona.

— Do kogóżby jeśli nie do panny Zofii?

— Panie Chłapczyński, ja żartów nie lubię.

— Ja też nie żartuję. A że mu życzę dobrze, więc się podjąłem zlecenia, nieważając nawet żem za stary do miłosnych posyłek.

— O, to już tego za nadto!

— Panno Zofio, powinszowałbym ci z całego serca, gdyby to była prawda. Więc kochasz hrabiego Zwoj-

nickiego? bom ci zapomniał powiedzieć że mu na imię hrabia Zwojnicki. No, przyznaj się.

— I cóż panu do tego, że się tak wypytujesz?

— O i bardzo, niechciałbym żeby sobie chłopiec nadaremnie głowę zaprzątał. Wybyście i tak bezemnie się obeszli, ale ja tu długo siedzieć nie mogę, a kto wie, czyby Chwałkiewicz pozwolił na to, aby panicz bywał w domu.

— A czy to pan Chwałkiewicz moim opiekunem? Mnie wolno ztąd odjechać kiedy mi się podoba.

— Zwolna, zwolna. Dokąd i z kim? do matki? Piękne rzeczy żeby taki pan chodził z wizytą do szynkowni. A babka twoja panno Zofio, także nie szczególna w oczach jego opiekunka. Tu na wsi, gdzie mu zupełnie wasze stosunki nie wiadome, gdzie mu się zdaje że jesteś szlachcianką, to jakoś rozwaga nie stawa sercu na przeszkodzie. Łatwiéj potem, kiedy go już będziesz pewna, wyznać mu kto jesteś, a już wtedy ja wezmę na siebie rzecz zwolna przygotować. Pamiętajże panno Zofio, że w oczach jego jesteś daleką krewną dzierżawcy, bogatą dziedziczką.

Nieczekał Chłapczyński odpowiedzi, zostawiwszy Zosię w zdumieniu i poszedł szukać Macieja.

— Jeśli się nie mylę, mam zaszczyt mówić z panem hrabią Zwojnickim? — rzekł do niego.

— Mylisz się pan.

— Najmocniéj przepraszam. Byłem tego tak pewny, iż ujrzawszy pana zdaleka, powiedziałem pannie Zofii, która mię wypytywała o pana, że pan jesteś hrabią Zwojnickim.

— Któż jest ta panna Zofia?

— Daleka krewna tutejszego dzierżawcy, ale to bogaczka całą gębą, zresztą znasz ją pan.

Maciéj spuścił główę smutnie.

— Nie uwierzysz pan jakie na niéj uczyniłeś wrażenie. Biedaczka, w całym domu nie miała się przed kim zwierzyć, i byłaby się i przedemńą nie wydała, lecz że ją prawie zmusiłem do wyjawienia mi uczuć swoich. Opowiadała mi wasze spotkanie w lasku z takim zapałem, żem sobie postanowił zbliżyć was do siebie, choćbyś mi pan poczytać miał ten krok za zuchwalstwo.

— Panie — rzekł Maciéj stłumionym głosem — muszę wywieść i ciebie i pannę Zofię z błędu. Nie jestem tym za kogo mię macie. Ubogi wędrowny rzemieślnik ośmieliłem się rzucić okiem na kwiat, po który mi nigdy ręką sięgnąć nie wolno. Niebaczność tę ciężko mi opłacić przyjdzie. Powiedz pan pannie Zofii, kto ja jestem i proś ją tylko, aby wspomnieniem tych kilku chwil przypadkiem z nią spędzonych nie wzgardziła. Będzie ono dla mnie jedynym skarbem, jaki ztąd uniosę. Zresztą źle czynię, że się tak rozrzewniam w obec pana, który się z takich uczuć naśmiewasz.

— A czy to pan mię znasz?

— Znam dobrze, jesteś Chłapczyński, a ja jestem czeladnik krawiecki Maciéj ....

— Ah, teraz mi dopiero przychodzi na myśl, zkąd ja pana znam, a to u starych Kozińskich. Jakto? to ów Maciek?

— Tak jest Maciek, ten sam Maciek. Więc widzisz pan że Maciek nie może i nie powinien myśleć o pannie Zofii.

— O poczciwa dusza! niechże cię uściskam! Ale poczekajno przyjacielu, to się nie może tak skończyć. Ja się muszę zająć tobą koniecznie. Oto masz moją rękę że Zosia będzie twoją. Dziwnie się na mnie spoglądasz. Ja wiem co ty myślisz o mnie. Ty zawsze sądzisz że Chłapczyński to stary lis, boście mię za takiego okrzyczeli w Krakowie, dla tego żem umiał kręcić na wszystkie strony żeby wyżyć. I cóż w tém dziwnego? —

Żebym był tak jak ty krawcem, tobym się starał robić suknie jak najlepiéj, a że żyłem z procesów, to musiałem tak je prowadzić, aby mi przynosiły zarobek. Ale teraz mogę być uczciwym człowiekiem, bo mam być o czem. Wierzaj mi, że to wielki do uczciwości bodziec, kiedy się widzi, że tyle można zarobić na prostéj drodze co i na krętéj. Komużby się to w takim razie nie chciało iść prostą drogą? Otóż ze mną taki sam zachodzi przypadek, a że i wiek się zbliża, w którym człowiek już nic sobie nie zarobi, przeto czas dawne sprawy porzucić. Ale wróćmy do Zosi. Powiadam ci, że się da wszystko na dobre wykierować, tylko trzeba umieć.

— I na cóż to się zda wszystko? Między mną a nią leży przepaść, któréj nie zapełni miłość.

— Co ty mi gadasz mój chłopcze o przepaści. Tam niema przepaści tylko jest głęboka fosa którą przebyć trudno, ale nie myśl znów, że niepodobna. Oczywiście, że przeskoczyć się nie uda, ale przebrnąć zawsze ją można. Już ja biorę wszystko na siebie; tylko ci jeden stawiam warunek.

— A ten jest?

— Abyś był dla Zosi hrabią Zwojnickim, póki ja ci nie dam znak, byś maskę zdjął.

— Jak to? ja mam pod przybranem nazwiskiem uchodzić za tego kim nie jestem?

— Ba, ba! i cóż w tem złego? a czy ty wiesz czem ty jesteś i czem będziesz?

— Czém? najwyżéj majstrem.

— E, co mi takie rzeczy pleciesz, ja powiadam ci, że się jeszcze wykierujesz na takiego wsiowego pana, iż zje ten licha co cię pozna. Rodowód szlachecki zrobi ci pierwszy lepszy pieczętarz, tylko mnie słuchaj. Jedno słowo twoje może wszystko w niwecz obrócić, trzeba żeby się dziewczyna na prawdę do ciebie przywiązała, żeby cię tak pokochała, iżby żyć bez ciebie

nie mogła, a wtedy i o stan twój pytać nie będzie. Alboż to jedna wielka pani poszła.... za lokaja? Mnie o tem nie gadać. Zresztą Zosia nie ma bliskich krewnych coby jéj przeszkadzali, a we mnie zupełną pokłada ufność. Ja dla jéj własnego szczęścia chcę żeby poszła za ciebie. Tylko mi zostaw wolne ręce i niezdradź się. Ale ale.... byłbym zapomniał małéj bagateli. Wiem, żeś nie bogaty, ale parą dukacikami mógłbyś mi się przysłużyć, będę miał z twojéj przyczyny różne wydatki; no, nie zechcesz przecie żebym ja szkodował.

Tym sposobem Maciéj mimowolnie naprowadzony został do odgrywania roli któréj się nigdy nie uczył i do któréj zresztą najmniejszéj nie miał zdolności. Ale że całe publikum składała Zosia, więc mu uchodziły usterki w grze, nawet najgrubsze. Schadzki w lasku zamieniły się na wizyty w oficynie, gdzie Chłapczyński miał izbę, któréj chętnie użyczał kochankom. Parę dni wystarczyło na to, aby po utorowanéj przez niego drodze miłość tak szybkim posuwała się krokiem, iż bez utrudnienia minęła pierwszą stacyę: oświadczenie. Maciéj był uszczęśliwiony choć goły. Chłapczyński wyssał z niego cały fundusz uciułany pracą, bo zabierał się jak mówił do przygotowań dla niego ślubnych, a pieniędzy tych potrzebował na stęple, metryki itp. Zosia była również uszczęśliwiona, marząc o wielkości i tytułach. Chłapczyński nie zostawił nigdy sam na sam kochanków, czuwając by się które z nich nie wydało czem jest w istocie, i samym nawet wzrokiem utrzymując ich przy roli im naznaczonéj.

Tak rzeczy szły do drugiéj niedzieli. W sobotę jeszcze Chłapczyński powiedział obojgu kochankom, że nazajutrz nie może ich przyjąć u siebie, bo dzierżawca w téj izbie zbiera koło siebie karbowych, leśniczych, stawowych i wszystkich niższego rzędu zawiadowców

majątku. W miejsce tego radził im, że jeżeli mają sobie co do powiedzenia, to niechaj na jego ręce piszą.

Jakżeby się romans obszedł bez listów? Wprawdzie od soboty do niedzieli nic się takiego niezdarzyło, żeby o tem pisać było potrzeba, ale kochankowie znajdą sobie zawsze przedmiot niewyczerpany, bo im się zdaje, że jeszcze nie wypowiedzieli całéj swojéj miłości. Chłapczyński odprowadzając Macieja szepnął mu, żeby w liście co ma napisać natrącił już z lekka że nie jest tem czem się być mieni, obiecując, że go wesprze u Zosi, jeśliby zachodziła tego potrzeba.

Nazajutrz rano list Macieja już był w ręku Chłapczyńskiego. Rozpieczętował go, przeczytał, i wkładając do kieszeni rzekł:

— Czas już skończyć tę komedyę.

I siadłszy do stolika napisał w miejsce schowanego listu, następujący:

„Kochana Zosiu! Czas już skończyć tę komedyę. Nie jestem ja hrabią, tak jak ty nie jesteś dziedziczką. Wracam z wędrówki jako czeladnik krawiecki; a dowiedziawszy się, że ci w głowie pańskość, chciałem pod pokrywką jéj zyskać twoje serce. Kiedy jestem dziś pewny tego, że mię kochasz, więc niemam powodu ukrywać dłużéj stan mój i zamiary moje na przyszłość. Jak się pobierzemy, obejmiem szynk *pod beczką*, gdzie będziem żyć tak szczęśliwie jak twoja matka z ś. p. Grucą, któregom zawsze szanował terminując pod nim, chociaż był trochę surowy. Jeżeli mi nie odmówisz twéj ręki to mi daj znać, a będę prosić o ciebie twéj babki i pana u którego ona służy. Kocham cię bardzo, ale nie mam czasu bałamucić się tutaj, bo trzebaby co zarobić żeby mieć kilka złotych na gospodarstwo.

Wiernie cię kochający
Maciéj.“

Zosia odebrawszy list taki zbladła jak chusta, nogi

się pod nią zachwiały i gdyby nie pomoc Chłapczyńskiego byłaby padła jak długa na ziemię. Gniew, wściekłość, obrażona duma, zawiedzione nadzieje a może i iskierka prawdziwego przywiązania miotały nią na przemian. Uczuła że jest bezsilną, aby taką obelgę ukarać, zakrywszy więc twarz rękami zaczęła płakać. Byłaby wiele dała za to, żeby tych łez nie był widział Chłapczyński, lecz nie była dość panią siebie aby je powstrzymać. Chłapczyński nadaremnie pytał coby jéj było, nieodpowiadała mu słowa, bo usta jéj drżały; chciał jéj list z ręki wysunąć, bo nie lubiał dowodu swojego szalbierstwa w cudzych zostawiać rękach, ale Zosia w ściśniętych dłoniach trzymała papier, a potem zmiąwszy go z wściekłością włożyła w zanadrze. Otarła oczy, wychuchała chustkę i wygrzała na słońcu, a potem przykładała ją do oczu, żeby nie było znać śladu płaczu i weszła do mieszkania dzierżawcy.

— Cóż mi powiesz moja Zosiu? zapytał Chwałkiewicz pieskliwie.

— Chciałam pana prosić, żebyś tego krawczyka co stoi u księdza wikarego, kazał ze wsi wypędzić.

— A to dla czego moja ty księżniczko?

— Obraził mię, śmiał do mnie pisać.

— Co? pisał do ciebie? a to hultaj! jak on to się poznał na twojéj urodzie!

— Jegomość sobie żartuje, a mnie na płacz się zbiera.

— A widzisz moja duszo, to zawsze taki los czeka pannę, że ktoś się o nią starać musi. Więc ci się ten krawczyk nie podoba?

— Jakto? to jegomość chce, żeby ja za krawca poszła?

— Ty wiesz Zosiu za kogobym ja chciał żebyś ty poszła. Ale ja cię nie zmuszam. Namyśl się dobrze. Długo bawić tu nie możesz, bo cię koniecznie chcą do

Krakowa sprowadzić i wydać za mąż za jakiegoś tam Macieja, co dawniéj terminował u Kozińskich, czekają tylko jak on wróci z wędrówki.

Zosia stanęła jak wryta. Zamyśliła się głęboko i wyszła powolnym krokiem z izby.

Przy obiedzie rzekł Chłapczyński do Chwałkiewicza:

— Kiedyż pan wyjeżdżasz do Warszawy?

— Zapytaj się panny Zofii — odpowiedział Chwałkiewicz.

— A skądże ja mam wiedzieć?

— Zostawić cię tu nie mogę bez opieki moja Zosiu, a nużby jaki drugi krawczyk....

Zosia złożyła ręce i spojrzała na niego błagalnie.

— Wziąść także cię nie mogę z sobą, chyba....

— Chyba co? jakbym ja chciała widzieć Warszawę!

— No, to zresztą pojedziemy ale w tydzień po ślubie.

— Niech i tak będzie — rzekła Zosia cichym głosem.

— A widzisz, że to nie tak trudno zdecydować się.

Kiedy obaj mężczyzni zostali sami, rzekł Chłapczyński nalewając sobie wina.

— Ale też sprawa szła djable uporczywie. Napracowałem się dosyć.

— Więc ty powiadasz — rzekł Chwałkiewicz niby nie słysząc przymówki prawnika — że Gruczyńska wstąpiła do klasztoru?

— To jest nie do klasztoru, ale jakby do klasztoru, bo została siostrą Miłosierdzia na Wesołéj. Powiadał mi właśnie wikary, u którego byłem żeby Macieja jak najrychléj wyprawił od siebie, otóż powiadał mi, zwyczajnie zapewne przesadzał, że stary ojciec Kozińskiéj co jest u dziadów na Zamku, tak jéj głowę skotłował, to jest, ksiądz nie gadał o skotłowaniu głowy, bo owszem bardzo to wziął za dobre....

— No już wolę zaczekać, bo jak gadasz a popijasz co słowo, to się nie możesz wygadać.

— I cóż w tem dziwnego, uwaga w dwie strony skierowana. Zdrowie panny młodéj!

— Tylko gadaj żywo.

— Więc stary ojciec Kozińskiéj, któremu Grucowa sny swoje opowiadała namówił ją, żeby się poświęciła posłudze chorych u św. Łazarza. Mówiła mu bowiem, że jéj się zawsze śni, iż podaje lekarstwo swojemu mężowi, a ten ją prosi, by mu na łyżkę lekarstwa jedną łzę uroniła, że go to wyleczy.

— Co, ta łza?

— No jużci, ale kiedy go nie wyleczyła za życia, to co mu już pomoże po śmierci? Zwyczajnie, oszalała baba, bo nie co innego. Ale jegomość na tem najlepiéj wyjdzie.

— Licha tam! gotowaby klasztorowi zapisać.

— Nie, wszystko dla Zosi, tak powiedziała i u notaryusza złożyła testament. W szynku siedzą starzy Kozińscy i oddają za wódkę pieniądze do tego samego notaryusza, który ich kwituje.

— A Aniela gdzie?

— Nie wiem, nie pytałem księdza, może i on nie wie, bo mi z listu Onufrego nic o niéj nie czytał.

— Szkoda dziewczyny! Jak ona umiała koło bydła chodzić!

(Dokończenie nastąpi).

Aleksander Szukiewicz.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Czytam w czerwcowym zeszycie *Bibl. Warszawskiéj* pomiędzy *Doniesieniami literackiemi*, wzmiankę że w Poznaniu wyszła książka pod napisem: „*Dzieje panowania Augusta II od śmierci Jana III do chwili wstąpienia Karola XII na ziemię polską.* Godna uwagi przedmowa, z nowego stanowiska skreślona, wnika głębiéj w dziejowy rozwój XVII i XVIII wieku, i wykrywa sprężyny które późniejszy rozstrój narodu spowodowały.“ —

Tyle słów Biblioteki. —

Wiedząc że podobne doniesienia i uwagi zamieszczane przy końcu każdego tomu pomienionego pisma, najczęściéj są podawane albo z dzienników, albo z prywatnych listów, przeto nie kładę zdania tego na karb wydawców Biblioteki, którzy przy światłéj krytyce historycznéj nigdy niemogliby *Przedmowie* téj przyznać ani nowego stanowiska, ani głębszego wniknienia w dzieje, ani wykrycia sprężyn sprowadzających późniejszy upadek narodu.

Jak na przekór, to co podniesiono w powyżéj przytoczonych wyrazach, nie znajduje się ani w przedmowie,

ani w dziele, oddane w świetle rzetelnéj prawdy i ze znajomością stosunków politycznych ówczesnéj Europy. Autor — jak sam powiada, początkujący — pomimo jasnego i płynnego opowiadania trafnie ugrupowanych zdarzeń zebranych starannie, należy do rzędu apologetów dawnych instytucyi Rzeczpospolitéj; widzi w nich „szczytny pomnik naszéj zbiorowéj dojrzałości i naszego rozumu politycznego w tych czasach, kiedy inne narody rządzą się bądź to wolą absolutną monarchy, bądź zachciankami panów feodalnych, bądź téż przypadkową bardzo i nieczęstą dzielnością indywidualną. Tylko Anglia i Polska — powiada daléj — każde naturalnie według swego charakteru narodowego, potrzeb i widoków, zdobyły się wtedy na myśl, aby wciągnąć cały naród zbiorowo w rządy kraju, ograniczyć władzę panującego, napisać sobie wyraźny i wszystkie szczegóły obejmujący system postępowania w życiu publiczném.“ (kar. XII i XIII).

Ani słowa przeciw temu, bo tak było; mieliśmy instytucye tak wolne, tak wolne że aż musiało przyjść do złamania wszelkiéj równowagi między rządem a rządzonymi, a władza nieskupiająca się w jedném ognisku, lecz rozdzielona na krocie, być nią przestała. Gdzie nie ma władzy, musi być bezwładność. Doskonałość więc instytucyi sprowadzającéj taki rezultat, staje się dość wątpliwą; a jakkolwiek świadczyć może o dzielnym animuszu naszych przodków, niewiele świadczy o ich politycznym rozumie.

Byt narodu zawsze trzymać powinien przodek przed dogodnościami i przyjemnościami wypływającemi z mniéj lub więcéj rozwiniętych swobód; ztąd zachowanie równowagi w ten sposób, iżby władza nieszwankowała przez zbytek swobody podwładnych, a podwładni nieczuli się ubezwładnionymi przez władzę, zawsze należyć będzie i należało do głębokich zadań rozumnéj polityki.

Autor *Dziejów panowania Augusta II* zapewne wié o tém, bo myśl umiarkowanego instytucyami monarchizmu podnosili nieraz rozumni politycy, a szczególniéj francuzcy, ilekroć szukali z nami przymierza. Oświadcza się nawet z swoją historyczną sympatyą do Francyi, kiedy powiada, że zdrowy instynkt narodu od wieków ciągnął bardziéj do Francyi niż do bliższych mocarstw (k. XXII); żałuje nawet, że po śmierci Sobieskiego nieutrzymał się książę Conti. — Ale to wszystko nie przeszkadza mu łajać *pessymistów historycznych*, i *aposteryorycznych historyozofów*, że chcieli „zmiany dawnéj i historycznie rozwijającéj się ustawy“ — bo podług niego, było to jedno, co „zanegować całą przeszłość Polski i kazać jéj od Piastów Ziemiomysłów teoretycznie i dzisiaj wymarzoną kolej rzeczy raz jeszcze przechodzić.“ Daruje autor, lecz to nie od dziś nalegano na tę zmianę; nalegały przyjazne gabinety ilekroć starały się o sojusz z Rzeczpospolitą, w przekonaniu, że z hałaśliwemi nic nieuchwalającemi sejmy sprzymierzeniec co nie jest ani dość silny, ani dość powodujący się widokom kierującéj polityki, na niewiele może się przydać; nalegali wreszcie, i ciągle nalegali królowie nasi w tém nieszczęśliwi, że gdy im zawsze czasu zabrakło na długie dzieło reformy, nie mieli jéj komu przekazać.

Autor, jak widać, wierny zwolennik pewnéj szkoły historycznéj, wywodzącéj formę republikańskiego rządu jeszcze od Piasta i Ziemiomysłów, nie przypuszcza nawet, żeby jakakolwiek zmiana w tym kształcie rządu mogła była udać się. Oto są jego słowa: „Zmiana ustawy polskiéj z republikancko-szlacheckiéj na absolutno-monarchiczną z wszelkiemi dobroczynnemi następstwami, wygląda nieźle na papiérze i w abstrakcyi, ale myśl jéj była w ciągu życia całego Polski tak obcą wyobrażeniom jéj mieszkańców i takiém w ogóle niepodobień-

stwem, że według niéj i na jéj podstawie historyi polskiéj wcale poprawiać nie można.“ — (k. XXI).

Rozumie się, że teraz poprawiać nie można, tego, co się raz dokonało — ze szkodą; ale historyk zawsze ma pole sądzić naród w wyborze drogi którą poszedł, jeżeli historyk nie należy do smutnéj szkoły fatalistów.

Również trudno zgodzić się, aby monarchizm u nas był taką abstrakcyą; przeciwnie praktyczna ta, najpraktyczniejsza z politycznych myśli 17 i 18 wieku, wciskała się do nas i przyjmowała w głębszych umysłach statystów i panujących, którzy widząc jakiéj reformy wymaga Rzeczpospolita, aby mogła iść w równi z innemi państwami stałego lądu, nieraz kusili się o złamanie wszechwładnego żywiołu gminowładztwa szlacheckiego. Czyż nawet wielbiony przez autora Władysław IV, nie ruszył na ten cel kozackiego żywiołu? Że się to niepowiodło, nie wynika ztąd, iżby idea téj reformy była dobrą li *na papierze;* prędzéj temu przypisać, iż się nie znalazł mąż na tronie, któryby dość energii i woli posiadał, do urzeczywistnienia téj myśli; a choćby i niebrak takiego człowieka, to prędzejbym przypuścił, że sama natura owéj ustawy, zagradzała zwycięzko drogę wszelkiéj reformie. Póki ją podtrzymywał wielki duch obywatelski, gotowość do poświęcenia osobistego interesu i ambicyi, póty i trwała ta anomaliczna organizacya.

Przodków naszych którzy stworzyli instytucyę wolnego obierania Królów przez Szlachtę, którzy uświęcili obyczaj *liberum veto;* nie możemy potępiać bezwzględnie i nie potępiamy. Kształcenie się instytucyi narodowych — ślicznie powiada Sienkiewicz — odbywa się w obec nieczytelnéj chmury, która przyszłość zakrywa; bywa dziełem chwili, a ta chwila wieki pożéra; zależy często od trafu, a traf ten pojęcia ludzkie w opętanie wikła. Narody nie mają objawienia Religii politycznéj; — ale

zawsze mogą mieć tyle zdrowego rozumu, żeby się cofnąć przed przepaścią, kiedy widocznie ku niéj idą, i tyle woli ducha, żeby się na ofiarę zdobyć, kiedy potrzebna na okup życia.

Pięknie to być liberalnym pisarzem, i stawać w obronie politycznéj wolności; lecz czy tym kluczem otworzą się wszystkie historyczne zagadki, czy ta pochodnia rzuca właściwe światło na przyczyny i skutki zdarzeń, czy nam wykrywa główne prądy każdéj epoki?— o tém chce mi się wątpić;— idea absolutnéj wolności, tak popłacająca u retorów, najczęściéj brzęczy fałszywą nutą w historyi i polityce.

Młodemu pisarzowi mogło bić serce kiedy słońcem Jagiellonów oświecił sobie wspaniały ów organizm Rzeczpospolitéj, wyrabiającéj w naturze naszych przodków jakiś pierwiastek szlachetny, jakiś impet duchowy, który się tak często w wielkich czynach i w pięknych charakterach objawiał, że nawet długo jeszcze i w ruinach majaczy... Jednakowoż kiedy oko jego wyłącznie zawiesiło się na tym gmachu zsuwającym się w przepaść, kiedy wziął się rozpowiadać płaczliwe dzieje Sasów, które każdy omijał *jak mogiłę samobójcy*, mógł był przecież wyciągnąć inną prawdę, dla postawienia jéj jak stawiają słup z ostrzegającym napisem nad urwiskiem. Prawdę tę byłby znalazł — bo była namacalną, gdyby kreśląc cały pochód naszych dziejów ujął je z téj strony, z jakiéj prawdziwy dziejopis przedmiot swój ująć powinien, jeżli nim nie miota namiętność, a powoduje miłość prawdy.

Rozpatrując się w naszych dziejach, leży jak na dłoni, że tylko władza monarsza mogła była temu krajowi nadać i wewnętrzną i zewnętrzną siłę; formą ta rządu, pomimo nowszéj teoryi republikańskiéj, aplikowanéj do całego rozwoju dziejowego, praktykowała się przecież i najlepiéj odpowiadała potrzebom, kiedy widzimy naj-

wyższą pomyślność i znaczenie Polski pod rządami Jagiellonów, a nie musiała to być urojona błogość, kiedy każdy niemal czy wierszem czy prozą począwszy od Jana Kochanowskiego, przez długi lat szereg przechowuje tradycyę tych czasów, jak niegdyś pogańscy pisarze ciągle śpiewający o złotym wieku.

Uwaga ta często nasuwała mi się, ilekroć wnikałem w ducha nastrajającego lutnię naszych starych poetów i zapytywałem się: zkąd te skargi na złe czasy? zkąd odnoszenie się do szczęśliwszego wieku, dawnéj prostoty obyczajów, niezachwianéj wiary, rycerskiéj tęgości? Czemu te narzekania na obecność, w któréj:

Dużo postawy, wątku mało?

Zawsze ten jeden ton powtarzający się jak zwrotka w pieśni, musiał mieć swoją moralną przyczynę, kiedy wybuchał gorzkim wyrzutem dla teraźniejszości. I rzeczywiście, ideałem tym wybornych stosunków społecznych, najprościejszéj i najdogodniejszéj formy rządu były czasy Jagiellońskie, była gruntowna władza monarsza, złagodzona dobrocią charakteru téj dynastyi, wsparta poważnym senatem duchownym i świeckim złożonym z najdostojniejszych mężów Korony i Litwy. Pod Zygmuntem Starym, tym ostatnim, a najdoskonalszym reprezentantem idei jagiellońskiéj, widzimy pierwsze dwa zamachy na zwalenie tego stanu rzeczy — oba prawie z wnętrza narodu wychodzące, lecz popchnięte siłą pędzącą cały świat ówczesny ku nowym kolejom. Rozumiem tu sekularyzacyę Prus krzyżackich, gruby grzech polityczny, wręcz przeciwiący się jagiellońskiéj tradycyi, i rokosz Gliniański, gdzie drobna szlachta zazdroszcząc senatowi władzy, krzykliwie domagała się udziału w rządach. Następstwem tego kroku był jak wiadomo późniejszy pomysł męża wyuczonego na weneckim rozumie: liberum veto i wolna elekcya; — pierwszego natu-

ralnym skutkiem musiał być targ na koronę, ztąd intrygi i przedajność; drugiego: konfederacye, wojskowe bunty, zupełne osłabienie majestatu władzy — z wszystkiego zaś poszła wielka przewaga możnych, a z niéj ucisk ludu, otwarło się szerokie pole do pokus, mogących skazić charaktery choćby najbardziéj na rzymski wzór przykrojone.

Za nadto przywykliśmy zwalać wszystko złe na osoby; — tymczasem gdy w polityce, jak już powiedziałem — objawienia niema, więc i twórcy politycznych błędów, aczkolwiek srodze szkodliwych w następstwach, nie mogą porównie być kładzionymi na szali, z prostym zbrodniarzem popełniającym występek ze świadomości. Zła instytucya świadczy o krótko widzącym umyśle; zdrada i przekupstwo o skażonéj duszy.

Trzymając się téj prawdy, ile sądzę, dość oczywistéj, autor panowania Augusta II byłby niezawodnie mniéj o nieszczęścia chylącéj się Rzeczypospolitéj obwiniał owe *zdemoralizowane dygnitarstwo*, mniéj nawet Augusta II myślącego o zaprowadzeniu rządów absolutnych przez zalanie kraju wojskami saskiemi; a więcéj przypisał złego owéj *ustawie*, która doszedłszy ostatniego stadium nie była już zdolną ani sama siebie ratować, ani szukać ratunku na innéj drodze wskazanéj przez politykę wszystkich państw postronnych.

August II aczkolwiek go autor od wszystkiego odsądza, wiedział jednakowoż że machina rządowa nie może funkcyonować w tém rozstrojeniu w jakiém ją znalazł. Przymierze z Piotrem W. pokazuje nawet, że mu chodziło o zaprowadzenie silnego, skoncentrowanego rządu — o absolutyzm dla zachowania całości i niepodległości tronu, na który go wyniósł wybór narodu. Był więc rozum polityczny, kiedy szukał przymierza z monarchą mogącym mu dopomódz do zaprowadzenia innego porządku wewnątrz, a wreszcie i z konieczności, bo

Polska wyjęta z ogólnego systematu polityki europejskiéj, nie mogła dłużéj odgrywać tego politycznego monologu, bez szkody. Mam jednak to przekonanie, że organizacyjna i przewidująca głowa Piotra Wielkiego nasunęła Augustowi pierwszą myśl zaprowadzenia gwałtownéj reformy w Rzeczpospolitéj, bo cóż mu po sprzymierzeńcu zawisłym od jednego niepozwalam, co po tytule bez zasługi? Polityka też Rossyi w początkach panowania Piotra W. zupełnie inne miała względem Polski widoki, jak póżniéj. Dziwi mię, że na to historycy nasi niezwrócili uwagi. Staraniem jéj było mieć w sąsiedzie silnego alianta przeciw Szwecyi i Turcyi — i dla tego chciała wszelkiemi siłami zaprowadzić u nas monarchię — co gdy się nie powiodło — zmieniła późniéj tę politykę, zwłaszcza gdy tak Szwed jak Turek przestał być dla niej gróżnym, i zaczęła gorliwie protegować ustawę konstytucyjną, a z nią wspierać anarchię.—

Jak we wszystkiem, tak i w polityce są momenta w których się o przyszłość zaczepić można; gdy przejdą — już nie łatwo dobry wątek pochwycić. —

Póżniéj, tak zwana *familia*, wyobrażana przez dwóch znakomitych mężów stanu usiłowała podjąć tę myśl Piotra W. i użyć jéj do przeprowadzenia reformy — ale już było po niewczasie; gdyż polityka rossyjska niepotrzebowała w Polsce silnego alianta; a dla utrzymania dobrych stosunków sąsiedzkich umiała prawie zawsze skłaniać się do podobnych wezwań, z tą różnicą, że nie przychodziła organizować porządek, lecz wspierać wewnętrzną dezorganizacyę, aż do zupełnego rozkładu. Jak się to odbywało, wiadomo z naszéj historyi. Dzieje zaś Szwecyi jeszcze wyraźniéj pokazują i związek téj polityki i jéj nacisk, i wreszcie uczący środek jakim może się panujący od niéj wyzwolić, jeśli go niebo obdarzyło jasną myślą i niezłomną wolą.

Mało to są znane u nas szczegóły; bo dotąd nasi pisarze historyi skąpo oddawali się zbadaniu postronnych stosunków dyplomatycznych — gdy tymczasem jest to pewnik, że sprawy tego świata a w szczególności sprawy państw muszą się układać do powszechnéj równowagi, czyli wchodzić w zakres ducha epoki. Opieranie się takiemu wpływowi, może trwać długo, lecz w końcu ustępuje mu, dobrowolnie lub poniewolnie. Toż samo i w pisaniu historyi nie można nigdy brać żadnego narodu w odosobnieniu — bo nawet i Chiny pomimo granicznego muru, nie były wolne od stosunków i wpływów, odbijających się potem w życiu politycznem i umysłowém narodu.

Ależ chciałbym rzucić kilka rysów o Szwecyi, która już toczyła się po téj saméj pochyłości co Rzeczpospolita, i byłaby niezawodnie znalazła swego Lewiatana, gdyby nie energiczny Gustaw III.

Bitwa Pułtawska zadała cios potędze Szwedzkiéj szeroko rospartéj po obu brzegach Baltyku. Państwo to późniéj, bo w r. 1721 po zaprowadzeniu u siebie reformy, pragnąc kres wojnom położyć, zawarło pokój oddający Rossyi najpiękniejsze prowincye: Inflanty, Estonię, Karelię. Szwecya chciała używać roskoszy konstytucyjnéj reformy, w ten sposób dokonanéj, że w miejscu władzy królewskiéj postawiła niebezpieczną oligarchię która rządziła wszechwładnie bez uczestnictwa innych stanów. Po osłabieniu zewnętrznêm, nastąpiło jeszcze i wewnętrzne. Nie uszło to bacznego oka Rossyi. —

Odtąd zmienia się polityka Piotra Wielkiego względem dwóch swoich sąsiadów. Ze zmianą monarchicznéj formy rządu we Szwecyi, prędzéj później miała nastąpić anarchia, ta uprzejma gospodyni zawsze otwierająca wrota przekupstwu i intrydze. Do wspólnictwa tych widoków trzeba było przypuścić nowe państwo, spłodzone politycznym grzechem Zygmunta I które pełne młodéj

ambicyi łatwo dało się ująć nagrodą niektórych posiadłości szwedzkich w Rzeszy. Rossya i Prusy solennie zagwarantowały Szwecyi konstytucyę z r. 1720, nieprzestając podsycać walki dwóch stronnictw *czapek* i *kapeluszy*. Podziemna robota trwała dość długo, nie bez osłabienia Szwecyi, która w roku 1741 straciła już część Finlandyi.

Powoli dojrzewające plany miały się dokonać na Szwecyi mniéj więcéj około tego czasu, kiedy się u nas spełniły. Ciekawe w tym względzie rzuca światło niedawno ogłoszony przez Barona Manderstroema Zbiór dokumentów tyczących się Szwecyi; między innemi sekretny traktat Rossyi z Prusami zawarty w Petersburgu w r. 1769 wyraźnie zastrzega, aby ministrom pełnomocnym w Sztokolmie polecić jak najtroskliwszą pieczę około konstytucyi — w razie zaś gdyby jakiéj fakcyi udało się zwalić artykuły fundamentalne konstytucyi z 1720 roku, a to w ten sposob, iżby królowi przywrócona została moc stanowienia praw, wydawania wojny, pobierania podatków, zwoływania stanów i rozdawania urzędów bez zezwolenia Senatu — natenczas mocarstwa przyrzekają sobie wspólną pomoc, a mianowicie król Pruski nie omieszka zająć Pomeranii Szwedzkiéj itd.

Wszystko było już przygotowane do bliskiéj katastrofy — lecz energia Gustawa III odniosła tryumf nad spiskiem dyplomatycznym. Królewicz ten wychowany przez matkę swoją Luizę-Ulrykę w nienawiści do oligarchii, odgadł przyszłość i przejrzał hańbę i niedolę przygotowywaną swemu narodowi. —

Przymierze z Francyą wydobyło go z téj toni.

W tym celu udał się na dwór Wersalski, gdzie znalazł wszystko przygotowane przez ministra Choiseuil, tego szczerego obrońcy mniejszych państw przeciwko wzrastającym potentatom. Książę d'Aiguillon następca

Choiseuila trzymał się stale polityki swego poprzednika przynajmniéj co do Szwecyi.

Demonstracya Francyi dość miała groźną postawę, kiedy w dwa lata potem, gdy Gustaw już od roku objął był rządy po ojcu swoim, kuryer wysłany ze Sztokolmu wręczył Ludwikowi XV własnoręczny list Gustawa donoszący o szczęśliwym dniu 21 sierpnia 1772 r. w którym stronnictwa zostały stłumione, oligarchia starta, władza królewska przywrócona.

Francya mogła już śmiało dawać mu subsydia w pieniądzach i sile zbrojnéj, bo miała do czynienia z silną i prawowitą władzą.

Rzecz osobliwa: ten sam Choiseuil w naszéj Rzeczpospolitéj wspierał konfederacyę. — Nie wchodziło więc w rachubę ówczesnéj polityki principium monarchiczne, ale działanie jakąkolwiek drogą na osłabienie Rossyi.

Gdyby Stanisław August mniéj był się poczuwał do obowiązku wdzięczności za swoje wyniesienie, a więcéj rozumiał politykę będącą na dobie, ani wątpić, iż ministeryum Choiseuila wspierałoby go daleko szczerzéj, niż konfederatów, a równie ze skutkiem jak Gustawa.

Sama impozycya gabinetu Wersalskiego paraliżowała kroki przeciwników korony Szwedzkiéj. Fryderyk W. nieposiada się w gniewie i zarzuca Gustawa listami; w jednych ubolewa nad zdławieniem oligarchii, w innych wzbudza trwogi o los Szwecyi, każe nieufać Francyi, a menażować Rossyę — nakoniec przepowiada mu koniec jaki spotkał Cezara...

Wygląda to zupełnie na przekleństwo wyrzeczone w stylu dworskim i dyplomatycznym....

Przekleństwo spełniła późniéj zbrodnia Ankarströma— lecz już największe niebezpieczeństwo dla niepodległości państw Skandynawskich minęło.

Wątek myśli obudzony przedmową autora Panowania Augusta II, uniósł mię do Szwecyi. — Mniemam że

ta wycieczka na boczny gościniec, pomogła do objaśnienia spornego punktu, o tyle przynajmniéj, że w tych samych warunkach i przez tychże prawie aktorów odegrany dramat na innéj scenie, pokazał experymentalnie, co należało i w Rzeczpospolitéj naszéj w podobném położeniu robić. —

Któryś francuski publicysta mądrze powiedział: *La politique est comme la phisique. Il n'y en a qu'une de bonne: c'est l'experimentale.*

To samo da się zastósować i do ocenienia wpływów jakie wywarła ustawa rządząca Rzeczpospolitą na jéj koleje. Robić się zatem jéj apologistą w historyi, dla tego, że miała kilka szczęśliwych chwil natchnienia, kilka rzutów entuzyazmu prawdziwie poetycznego, a za to długie lata niemocy i wewnętrznéj i zewnętrznéj — jedno jest co pisać pochwałę absolutnéj wolności w stosunku do prawa, administracyi, polityki itd.

Autor przedmowy wybaczy mi te uwagi, wywołane potrzebą obecnéj epoki, domagającéj się od pisarza historyi nie jakiejś sentymentalno retorycznéj teoryi przeprowadzonéj przez całe warstwy dziejów, ale zestawienia faktów w tak rzetelném świetle rozumnéj prawdy, aby w nich czytać można ze zbudowaniem się i pożytkiem.

Historyczne fakta są to posągi — ustaw je jak najlepiej, a tylko oświeć fałszywem światłem teoryi niesprawdzonéj praktyką, albo sprawdzonéj smutném doświadczeniem, co wyjdzie na jedno — a wyższa myśl i nauka w nich zawarta zostaną dla ciebie stracone. —

Zresztą zdaje mi się, że pisząc historyę naszą od traktatu Westfalskiego, po którym Rzeczpospolita została zupełnie na boku, obok tworzących się państw, ona jedna z postacią narodu — nie obejdzie się bez bardzo pilnego zbadania polityki i dyplomacyi mocarstw postronnych, o niemal wszystkich. Uważając bowiem wy-

padki li tylko ze stanowiska gruntowego, okiem owczesnych mowców i statystów sejmowych, niewiele się zrozumi z ogólnego toku polityki, a wykrycie prawdziwych sprężyn zawsze będzie wątpliwe, lub źle wytłumaczone.

Jakkolwiek ogólny pogląd na dzieje Rzeczpospolitéj nie powiada nam nic nowego w przedmowie — zachowując stanowisko zbyt ciasne, bo niepokazujące nawet Kościoła w wielkiém jego posłannictwie, przy tworzeniu się państwa, ani w przeważnym wpływie przez ciąg średnich i jagiellońskich wieków, a zatem z wyraźnem usunięciem tego co stanowiło główną myśl i żywioł — z tém wszystkiem należy się podzięka młodemu pisarzowi za starannie uporządkowane i pięknie opowiedziane poszukiwania w mało dotąd używanych źródłach do początków panowania Augusta II; lubo z drugiéj strony, jak już nadmieniłem, nienatrafił on na właściwe znamię czasu, pojmując sprawy polityki jak je owczesna pojmowała Rzeczpospotita: — często szlachetnie, zawsze namiętnie, rzadko bardzo ze znajomością rzeczy i z tym zimnym rozumem dyplomaty, bez którego wszelka walka na polu not i memoryałów musiała być zawsze nierówną i kończącą się porażką jednéj strony, choćby najsprawiedliwszéj.

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

NASTĘPSTWA
BLIŻSZE I DALSZE.

What next? — and next?....

Cóż potém? — a potém?.....

Pytanie to rzucił jak wiadomo Cobden w chwili, gdy Rosya podpisała *ultimatum*, gdy w Wiedniu spisywano protokół zwołujący konferencye do Paryża. Zawarcie pokoju przebijające w rzeczonych aktach, nieodpowiadało widokom stronnika pokoju wieczystego; przewidywane następstwa nieodpowiadały w umyśle jego dokonanym faktom, zamierzonym celom, a w nieufności zadawał on sobie pytanie: cóż będzie daléj i daléj?....

Na pierwszą część pytania odpowiedziały konferencye traktatem z 30 marca, a więcéj jeszcze mocarstwa sprzymierzone 2go grudnia, traktatem z 15go kwietnia.

Cóż potém? — pyta p. Cobden.

Oto wojna skończona. Wojska sprzymierzone opuszczają teorytoryum rosyjskie — wojska rosyjskie cofają się z posiadłości tureckich w Azyi.

49*

Oto pokój podpisany. Podpisany zaś nietylko przez wojujące państwa, ale przez wszystkie wielkie mocarstwa Europejskie, i przez Austryą jako mocarstwo sprzymierzone z Zachodem a pośredniczące, i przez Prusy jako mocarstwo pierwszego rzędu, które dawniéj w sprawach Wschodnich udział brało; — pokój podpisany na podstawach przez wszystkie mocarstwa uznanych za niezbędne do przywrócenia równowagi europejskiéj.

Ależ koniec wojny i podpisanie pokoju to sam wypadek kongresu. To dzieło dopiero — to jeszcze nie skutki; to fakt — nie następstwa. Zgoła, *cóż potém?*....

Idźmy więc daléj.

Otóż, sprawa Wschodnia wywołana sporem rosyjsko-tureckim chwilowo ukończona. Ukończona w tych rozmiarach, w jakich ją zaraz z początku opisano; to jest w granicach czterech punktów: organizacyi księstw Naddunajskich, wolności żeglugi na Dunaju, neutralizacyi Morza Czarnego, równouprawnienia rajasów.

Otóż, polityka Rosyi zagrażająca swą przewagą równowadze europejskiéj ograniczona, od wschodu neutralizacyą Morza Czarnego i wolnością żeglugi na Dunaju, od północy traktatem zawartym między Francyą, Anglią i Szwecyą, potwierdzonym niejako w traktacie z 30 marca przez uwolnienie wysp Alandzkich od wszelkich fortyfikacyj rosyjskich.

Otóż, równowaga europejska przywrócona, oparta na nowéj podstawie; w skutek czego Turcya zasiadająca na kongresie paryzkim jako mocarstwo europejskie, przyjęta w skład systematu politycznego, a nietykalność i niepodległość jéj zaręczona przez prawo publiczne aktem traktatu z 30 marca.

Otóż nakoniec, wszystkie te trzy ważne wypadki, zaręczone osobnym traktatem, z 15 kwietnia; poddane jakoby akcye siedmiu akcyonaryuszów, pod syndykat złożony z trzech wielkich mocarstw, sprzymierzeńców 2go

grudnia, zapewniający ostateczne wykonanie dzieła, jeżeli nie rozporządzający wyłącznie środkami do wykonania użytemi.

Ważne to są wprawdzie wypływy dzieła pokoju, ale nie są to jeszcze następstwa. Są to dopiero zasady orzeczone, zastrzeżone rękojmie — słowem same dopiero traktaty, ich istota, a nie następstwa onych. Oceniając nawet jak należy wszystkie te okoliczności, zawsze jeszcze zostaje pytanie: *Cóż potém?* —

Przejdźmy zatem do najbliższych następstw.

Wskazał je sam traktat z 30 marca.

Na pierwszem miejscu ukazują się komisye wyznaczone do zastósowania zasad orzeczonych w traktacie. W każdéj z nich niesłychanie wiele trudności; każda z nich nosi w sobie niejako zaród nowego kongresu.

Komisye do oznaczenia granic azyatyckich między Rosyą a Turcyą, i do sprostowania (według brzmienia traktatu) granicy besarabskiéj, mają do walczenia z trudnościami materyalnemi, jeograficznemi; prócz tego zachodziły spory co do nominacyi samych komisarzy. Przeszkody wymagają ciągłych odwoływań się do dworów po nowe instrukcye, odległość bardzo znaczna; — prace więc zaledwie rozpoczęte, a od ich ukończenia zawisło jak się zdaje otworzenie innych komisyj.

Komisya wyznaczona w celu uorganizowania księstw Naddunajskich nierównie jeszcze trudniejsze mieć będzie zadanie. Główna trudność leży bezwątpienia w samym tekscie traktatu, w zastósowaniu wyrażonéj w nim zasady. Komisya winna pogodzić patronat całéj Europy z prawami zwierzchniczemi Sułtana; widoki polityczne mocarstw z życzeniami ludności tych prowincyj; zasady państwa ze swobodami narodowemi. Czy tego dokazać potrafi? Nadto jeszcze gotują się inne walki w jéj łonie. Na polu kwestyi połączenia Multan i Wołoszczyzny w jedną prowincyę, lub pozostawienia ich w tym po-

dziale w jakim są dzisiaj, różne przewagi polityczne do boju wystąpić zamyślają. Zdaje się nawet że kwestya niemiecka chce także stanąć w szrankach pod hasłem antagonizmu Austryi i Prus, skoro te ostatnie zażądały, aby im służyło prawo wysłania komisarzy do Bukaresztu. Komisya w stolicy Wołoskiéj będzie więc równie liczna, a nierównie dłuższego potrzebująca czasu, i nierównie więcéj mająca przeszkód do zgody, aniżeli konferencya w Paryżu.

Ustanowienie wolności żeglugi na Dunaju mniéj bezwątpienia zatrudni wyznaczoną *ad hoc* komisyę, lubo i tu znajdą się przeszkody, które już w Paryżu występowały podczas dyskusyi nad tym przedmiotem. I tutaj także kwestya niemiecka, a przynajmniéj interes niemiecki będzie jednym z żywiołów wchodzących w skład sprawy; pośpiechu przeto spodziewać się także nie można.

Obok tych komisyj staje neutralizacya Morza Czarnego, czyli wykonanie téj zasady, wprowadzenie jéj w życie. Do tego następstwa traktatu z 30 marca, łączy się kwestya ewakuacyi; bo dopiero gdy takowa całkowicie nastąpi, będzie można myśleć o zaprowadzeniu konsulów obcych we wszystkich portach Morza Czarnego, o ścisłem zamknięciu ciaśnin dla statków wojennych, o przemianie arsenałów morskich na doki, i tym podobnie. O ostatecznym atoli terminie ewakuacyjnym niema jeszcze dotąd mowy; a obiegające pogłoski, lubo pogłoski tylko, zawsze są oznaką, że różne jeszcze w téj mierze mogą zajść przeszkody.

Nareszcie, i co najważniejsza a oraz najtrudniejsza: wprowadzenie w czyn reform tureckich. Jakkolwiek państwa europejskie w traktacie zapisały tylko wzmiankę o *hattihumajonie* z całem uwzględnieniem praw zwierzchniczych Sułtana, to jednakowoż trudno przypuścić, aby samo ogłoszenie firmanu zadowolnić je miało. Pię-

knie to, ale nie dosyć. To dopiero intencya, — ale nie czyn jeszcze. Turcya wchodząc w skład mocarstw europejskich, opuściła stanowisko wyłączne iślamizmu; lubo zasiadała w kongresie z fezem na głowie, przyjmowała na siebie obowiązek obleczenia się w reformy cywilizacyi chrześciańskiéj. Turcya nie może być chrześciańską w Paryżu, a muzułmańską u siebie; nie może być nawet cywilizowaną w Stambule a pozostać barbarzyńską w Azyi. Czy dokaże tego przeobrażenia? czy go dokona bez obcéj pomocy? i co ztąd wyniknie? Na te pytania niema odpowiedzi. *Hattihumajon* w Azyi wywołuje zaburzenia i rzezie; Araby się buntują i wzbraniają pielgrzymom tureckim, *hadżi*, przystępu do Mekki. W samym Stambule i w prowincyach europejskich, rajasy nieukontentowani z poboru do wojska, chociaż cały ów pobór z trzech tysięcy ludzi złożony jest tylko podatkiem, dawnym *haraczem*, pogłownym w nowéj formie. Turcya ani krokiem jeszcze nieposunęła się w reformach od ogłoszenia *hattihumajonu;* bo przejażdżki i musztry Sułtana, przypuszczenia giaurów do uroczystości Bajramu, to dopiero rozprężenie iślamizmu, ale jeszcze nie równouprawnienie Chrześcian. A takowe ma być skutkiem ukończonéj sprawy Wschodniéj.

Wszystkie okoliczności wyżéj dotknięte, są już bezsprzecznie następstwami. Przeszkody które je otaczają czynią z każdéj z nich kwestyę i zaprawdę dość ciekawą i ważną, aby jéj obrót i wypadek mógł zaspokoić opinię publiczną, która natychmiast po zawarciu pokoju powtarzała Cobdenowskie pytanie: *cóż potém?*

Szukając następstw z pewną gorączkowością, nie chciała ich widzieć w rzeczonych kwestyach. Bądź że przeszkody w komisyach uważa za usunięte w obec przeważnéj sankcyi traktatu z 15go kwietnia; bądź że jéj się wydaje, jakoby z komisyj nie mogła już powstać żadna ważna komplikacya, a warunki traktatu

uważa już za fakta dokonane, to wszelako pewna, że wszystkie sprawy Wschodu tyczące, małe bardzo przedstawiają dla niéj zajęcie. Mniéj jeszcze zajmuje opinię publiczną kwestya morza Czarnego i tutaj łatwiéj się to pojmuje. Sprawa ta jest najdaléj posuniętą, a wolność handlowa jaką w przyszłości rokuje, nie wiele powiększyć może tę, jakiéj Europa na Wschodzie używała przed sporem rosyjsko-tureckim. Nie przygląda się również rozwinięciu ogromnéj kwestyi *hattihumajonu*, a równouprawnienie Chrześcian na Wschodzie nie wiele zdaje się ją obchodzić. Czy zrażona losem jakiego przez lat szesnaście doznawał w państwie Ottomańskiém *hattiszeryf* z Gulhany, ów poprzednik *hattihumajonu* na drodze reform tureckich, odkłada wszelkie skutki z tego ostatniego do odległéj bardzo przyszłości; czy téż osądziła wprowadzenie go w życie za zupełne niepodobieństwo i przewiduje pierwéj kataklizm tego państwa, który na nowo sprawę Wschodnią wywoła; — to pewna, że uwaga jéj w inną zwrócona stronę, że następstw z ukończonéj co dopiero sprawy szuka gdzieindziéj i upatruje, przerzucając się z jednego pola na drugie. Słowem, opinia publiczna w ostatnich czasach nosiła na sobie cechę pewnéj obawy, pewnego oczekiwania jakby powtarzała drugą część pytania: *A potém?...*

Nie należy wszakże symptomatów tych w opinii, o których się każdy mógł dostatecznie przekonać, komu tylko ruch polityczny w ostatnich czasach nie był obcy, całkowicie przypisywać drażliwości wywołanéj długo trwającą sprawą, lub niespodziewaném jéj zakończeniem. Nie należy kłaść ich jedynie na karb owéj ciekawości, co to niezaspokojona bliższemi następstwami, będącemi niejako pod ręką, sięga po dalsze ponętniejsze, bo ukryte. Przyczyna tych symptomatów, leży podobno głębiéj — w naturze ludzi i rzeczy.

Człowiek przyzwyczajony jest do pewnych loicznych

następstw tak w świecie fizycznym jako i moralnym. Jeżeli ma przed sobą nagromadzone żywioły do burzy, jeżeli widzi horyzont tak ciężkiemi i czarnemi pokryty obłoki że dnia prawie od nocy rozróżnić nie można, czuje prądy wichrów tak gwałtownych, że wiekowe drzewa naginają ku sobie; jeżeli słyszy huk grzmotów i piorunów wstrząsających w posadach najsilniejsze budowy, to wygląda koniecznie skutków odpowiednich podobnym wstrząśnieniom, i dziwi go nie pomału, skoro takowych po ustąpieniu burzliwych fenomenów, niedopatrzy. Niedowierza czy burza przeminęła, a w końcu, zwłaszcza jeżeli słońce nie wystąpiło jeszcze w całéj swéj promienistéj jasności, jeżeli błękit niebios nie doszedł całkiem pogodnéj barwy, jeżeli tu i owdzie pojawiają się chmury, a powietrze ciężkie i oddychać nie łatwo, obawia się czy burza nie wróci.

Toż samo zachowanie towarzyszy ludziom w obec wypadków moralnych, toż samo uczucie ogarnia społeczność w obec wypadków politycznych mających wielkie niekiedy do burzy podobieństwo. Chcieć widzieć następstwa jest właściwém naturze ludzkiéj: w ich upatrzeniu lub odgadnięciu leży pewne zaspokojenie, tak jak w przeciwnym razie wyradza się pewna niespokojność lub oczekiwanie. Na takowy zawód często wystawiona jest ludzkość. Szuka zawsze chociaż nie zawsze znajduje; szuka pomimo ciągłego doświadczenia, pomimo świadomości, że ostatecznych przyczyn ani skutków dociec nie potrafi, bo one są ogniwami owego łańcucha, w który Opatrzność wiąże wypadki tego świata.

Poszukiwania te na polu politycznem są ogólniejsze i żywsze aniżeli na polu czysto moralném, i nie bez powodu. Polityka w prostém znaczeniu tego wyrazu, jako dzieło ludzkie ma sferę ograniczoną, czasową, chwilową. Rozporządza ona mniéj więcéj żywiołami z których składają się wypadki do niéj należące, wskazuje

sobie cele, układa środki, a mądrość w polityce zależy głównie na przewidywaniu następności. Nie potrzebuje z resztą odgadywać następstw ostatecznych, ale bliższe lub dalsze wystarczają na zwyczajny jéj pochód. Tém większe téż zadziwienie w społeczności, skoro takowych nie spostrzeże; tém większe oczekiwanie i wreszcie obawa, jeżeli po skończeniu jakiego ważnego zdarzenia następstwa pozostaną w ukryciu, a lubo istnieją bo istnieć muszą, na jaw nie wystąpią.

Sprawa wschodnia była właśnie takim czynem w polityce, że opinię publiczną w ciągłéj utrzymywała wątpliwości. Wykazaném już było dawniéj na tém samém miejscu, że nie mogła ona sobie zdać sprawy dokładnie z powodów które wywołały wojnę; po zawarciu pokoju widzieć ją można w ciągłém poszukiwaniu następstw. Opinia publiczna znalazła się w położeniu owego człowieka o którym wyżéj mowa, co szuka skutków po przeminieniu burzy, a porównanie to wybornie można tu zastósować. Sprawa Wschodnia nagromadziła tyle niebezpiecznych żywiołów, zaciemniła tak dalece widnokrąg polityczny, poruszyła tyle kwestyj, skojarzyła tak nieprzewidziane przymierza, zerwała tak mocno na pozór spojone, wywiodła w pole tyle środków zniszczenia, wstrząsała takiemi potęgami, iż dziwić się nie można, że po jéj ukończeniu upatrzyć chciano koniecznie następstw odpowiednich tym ogromnym rozmiarom. Warunki położone w traktacie a będące oraz najbliższemi następstwami, nie mogły zaspokoić opinii publicznéj, nie dla tego aby ich za takowe uznawać nie miała, ale dla tego że niedopisywały jeszcze oczekiwaniom, które ta olbrzymia sprawa przez trzy lata trwająca i z takiemi wysileniami prowadzona, obudziła. Rzucono się przeto z pewną zapamiętałością na pozostałą po niéj spuściznę, i tam starano się dopatrzeć następstw, chociażby nawet po za właściwą jéj sferą leżących.

W spisie inwentarza znaleziono wiadomy protokół z 8go kwietnia, a w nim trzy kwestye dotknięte: wolności prasy, ewakuacyi królestwa Greckiego, i spraw włoskich. Podjęła je z razu europejska prasa i to bardzo namiętnie; pod jéj piórem przybrały one wielkie rozmiary, jak przystało na wyniki zgody zapadłéj między wielkiemi mocarstwami w olbrzymiéj sprawie. Nie spostrzegła się ona z razu, że dwie pierwsze kwestye były tylko wstępem do trzeciéj; że mówiono o Belgii i Grecyi dla tego tylko, aby nie mówić o samych Włoszech; że gdyby Cesarz Napoleon uznawał za stósowne powściągnąć wolność a raczéj swawolę prasy belgijskiéj, innych użyłby do tego sposobów, aniżeli skarżąc się na nią przez swego ministra w obec kongresu; że ewakuacya Grecyi zależała w owéj chwili całkiem od dobréj woli mocarstw zachodnich, i to tak dalece, że nawet o tém przez cały ciąg konferencyi mowy nie było. Przekonawszy się wkrótce atoli że zamiarem państw nie było wcale wymierzyć nowy zamach na wolność prasy, bo ta istnieje o tyle tylko w Europie o ile się zgadza z ideą państwa i niesprzeciwia jego interesom, a dziennikarstwo jest raczéj narzędziem aniżeli siłą; powziąwszy oraz przekonanie, że kwestya o Grecyi jest całkiem podrzędną, opinia publiczna zwróciła się ku sprawom włoskim i całą na nie uwagę swą skupiła. Porzuciła Wschód dla półwyspu włoskiego, bo się jéj zdawało, że tam ukażą się olbrzymie zjawiska owéj politycznéj burzy przez trzy lata grożącéj. Sprawę bardzo umiarkowanie przez ministra francuzkiego podniesioną, przybrała w narodowe barwy, żądając niemal po „państwach“ interwencyi w sprawie „narodowości“. Nie cofała się przed żadnym środkiem ku dopięciu owego domniemanego celu, który uważała za jakieś konieczne następstwo. Nie zatrzymywały jéj żadne zmiany, ani oderwanie Legacyj od Rzymu, ani sekularyzacya rządów papiezkich, ani

nowa próbka formy konstytucyjnéj w stolicy Piotra Śgo, ani nawet zmiana dynastyi w Neapolu gdyby nie było innego sposobu do zaprowadzenia żywotnych reform w tém państwie.

Rozczarowanie wkrótce nastąpić musiało, i nastąpiło téż niebawem. Przygotował je był znakomitemi nader słowy minister pruski, a przynajmniéj przygotować je był powinien, gdy zaraz na posiedzeniu 8go kwietnia powiedział: „że nie odmawia dyskusyi w sprawach włoskich, ale że nie od rzeczy byłoby zapytać się, czy podobne rozprawy w tym przedmiocie nie wywołają nadziei, które całkiem różne skutki mieć mogą aniżeli te, jakich sobie życzy konferencya“. Wyrazy te wskazywały aż nadto dobitnie, że sprawa włoska wywołana przed kongres w Paryżu nie miała wcale wielkich rozmiarów, że takowe przybierała jedynie dla tych, którzy się na nią zapatrywali jakby przez szkło powiększające, przenosząc ją na stanowisko następstw domniemanych sprawy wschodniéj. Wyrazy te dowodziły nadto, że sprawa włoska była na polu polityki państw i że formy dyplomatycznéj nie porzuci; że skoro odda posługi jakich się po niéj spodziewano, skoro część z niéj zaczerpnie Francya jako dowód siły nie lękającéj się tak drażliwéj inicyatywy w obec Europy, drugą część znów Anglia, aby wzmocnić stanowisko pokojowe gabinetu w Parlamencie; trzecią częścią nakoniec jeżeli zechcą zaspokoić wymagania Piemontu — mało co zostanie się z jéj istoty i ważności na korzyść Włoch.

Jakoż zaledwie wielka owa na pozór sprawa przeszła przez dyskusye parlamentarne, a przekonano się że nie można w niéj upatrywać żadnego bezpośredniego następstwa. Pokazało się, że odłączenie Legacyj od Stolicy Piotra Śgo było niemożebne, raz dla tego że naruszało *statu quo*, którego naruszać nikt nie miał zamiaru, powtóre iż prowadziło do rozdrobnienia jeszcze większe-

go krajów włoskich, zatém do nowych niespokojności i zawikłań. Pokazało się również, że sekularyzacya administracyi w państwach papiezkich była już doprowadzoną do tego stopnia, do jakiego tylko posunąć ją można w państwie gdzie panujący jest monarchą świeckim a zarazem głową Kościoła. Żadne z państw europejskich nie chciało przytém nadwerężać bynajmniéj praw zwierzchniczych, monarszych, ani Papieża, ani króla Neapolitańskiego, wmieszaniem się gwałtowném w sprawy wewnętrzne ich państw; a ogłoszenie traktatu z 15go kwietnia okazało całą błahość rachuby na zbrojne interwencye bądź Francyi, bądź Anglii, odsyłając rzecz całą do przedstawień bardzo względnych w notach dyplomatycznych. Pozostawały już tylko memoryały hr. Cavoura, jako jedyny blichtr w całéj téj sprawie, ale i ten zdjął hr. Clarendon ostatnią swą odpowiedzią, gdzie całą kwestyą ograniczył na prostych usiłowaniach mocarstw, aby prowincye papiezkie i stolica z czasem ewakuowane być mogły. Malała więc co dni kilka sprawa włoska, i nakoniec w przeciągu kilku tygodni zeszła z ogromnych rozmiarów do tak maluczkich, iż dziś wydaje się jakby kto na nią odwróconą stroną teleskopu spoglądał.

Cały ten obrót sprawy włoskiéj był tylko jednym dowodem więcéj, że komu niewystarczają następstwa wprost i bezpośrednio z traktatu 30 marca płynące o których wyżéj, kto szuka innych, dalszych, w takich rozmiarach, aby do nich kompas sprawy wschodniéj się nadał, ten nie może chcieć upatrywać ich w faktach. Fakta uważane jako następstwa, nie mogły być wielkiemi, nie mogły odpowiadać ogromnemu zakresowi sprawy która się toczyła, skoro naprzód zapowiedzianem było, że *statu quo* zachowanym zostanie, że nie ulegnie żadnéj zmianie materyalnéj. To zapowiedzenie, tylokrotném oświadczeniem poparte, i z taką usilnością utrzymane,

było oczywistą skazówką, że spór i wojnę prowadzono nie o fakta ale o dążności. W dążnościach też, w dalszym kierunku polityki, leżą istotne następstwa sprawy ukończonéj traktatem 30go marca. Im wybitniéj występują te dążności czyli rzeczywiste następstwa, tém bardziéj maleją pozorne czyli fakta. W obec ogłoszenia traktatu z 15go kwietnia zniknęła prawie kwestya włoska!

Nie łatwo bezwątpienia oznaczyć tych dążności czyli kierunku; biorąc atoli za przewodnika zasady na jakich odbywały się konferencye i podstawy na jakich oparto traktaty, domyślać się wolno, że rozwinięcie systematu politycznego w Europie na idei państwa, jest głównem następstwem wypadków któreśmy mieli przed oczami. Rozwinięcie to w dwóch zdaje się postępować kierunkach: w jednym politycznym przez zaprowadzenie systematu równowagi zależącéj nie tyle już na równoważeniu siły mocarstw, jako raczéj na wspólności zasad politycznych i społecznych; w drugim kierunku, materyalnym, na potęgowaniu coraz większém interesów, obok związania ich ścisłą solidarnością między wszystkiemi państwami europejskiemi. Systemat rządów w Europie dąży do jedności zasad politycznych i do wspólności interesów, czyli do kosmopolityzmu politycznego. Nie ma tu zamiaru przesądzać przyszłości, ale z tego stanowiska zapatrując się na następstwa ostatnich wypadków, znaleść można nie jeden fakt dość ważny i dość odpowiedni wielkości sprawy wschodniéj.

I tak co do pierwszego zwyż wspomnionego kierunku, przeważnym nader jest fakt przyjęcia Turcyi do składu państw europejskich. Turcya jako taka, winna przyjąć te same polityczne zasady co inne państwa; żądane po niéj reformy wewnętrzne w ścisłym też zostają stósunku z ideą państwa, a islamizm o tyle ustąpić będzie musiał, o ile się jéj sprzeciwia. W téj idei leży miara i

ustąpień ze strony Turcyi i wymagań ze strony państw. Porta potrzebna do równowagi, nie może w niéj pozostać anomalią co do zasad.

Anomalię, lubo nie tak wielką ale zawsze anomalię znosi także traktat 15 kwietnia, zmuszając po części Francyę a zwłaszcza Anglię do opuszczenia dotychczasowéj swéj polityki narodowéj. Anglia przyjmując następstwo tego przymierza przechodzi na politykę państw. Nota hr. Clarendona w odpowiedzi na notę hr. Cavoura, o któréj była już wzmianka, jest tego oczywistym dowodem. Większym jeszcze nierównie dowodem jest spór amerykański, który postawił Anglią w alternatywie między poświęceniem interesu lub ustąpieniem z godności. Dawniéj utrzymanie godności dawało Anglii zarazem siłę w obronie interesów, dziś ustąpić trzeba z godności aby interesa ocalić.

Nadto jeżeli przymierze z 15 kwietnia wykryło pewną słabą stronę Anglii, tak znowu niwecząc wszelkie nadzieje skojarzenia się napowrót świętego przymierza, dowiodło całéj mocy, jaką wspólność zasad politycznych w systemacie równowagi posiada.. O téj mocy wnosić można z wrażenia, jakie wywarł traktat z 15 kwietnia szczególnie na Niemcy, z podróży cesarza Aleksandra do Berlina, do któréj wiążą projekta przymierza między Rosyą a Prusami; z nagłego obrotu sprawy Włoskiéj, a wreszcie i z owéj obojętności opinii publicznéj na wykonanie traktatu z 30 marca.

Siła ta pochodzi ztąd głównie, że wspólność owa zasad wiąże się bardzo ściśle z solidarnością interesów. Interesa zaś materyalne zwiększają się w niesłychanéj progresyi. Idea państwa znosząc przewagi w korporacyach, musiała skupiać w inny sposób indywidualne usiłowania, w sposób odpowiedni swéj istocie i tak, aby całym ruchem pokierować mogła. Stowarzyszeń jakie ztąd wyniknęły, użyła do spotęgowania interesów, a

gdy te w granicach państw zamknąć się nie dały, nastąpił ruch ogólny handlu, przemysłu, przedsięwzięć w całéj Europie, który i Rosyę wkrótce zapewnie ogarnie, i który przyśpieszył ów fakt solidarności, rozstrzygający dziś nie jedną polityczną kwestyę. Interesa materyalne państw są tak z sobą połączone, że coraz większém staje się niepodobieństwem, aby które z nich w jakowéj bądź kwestyi osobno i na własną działać mogło rękę.

Zapewne nie stało się to odrazu, ani sprawa Wschodnia nie była przyczyną tych nowych dążności. Przyczyniła się ona jednakowóż do wykrycia tego stanu rzeczy, samą trudnością z jaką podjęto wojnę, z samem wahaniem z jakiém ją prowadzono i pośpiechem z jakim ją ukończono. Przyczyniła się głównie do uznania nowego systematu politycznego przymierzami jakie skojarzyła i owym brakiem następstw w faktach a wydatnością w dążnościach. W zgłębianiu ich podobno znajdą tylko odpowiedź ci, którzy wraz p. Cobdenem pytają: *cóż potém? — a potém?*

Nie idzie jednak jeszcze za tem, aby p. Cobden miał być zadowolniony, aby traktat z 30 marca miał zaręczyć światu pokój wieczysty. Wszakże wątpić nie można że dążności, czyli następstwa rzeczonego traktatu, mają na celu utrudnienie wojny. Zmiany w prawie publicznem, zwłaszcza co do prawa morskiego są wszystkie w tym kierunku. Zniesienie prawa uzbrajania korsarzy, i zabezpieczenie prawa własności państwom neutralnym nawet pod nieprzyjacielskim pawilonem, wszystko to odnosi się do rozwijania coraz swobodniéj interesów materyalnych, do zasady ich solidarności. Gdyby zasady te przyjęła była Ameryka, nie mogłaby dziś wystawiać się na wojnę z Anglią; gdyby nie obawa że wojna z ogłoszenia wolności wszystkich ciaśnin wyniknąć

może, kwestya Sundu byłaby już może od dawna rozstrzygniętą....

Ale zapuszczać się zbyt daleko w takie domysły nie wypada. *What next?* — *and next?* nie napisał zapewne p. Cobden dla jednego pokolenia.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w czerwcu.

Na jałowéj pustyni kroniki czerwcowéj jedna tylko zieleni się tu oaza: — wystawa bydła. Cała też czereda zgłodniałych dziennikarzy, sprawozdawców i korespondentów rzuca się na nią, nie przepuszczając nie tylko poważnemu i rosłemu potomkowi flegmatycznéj rodziny holendra, ale i niewinnemu cielęciu w którego niewykształconych formach upatrują znawcy niezatarty typ cudzoziemski mlekodajnych prababek.

Koń niespokojny w nowéj tymczasowéj stajni pod płóciennym namiotem rży i strzyże uszami, nawet ciężki pociągowiec parska niecierpliwie, bydle zaś rogate obojętném spogląda okiem na wielbicieli swoich przeżuwając ostatni swój obiad.

Rozstawione na trawniku machiny i narzędzia rolnicze dziwnego kształtu i zagadkowego przeznaczenia nęcą oko widza. Szlachcic ze wsi ledwie spojrzy na dziesiąte, ale czasem zatrzyma się przy bardzo prostym i nieznaczącym na pozór sprzęcie, przyłoży doń rękę, poruszy, i już wie co wart dla niego. Natomiast mieszczanin czystéj krwi, który nakręcając codziennie swój zegarek, a niekiedy regulując go według zbuntowanych przeciw systemowi słonecznemu zegarów krakowskich, mniema,

że zna prawa mechaniki na palcach, gardzi lada jakim pługiem lub broną, a bierze się zaraz do wielkich i skomplikowanych machin, bada je i próbuje, rzucając zdumionemu fabrykantowi w oczy kilka słów naukowych o ruchu rotacyjnym, sile odśrodkowéj lub coś podobnego.

Posiada on również i znajomość gospodarstwa wiejskiego, bo assystując jako delegowany obywatel co wtorek i piątek przy spisywaniu cen zboża na Kleparzu, miał wielokrotną sposobność przekonania się o widocznéj różnicy, jaka zachodzi między owsem a pszenicą. Nie obca mu orka i włóczenie, bo pijając wody gorzkie co rano, przyglądał się téj robocie przy rogatce mogilskiéj. Zna się również i na bydle, bo zawsze kucharce swojéj powtarza, ile to ważyła owa olbrzymia polędwica, z któréj jak czytał w gazetach, jednego i tegoż samego dnia o jednéj i téj saméj godzinie król Ludwik Filip w Paryżu i królowa Wiktorya w Londynie na uświęcenie *entente cordiale* jedli bifsztyk, on z truflami, a ona z ostrym sosem angielskim. Mieszczanin nasz najlepiéj sądzić może o wartości doju i obejdzie się nawet bez mlekomierza; wie on bowiem ile czerpaków śmietanki wytrzyma jego filiżanka kawy, żeby nabrała téj pięknéj barwy, jaką napróżno malarze znaków kawiarnianych nadać chcą malowanéj szklance kawy. Tęskném okiem spogląda na rozrosłe buchaje, marząc o owych błogich czasach, kiedy to funt mięsa w Krakowie kosztował 6 gr pol., a i tak każdy rzeźnik miał własną swoją kamienicę. Jako wyznawca jednak nowéj szkoły ekonomicznéj pociesza się tem, że wysokość ceny jest dowodem powiększenia się konsumpcyi. Niezmiernie wiele liczy na nowy wynalazek lakierowania mięsa, spodziewając się, że dostawa jego w tym stanie z Buenos Ayres zastąpi brak bydła rzeźnego w kraju. Nowe wynalazki są w ogóle dla niego niewyczerpanem źródłem, z którego wszystkie teraźniejsze i przyszłe potrzeby zaspakaja. Wierzy w postęp ludzkości, w parę, gazy i i banki kredytowe, i na nie zwala cały ciężar pracy przyszłych pokoleń. Gniewa go tylko że jeszcze w dzisiejszych czasach musi się kłopotać o zaspokojenie codziennych potrzeb, że pomimo pary musi na własnych jeszcze chodzić nogach i własnemi pracować rękami;

mimo gazu, musi kupować drzewo i węgle na opał ślęczeć przy lampie nocnéj; że mimo banków kredytowych, podpis jego nie ma żadnéj wartości na giełdzie, a żyd lichwiarz bez zastawu i wielkiego procentu na krótki termin kredytować mu nie chce. Z lekceważeniem przeto mówi o obecnym wieku, lituje się nad ubóstwem wystawy, z pogardą spogląda na pługi, których para nie porusza, a zaledwie rzuci okiem na większe machiny.

Mimo tego jednak nieprzepuści żadnéj korbie ani kieratowi żeby ich nie obrócić, bo się ma za człowieka o sile dziesięciu koni. To też pod ręką jego wszystkie machiny idą wybornie, cepy młocarni tłuką na sucho po drewnianem boisku narządu, że aż w uszach huczy, noże w sieczkarni świszczą obracając się luzem, a wiejnik zbożowy dmucha jak miech w organie. Każda machina, każde narzędzie znane mu doskonale, nazw ich wyuczył się, czytując pilnie inserata *Czasu*, a kiedy dopatrzył na każdym sprzęcie wystawy kartkę z napisem, zdawało mu się, że mu tem komitet wystawy ubliża.

Jedna wszakże machina zwróciła uwagę jego szczególnie, a właściwe jéj przeznaczenie pozostało nierozwiązaną dla niego zagadką. Oglądał ją na wszystkie strony, ani raz dojść do czego by była. Wszystkie obroty korby w prawo i w lewo znosiła w milczeniu kręcąc się około swojéj osi. Ta machina wyraźnie popsuła mu humor, podkopała reputacyę jego, jako biegłego przewodnika dam, które oprowadzał. Żółta na niéj blaszka jak na puszce sardynek niczego nie nauczała, prócz że fabrykant zwie się tak i tak i jest *breveté*.

— Ale cóż to znaczy że patentowany? Powiedzcie mi moje panie, co dziś na świecie nie jest patentowanem, począwszy od słoika pomady aż do téj wielkiéj lokomotywy, od kołeczka którym przymocowana podeszew obuwia do śruby poruszającéj okręt? Zapewniam że ten narząd na nic się nie zda. A potem proszę mi powiedzieć co w nim za konstrukcya? cylinder blaszany dziurkowany, lejek u góry, lejek u dołu i zaraz *brevet d'invention!*

— Ale do czegóż ta machina?

— Alboż to machina? piękna mi machina bez kół, bez tłoków, bez....

W tem przypadł pewien dobrze poinformowany, opowiadając, że ten a ten znany i zamożny obywatel sprowadził z ostatniéj wystawy paryzkiéj wiejnik do czyszczenia zboża i pralnię do bielizny nowego wynalazku całkiem odmienną od pralni Moora, i że przy sposobności wystawy krakowskiéj kazał jedną z tych machin rozpakować w Krakowie.

— Ale którą? zapytano.

Nasz przewodnik wyraźnie zagniewany, udał że nie słyszy.

— Tego niewiem z pewnością — rzekł informator — lecz mogę zaręczyć, że jedno z tego dwojga: albo pralnię albo młynek do wiania; zawsze ona coś czyści, tylko nie wiem co, czy zboże czy bieliznę.

Nasz przewodnik zaczął się uśmiechać, jak gdyby wiedział dobrze o co rzecz idzie, lecz chciał się ubawić kosztem obecnych. W saméj rzeczy dwie te wersye o przeznaczeniu machiny paryzkiéj znalazły każda swoich zwolenników. Jedna partya utrzymywała że w cylinder dziurkowany wkłada się bielizna do prania przeznaczona, a lejem w górze umieszczonym wpuszcza się woda gorąca, która przecisnąwszy się przez szpary mydłem potarte wychodzi przeciwległym otworem jako mydliny. Strona przeciwna dowodziła znów, że lejem tym sypie się zboże, które po odsianiu plew i pośladu szparami, wychodzi spodnim otworem jako czyste ziarno.

Obie strony zacięty spór wiodły ale się nawzajem przekonać nie mogły, i o mało że nie przystąpiono do próby, tylko że niebyło ani wody gorącéj pod ręką ani zboża świeżo omłóconego, bo zresztą o materyał surowy do próby prania niebyłoby zapewne tak trudno.

W każdem zebraniu znajdują się ludzie zgodę nad wszystko miłujący. Jeden z takich zwiastunów pokoju chcąc zwaśnione strony przywieść do zgody utrzymywał z wielkim śmiechem publiki, iż machina o któréj mowa, obie te czynności zarówno odbywa, gdyż dowcipny francuz połączył w niéj i pralnię i młynek do wiania. Przewodnik nasz odprowadzając damy zaręczał, że z téj machiny ani bielizna ani zboże czystoby wyjść niemogły.

Chcąc zatrzeć wszakże zwątpienie w swoją wszechstronność, rozprawiał bardzo rozlegle o przyszłem prze-

znaczeniu ludzkości, która tylko cewkę jedną w ruch puści, a cały organizm jéj pójdzie swoim trybem jakby machina parą poruszana.

— Patrzcie panie! oto machina do robienia zrazów i kotletów, tu się wkłada mięso, stopień ten żelazny naciśnie się nogą, i wychodzi kotlet albo zraz *nb.* nie zawijany, na téj blasze która go podaje jakby na talerzu. Możnaby połączyć z tą machiną narząd kuchenny Elsnera z Berlina, który za kilka fenigów gotuje obiad gazem, a wtedy kotlet już usmażony poda machina.

— Pan się myli — rzekł z uśmiechem jakiś obecny jegomość — do téj machiny ta kartka należy, lecz ją ktoś przez żart odmienił. Przewodnik spojrzał na kartkę właściwą na któréj stał napis: „Machina do dachówek,“ i śmiejąc się zawołał do dam towarzyszących:

— Widzicie panie jak edukacya kobieca jest niedostateczną w dzisiejszych wiekach oświaty i wynalazku. Mechanika kuchenna zupełnie wam obcą, niewiecie nawet że ręka która kotlety sieka jest jednym z trzech rodzajów drążka i dla tego tak łatwo dajecie się zwodzić mężczyznom jak mnie naprzykład w téj chwili.

— Czy pan sądzisz że aby zwieść znów mężczyznę potrzeba znać mechanikę? — zapytała młoda mężatka. Zapytanie to wiele dało do myślenia naszemu przewodnikowi, a obcy jegomość który pokazał że to co miało być kotletem jest w saméj rzeczy dachówką, użył téj wolności mówienia, żeby się przyczepić do towarzystwa.

Żar słoneczny doskwierał na wystawie i żałować tylko należało, że p. Bernreiter uczeń Stuwera, który przejął od niego sztukę ściągania chmur swojemi ogniami, niepomyślał o zabawieniu gości wystawy. Ale zajęty wyłącznie swoim „rajskim ogrodem“ wszystkie rajskie rozkosze chciał do niego tylko ściągnąć z widoczną szkodą ogrodu Strzeleckiego, który główne dawniéj stanowił miejsce wytchnienia. Dziś publiczność ogrodu Strzeleckiego rozbiegła się na wszystkie strony, uporczywi tylko miłośnicy dawnego, niedają się odstraszyć wiecznemi tumanami kurzawy, nawykłszy od młodu kroki swe kierować w tę stronę.

Po zamknięciu wystawy wszystko co ma wieś lub co się czuje albo też mieni być chorem, wyjeżdża z Kra-

kowa to na wieś, to do kąpiel. Kronikarz tylko krakowski skazany jest przesiedzieć lipiec, żeby z atomów życia tutejszego złożyć jako tako parę stronnic téj książki. Będzie to wprawdzie homeopatyczna Kronika, jak atomy które w skład jéj wchodzą, lecz niechcąc się uciekać do heroicznych środków skandalu, trudno zaprawdę z mdłych objawów życia tutejszego zebrać materyały choćby na ziarnko gorczyczne.

Lwów w czerwcu.

Zaczynam od pogody. Mąmy tu porę stale pogodną, a lubo czasem w nocy deszcz pokropi, to dniem jednak upał wzmaga się chwilami silnie i zmusza szukać ochłody i pogadanek w zaciemnionych pokojach. W odwecie za ten kilkugodzinny areszt, spieszymy około godziny szóstéj tłumnie na górę Franciszka Józefa, niegdyś Wysoki Zamek. Piękne to i wielostronne panorama na téj górze! mało miast, co się może pochlubić przechadzką wzniesioną tak wysoko nad atmosferę miasta i z tylu widokami różnemi. Góra Franciszka Józefa jest dla nas neapolitańskiém *Corso*, wiedeńskim *Praterem*, paryskim *Bois de Boulogne* i co chcieć. Zresztą aby ułudę wzmocnić, towarzystwo nasze muzyczne wyprawiać tam zamyśla wieczory muzykalne, i właśnie powracam z takiego koncertu. — Jak wypadł? pytanie bardzo względne — i dla tego względnie odpowiadam: dobrze! Trudne początki wszędzie, a szczególnie w sztuce, wszakże usilnym staraniom i dobrym chęciom zawsze hołd składamy. Pogodne te wieczory i przechadzki na naszéj ulubionéj górze, pozbawiają teatr widzów, od dawna już dość rzadkich, i trzeba istotnie nadzwyczajnéj siły organizmu jego, kiedy dotąd nie uległ suchotom. Aby zapobiedz téj katastrofie dyrekcya wynalazła receptę zawierającą według niéj specyficzne środki na sprowadzenie publiczności do teatru. Jest to, jak sama ogłasza, zamiar przedstawienia utworów dramatycznych polskich „przedpółwiekowych“, których szereg rozpoczął się już „*Dziewicą słońca.*“ Wkrótce zapewne nastąpi „*Syrena z Dniestru,*“ „*Różko Cymbałek*“ itp. Wi-

dzicie więc, że nietylko *uczony* Berlin smakuje w zabytkach dawnéj sztuki, w *Antygonie* i w *Królu Edypie*, lecz i Lwów podobnież, a ponieważ stolica nasza nie szczyci się tak chlubnym przydomkiem, jak Ateny nad Sprewą, więc dyrekcya teatru układa następujący stosunek: tak się ma Berlin do Antygony, jak Lwów do Syreny z Dniestru. Rozwiązanie uzasadnione tego zadania wraz z korzyściami ztąd wynikłemi, zostawiamy kassyerowi teatralnemu.

Jakiś nieprzyjazne fatum zawisło w tych czasach nad sceną polską, a utwierdza nas w tém mniemaniu wycieczka p. Pfeiffra do Wiednia z gronem artystów krakowskich. Czytając dzienniki wiedeńskie i sprawozdania z przedstawień polskich w nich umieszczone, wierzymy mocno w gościnność i przychylność Wiedeńczyków dla sceny naszéj; wierzymy mocno w głębokie znawstwo sztuki ze strony tamecznéj publiczności i sprawozdawców; lecz sprawozdanie wygląda nam coś więcéj na gościnny przysmaczek, niżeli na zasłużony kęs chleba. Rozumimy, że artystów naszych wybierających się do Wiédnia z przedstawieniami polskiemi, nie wiodła jakaś *auri sacra fames;* że występować w stolicy Cesarstwa, (zdarzenie pierwsze w dziejach teatru polskiego), przed publicznością, która widziała Anschützów, Wilhelmi, Löwe, Rettich, i dziś jeszcze tyle znakomitości widzi, jest niejako pokazać jak dalece postąpiła u nas sztuka, jak ją pojmujemy; słowem, że się wybrano nietylko na reprezentantów swego talentu lecz oraz i sztuki swojskiéj. Takie jest z góry przypuszczenie o każdym artyście, co na obcych deskach w swoim popisuje się języku. Oddajemy cześć należną każdym zasługom, ale nie możemy przy najlepszém nawet powodzeniu i łasce publiczności wiedeńskiéj pochwalić pomysłu p. Pfeiffra, aby się wybrać do stolicy, niemając w gronie imion scenicznych pierwszego rzędu. *Quand on parait en public, il faut s' endimancher.* Artysta nietylko do siebie należy, lecz i do kraju. I nie można nam brać za złe, że mamy jak każdy naród swoje narodowe pretensye do cywilizacyi. Zresztą cieszymy się wielce, że pochwalne oklaski spotykały naszych rodaków; ale umiemy rozróżnić grzeczność publiczności światłéj do stanowiska téj reprezentacyi do

sztuki u nas i do naszych o sztuce wyobrażeń. I w tém, zdaje nam się, pomysł p. Pfeiffra był jednostronnym. Z literackiéj dziedziny, miłą niosę wam wiadomość. Hrabia Wiktor Baworowski powrócił z Warszawy z nabytkami ważnemi z księgozbioru Stronczyńskiego, które do biblioteki swojéj wciela. Dotąd Lwów nie miał źródeł dawniejszych do dziejów Polski, nad sięgające wieku pietnastego. Sam nawet Zakład imienia Ossolińskich nie może poszczycić się dawniejszémi. Kto w nie zajrzeć potrzebował, musiał zwiedzić Kraków, Warszawę, Wrocław, Petersburg, i gdzie takowe można było widzieć. Hrabia Wiktor Baworowski posiada teraz w bibliotece swojej we Lwowie źródła do dziejów narodowych z wieku dwunastego, i otwiera uczonym sposobność zasiągnąć rady tychże, ilekroć do prac swych tego wymagać będą. Pomijam ważność, jakiéj nabiera teraz biblioteka hr. Baworowskiego pod względem tak ostatnich, jak i dawniejszych nabytków, które zapewne późniéj w szczegółowym opisie do wiadomości publicznéj podane będą. Przesyłam pobieżną tylko wzmiankę ogólnie cechującą te nabytki, w interesie tych, coby się chcieli w pracach zasilać pod względem grafiki, źródeł historycznych, heraldycznych, prawniczych, monografij dziejowych, wiadomości numizmatycznych lub autografów. Są n. p. rękopisy obce z wieku 12go: *De sanctitate meritorum b. Caroli Magni* pargamin pisany za Fryderyka Rudobrodego. *Vita S. Gregorii Papae. Albohali de nativitatibus* parg. rok 1193. Z wieku 13go: *Biblia sacra* rękopism treści religijno-ascetycznéj. — *Tabula decretornm.* Z wieku 14go rękopisy: *Biblia sacra* 1389. *Der Kayser und der Kunig Cronic*, kronika austryacka. Rękopisy z 15go wieku *Origenesa homilie*, wiele innych treści religijnéj, książki do nabożeństwa, pisane i rysowane z całą ozdobnością ówczesnej sztuki graficznéj. Z rękopisów dotyczących dziejów Polski są: *Kronika Kadłubka*, (pismo wieku 15go), druga z roku 1450. *Rocznik benedyktyński*, doprowadzony do roku 1410 (pismo wieku 15go), kilka kronik Długosza lub streszczonych lub w całym tekscie, (pismo wieku 15 i 16). *Kronika Bielskiego Joachima* obejmująca Bezkrólewie po śmierci króla Stefana i daléj do r. 1598. *Annales civitatis Lovicensis*, *Annales monasterii Sti Crucis*

in Calvo-Monte, 1707 (rękopis niedrukowany, po zaginięciu oryginału jedyny). Wiele źródeł historycznych jak n. p. *Liber privilegiorum Civitatis Poznaniae* od 1252 do 1388, parg. *Oryginalny spis przywilejów metryki koronnéj* z roku 1682. — *Tomiciana* jeden tom pismo w 16ce. *Volumen negocyacyi między dworem królewsko-polskim a królewsko-francuskim* od r. 1527 do 1629, pisany. — *Akta różne kancellaryi królewskiéj* od r. 1555 do wstąpienia na tron króla Stefana. *Rękopis* obejmujący różne szczegóły życia Orzechowskiego. Z rękopisów heraldycznych: *Herbarz rodzin pruskich Konopackiego.* — *Jablikiewicza* dzieło genealogiczne; z rękopisów prawnych: *Statut Wiślicki:* rękopis łaciński z r. 1472, i tenże z r. 1450 z uwagami J. J. Bandtkiego. *Fragmenta statutorum Vislicensium* (pismo w. 15). *Statuta regis Casimiri Petricoviensia*, (pismo w. 15). *Statuta Nieszawskie* (pismo w. 15) i wiele innych nader ważnych rękopisów, które pomijam, niechcąc zbyt przydłużać korespondencyi w nadziei, że wkrótce pojawi się dokładny opis dla wiadomości publicznéj. Dodam jeszcze to, że biblioteka hr. Baworowskiego (połączywszy dawniejsze nabytki od p. Ambrożego Grabowskiego) przeszło pięćset rękopisów posiada.

Innem znowu niemniéj miłem dla Lwowa jak korzystném dla kraju zdarzeniem, jest zakład na wielkie rozmiary ogrodu botanicznego i szkoły ogrodników. Podniesiona suma znaczna jako indemnizacya z dóbr niegdyś Głowińskiego, stanowiących dziś fundacyę stypendyów tegoż imienia, obróconą została na zakupienie domu i ogrodu Czermińskich, przyległego tutejszemu ogrodowi botanicznemu.

Połączone oba ogrody stanowić będą odtąd ogród botaniczny, przy gmachu wszechnicy tutejszéj, a renta roczna około 800 złr. m. k. z domu wspomnionego, będzie służyć do funduszu stypendyów. Mamy więc nadzieję, że ogród nasz botaniczny, przy coroczném wsparciu pieniężném ze strony Rządu, wzrośnie z czasem do znakomitości niezwykłej, którą dziś już wielkością swoją zapowiada. Winni będziemy przyszłą tę ozdobę miasta jakoteż korzyści założenia szkoły ogrodników Jego Ekscellencyi Namiestnikowi, którego myśl przeniknęła jedną z naglących potrzeb, tak w zakresie umiejętności

przy wszechnicy tutejszéj, jak w pożytkach kraju, czującego brak dotychczas wykształconych ogrodników. Świat elegancki wyniósł się na wieś, do wód lub za granicę. Lwów zajmuje się dziś prozą życia — jarmarkiem, jeszcze w przeszłym wieku dozwolonym, a w tym roku po raz pierwszy w życie wstępującym, — i nadzieją zysków na przedsiębiorstwie mającéj się budować kolei żelaznéj. I jarmark i kolejowe przedsiębiorstwa mają tu swoich zwolenników i przeciwników. Co do pierwszego, łatwo pojąć kto przeciwnikiem; co do drugiego wyznaję, że przeciwników i ich argumentu dotąd nie pojąłem. Ależ bo i trudno poznać się na czém — mówią oni — chcą sprzedać nam kota w worku; zazdrość lub brak odpowiednich zasobów pieniężnych, lub jakaś dzika nieufność, zakrywa się parawanem „*niebezpiecznego, niepewnego przedsiębiorstwa, źle zrozumianego interesu krajowego*“ lub Bóg wié, jakie tam inne powody, o których tyle chyba powiedzieć, ile Krasicki o Ryczywole.

Wiedeń w czerwcu.

Jeszcze przyjemności stolicy zatrzymują na przepalonym bruku znaczną część wyższego tutejszego towarzystwa, lecz upały od dni kilkunastu są tak nieznośne, że z każdym dniem wzmaga się liczba uciekających na wieś lub do wód. Na wieczorze muzykalnym w *Volksgarten* widzieć wszakże było można kilka dam z arystokracyi i z dworu, kilku dyplomatów i mnóstwo innych salonowych osób. Oprócz muzyki wojskowéj, grała orkiestra Straussa. Pomimo prześlicznéj, pełnym księżycem oświetlonéj nocy, gorąco w zakreśloném dla krzeseł i stolików kole było duszącem, lecz światło gazowe dodawało twarzom i toaletom pewnego uroku, który przechadzających się i siedzących w nieustannem trzymał zachwyceniu. Że wejście kosztowało tylko 24 kr. i odbierający bilety nie miał prawa do żadnéj innéj kontrolli, widzieć przeto było można i twarze i ubiory, któreby śmiało walczyć mogły o prawo obywatelstwa w *Mabile* lub *Chateau-rouge*. I niestety tak tu jak w Pa-

ryżu eleganckie motyle przy tych najwięcéj kręciły się światełkach, co wszakże nie przeszkadzało bynajmniéj wielkim damom rozmyślać z uśmiechem nad próżnościami tego świata, dyplomatom mówić o polityce, oficerom sprawdzać w zastósowaniu niektóre prawidła taktyki wojennéj, i naszym *Gründerom*, (bo tak ich tu zowią,) przewidywać różne koleje losu, przez jakie przejść może przyszła kolėj galicyjska. Nie małą uwagę zwracali na siebie oficerowie angielscy wracający z Krymu, w mundurach prawie zupełnie kozackich. Jeden z nich oświadczył mi wychodząc, że mu się ta cała nocna *exposition* bardzo podoba.

Przed niewielu dniami mieliśmy drugą podobną wystawę w ogrodzie Dommayera w Hitzing. Któż nie zna tego restauratora wiejskiego, który kuchnią, patryotyzmem i filantropią zakasował wszystkich oberżystów stolicy? Daje jeść lepiéj i taniéj niż oni, podpisuje na wszystkie składki, karmi darmo ubogich i wychowuje sieroty, jest jedném słowem prawdziwym restauratorem ludzkości. Publiczność tutejsza go lubi i przy każdéj sposobności daje mu tego niezaprzeczone dowody. Jednym z nich była uroczystość, o któréj chcę mówić. Samo nazwisko *Rosen-Fest* wywieszone od dni kilku na afiszach, podniecało ciekawość i zapowiadało liczne zebranie. Gdzie kwiaty tam i kobiety et *vice versa*. A gdzie jedne i drugie, tam i z kuchnią i piwnicą dobry rachunek. P. Dommayer zna swą publiczność i umie się jéj podobać. Przy wejściu do ogrodu zastawionego nakrytemi stołami, stały dwa ogromne kosze z różami. Każda dama odbierała w podarunku malenki bukiecik, za który grzeczny mąż, ojciec lub przyjaciel płacił tylko 30 krajcarów. Zapłaciłem i ja tę niewinną daninę, podając rękę jednéj z pięciu córek, z któremi wchodził bogaty ale trochę skąpy bankier mój znajomy. Co go kosztował cały wieczór nie wiem, gdyż do współki dalszéj należeć nie mogłem, byłem bowiem zaproszony na obiad, który dawał swym rodakom i przyjaciołom, gościnny i uprzejmy hr. Kr.... Znajdowali się na nim i *Gründerowie*. Szumiał szampan na cześć pierwszego galicyjskiego przedsiębiorstwa w zakresie dróg żelaznych, i to tem weseléj, że amfitryon nie ma w niem żadnego wyłącznego udziału. Obiad był dobry, rozmowa wesoła i

żywa. Hr. Kr... był duszą obu. O godzinie 7éj rozpoczęła się muzyka wojskowa i cywilna, pierwsza pod przewodnictwem p. Fahrbacha, druga p. Gunkla. Artysta ten ma w Berlinie znakomite imie. Tutejsza publiczność znajduje go trochę zimnym i przenosi Straussa. Lecz brzęk talerzy, noży i szklanek zagłuszył wkrótce wszelkie dyskussye o pierwszeństwo tych mistrzów. O godzinie 8méj ogród był przepełniony. Przy wyziewach potraw i blasku różnofarbnych lampowych ogni zwiędła niejedna róża; ale się rozjaśniło niejedno bladawe lub posępne przedtem lice i zaiskrzyło się niejedno oko. Czynny gospodarz krążył jak czarnoksiężnik pomiędzy stołami obsypując je wszystkiemi swéj sztuki i przemysłu wynalazkami. Lecz niedokazał jednego cudu! niepotrafił wszystkich zwrócić oczy na gwiazdę północną tak wielbioną ze swéj piękności na balach cesarskich w Paryżu! Pani Sz... któréj wdzięki ubóstwiały dzienniki francuzkie, znalazła na tym wieczorze znajomych już dawniéj tylko sobie wielbicieli. Publiczność jadła i piła i cieszyła się wdziękami narodowemi. I w rzeczy saméj, była jedna węgierka która i polski sąd przeciągała na swoją stronę.

Druga ta, że powtórzę słowo mojego bohatyra angielskiego, ekspozycya, skończyła się o godzinie 11ej.

Przy odjeździe widziałem czułe i ciekawe sceny. Lecz nie znając końca ich, nie chcę mówić o początku. Zdaje mi się że każdy wrócił jeśli nie domu, to do miasta, z lżejszą kieszenią, lecz z pełniejszém sercem. A kto nie dostał powozu, pozostał na miéjscu i przemarzył noc pod pięknem gwiazdzistem niebem!

Jedną z ozdób Hitzingu jest pyszny ogród i park cesarski w Schönbrunn. Utrzymują, że Napoleon I. powiedział, iż chciałby ten park i ten ogród przenieść pod Paryż. Rysunek tego zakładu jest w guście angielsko-francuzkim. Przestrzeń ogromna. Drzewa piękne, dobrze dobrane i wybornie utrzymane. Widok z *Gloriette* wspaniały. Cesarz ma w tym ogrodzie swe kąpiele i swoje polowanie. Parter przed pałacem jest wysłany kwiatami. Sam pałac niewielki i prostéj budowy, lecz wewnątrz ubrany przyzwoicie. Ściany kilku salonów są pokryte peyzażami sławnego Salvatora Rosa. Teatr bardzo ładny.

Wracając do miasta cóż wam mam donieść? Opera włoska już się kończy. Inne teatra są puste dla gorąca. Na ulicach wśród dnia ruchu mało. Wieczorami wszystko na łodach u Dehne lub na *Grabenie*. Ale piwo przemaga.

Poznań w czerwcu.

Wełna, wełna, było to niegdyś słowo urocze, które rozjaśniało twarze, tak dobrze obywateli wiejskich jak miejskich, bo pierwsi sprzedając swój produkt, byli pewnymi pozbycia się kłopotów świętojańskich; drudzy byli pewnymi znacznego zysku ze sprzedaży towarów i z pobytu licznego i wesoło usposobionego obywatelstwa na jarmarku w Poznaniu. Ale nie tak się rzeczy mają w roku bieżącym, wełny nie zwieziono i trzeciéj części tego co zwykle, raz z powodu że wiele owczarń już od roku przeszłego pustych i zamkniętych; powtóre, że i w tym roku niejedna okolica znaczne straty w owcach poniosła; potrzecie zaś, że z powodu panującego księgosuszu, z Królestwa wełny nie wpuszczono, również jak i z powiatu Szremskiego, gdzie ta zaraza panuje. Do tego jeszcze na domiar zawodów, które gospodarzy naszych od lat dwóch spotykają, nadzieje co do cen wyższych już w Wrocławiu się nie ziściły, a tu mniej jeszcze, gdyż zaledwo zeszłoroczne ceny płacono, co także o wielkie straty przyprawiło mniejszych krajowych handlarzy, którzy przed jarmarkiem wełny pozakupowali według dużo świetniejszych przewidywań, niż się to na jarmarkach okazało. Nikt nie umié sobie zdać sprawy, co mogło wpłynąć na zniżenie cen wełny w chwili jarmarków, kiedy od pół roku cały świat handlowy i fabryczny o znaczném poskoczeniu cen był przekonanym. W skutku tego wszystkiego jarmark tutejszy, tak jak wrocławski, wlókł się długo, bo producentom trudno się było rozstać z cenami, których się od kilku miesięcy spodziewali; a tak dobrze producenci jak kupcy bardzo zafrasowane okazywali oblicza. Rzecz oczywista, że jarmark podobny na odbyt towarów jak najniekorzystniéj wpłynął, a zapewne da się uczuć i w czasie kontraktów

što-jańskich. Żadnych publicznych ani prywatnych zabaw nie było tą razą, nie było téż i teatru polskiego, a tylko dwa koncerta dane przez mniéj znanych artystów; a wszakże jarmark wełniany bywa pod tym względem najświetniejszą epoką w roku.

W czasie jarmarku rozpoczęła się wypłata raty Towarzystwa kredytowego: w pierwszych dniach kasa nie zbyt licznie odwiedzaną była, i nie jesteśmy bez obawy tak o niniejszą ratę Towarzystwa jak i w ogóle o wszystkie interesa što-jańskie. Nasi posiedziciele nie mieli żadnych dochodów w zimie, żadnego zboża na sprzedaż, teraz nie mają rzepaku i mało lub wcale nic wełny; zkądże będzie zapłacić procenta; a mało takich dóbr, nawet obywateli najzamożniejszych, któreby przynajmniéj znaczną pożyczką Towarzystwa kredytowego obciążonemi nie były.

O nowém Towarzystwie kredytowém chyba w oficyalnych sferach coś wiedzą i rzeczą się tą trudnią, do ogółu publiczności nic z tego nie dochodzi, tém naturalniéj, że instytut ten, jeżli przyjdzie do skutku, nie wyjdzie z sfer i wyłącznéj opieki rządowéj administracyjnéj. Bank prowincyonalny zatrudnia podobno wiele akcyonaryuszów, to jest miejscowych żydów, ale koncessyi rządowéj jeszcze nie otrzymał.

Księgosusz jeszcze nie ustał w Księstwie i o ogromne straty przyprawił powiat Szremski, a tém boleśniejsze, że może byłyby się dały uniknąć; kiedy bowiem zaraza wybuchła początkowo w pewnéj wiosce, właściciel jéj uwiadomił bezzwłocznie władze i oświadczył, że to według jego przekonania jest księgosusz; sprowadzono kommissyę złożoną z weterynarzy i urzędników, którzy nie mogąc przypuścić, aby szlachcic polski prędzéj niż ludzie co egzamina składali, poznał się na rodzaju choroby, nie poczytali tego za księgosusz, nie nakazali kordonu, a ztąd zaraza się rozeszła na okolice. Teraz wojskowy kordon przeszkadza gwałtownemu szerzeniu się księgosuszu.

Z powodu téj zarazy nie będzie w tym roku wystawy zwierząt gospodarskich, za to wyścigi konne nas nie ominą, chociaż w małym i biednym zakącie jak Księstwo — korzyści ogółowi one nie przyniosą, bo albo obcy wygrywają, albo krajowcy rujnują się na konie

nieodpowiednie potrzebom naszym, a najbardziéj nieodpowiednie majątkom tutejszym.

JO. Arcypasterz już powołał tu dotąd Siostry Serca Jezusowego, mające otworzyć żeński instytut edukacyjny. W tych dniach zbierają się damy które się składką na ten cel trudniły i dalszego urządzenia materyalnego podjęły; dowiemy się więc wkrótce, jaki fundusz się zebrał i czy będzie można dom na ten cel zakupić. W każdym razie, JO. Arcypasterz powoławszy do Poznania po raz drugi te zakonnice, musi mieć pewność i niezłomną wolę utrzymania ich w dyecezyi. Z wielką téż dowiadujemy się przyjemnością, że Ochrona, Szwalnia itd. pod imieniem Śgo Józefa a zarządem Sióstr Miłosierdzia, przeniesioną będzie jeszcze w tym roku w inną zdrowszą część miasta, a zwłaszcza do obszerniejszego i wygodniejszego budynku, ale zmiana ta uskuteczni się li kosztem prywatnym; niemniéj Rząd poczuwać się musi do obowiązku uczynienia czegoś podobnego dla głównego Domu Sióstr Miłosierdzia. O tém wątpić nie można, bo Rząd pruski, który posiada w ręku swém miliony dawniéj Kościołowi katolickiemu należące, a okazuje tyle starań o urządzenie więzień dla złoczyńców, nie zostawi Domu Sióstr Miłosierdzia, w którym w ciągu roku tysiące chorych staranie i przytułek znajduje, w takim stanie zniszczenia, wystawionego na coroczne powodzie, i uwzględni zapewne prośby, podania, wnioski na wszystkich szczeblach hierarchii administracyjnéj składane.

Berlin w czerwcu.

Nie lękaj się szanowny redaktorze, abym zastanawiając się nad charakterem muzyki niemieckiéj, a więcéj jeszcze nad właściwością muzykalnego ucha publiczności berlińskiéj, miał zamiar wykładać ci teoryą lub historyą muzyki w Kronice. Moim zamiarem tylko jest, wskazać ten jéj żywioł, na który słuchacz niemiecki największą zwraca uwagę, do którego w muzykalném dziele największą przywięzuje wartość, i w którego śledzeniu, chwytaniu i rozmyślaniu największe ma upodo-

banie i największe znajduje zadowolenie. Żywiołem tym jest Harmonia. Kto wié, co się w muzyce zowie harmonią, i z poprzedzających listów moich przypomni sobie, że charakterystyczném znamieniem umysłowego usposobienia Berlińczyka jest refleksya, ten łatwo sobie wytłumaczy, dla czego muzykalna publiczność stolicy pruskiéj chętniéj słucha i wyżéj ceni np. „Passyonalną muzykę“ Bacha, niż „Stabat Mater“ Rossiniego, „Ifigenią“ Glucka, niż „Normę“ Belliniego, i t. d. Ma ona w tém o tyle racyą, że bez harmonii nie masz prawdziwéj muzyki. Lecz mają takąż racyą i ci, którzy twierdzą, że nie masz jéj i bez melodyi. Na harmonistów i melodystów można w ogóle muzykalną publiczność dzisiejszą podzielić wszędzie tam, gdzie się poważnie muzyką zajmują, gdzie ją traktują nie li jako środek zabawy, lecz jako sztukę piękną, jak to jest w Niemczech. Przyczyna tego podziału leży najprzód w naturze muzyki saméj, powtóre w indywidualnym charakterze ducha nie tylko pojedynczych ludzi, ale całych narodów. Zastanówmy się nad tém bliżéj i zróbmy zastósowanie do Niemiec.

Materyałem muzyki jest ton. Jak wszelka żyjąca istota, drzewo, nawet kruszec i kamień, za słabszem lub mocniejszém ciała swego wstrząśnieniem, wydają z siebie pewien dźwięk, który jest charakterystycznym, niekiedy bardzo wyrazistym znakiem ich indywidyalnego wewnętrznego życia lub fizycznego ich ciał składu; tak człowiek, samą siłą przyrodzonego usposobienia, popędu lub woli, wydobywa z siebie głos, który już samem brzmieniem swém, bez mowy, wyraża wszystkie wewnętrzne jego wzruszenia, stanowiące w dalszém rozwinięciu świat jego uczuć i usposobień duszy. Głos ten jest krótki, przeciągły, silny, cichy, groźny, łagodny, twardy, miękki, gruby, cienki, wrzaskliwy, dźwięczny, stósownie do poruszenia, jakiego człowiek wydając go, doznaje. Radość i smutek, wesele i boleść, zdumienie i przestrach, miłość i nienawiść, gniew i rozpacz znajdują w nim odpowiedni, bezpośrednio zrozumiały wyraz. W pierwszym głosie człowieka, wydanym po stworzeniu, w pierwszym wykrzykniku, wyrażającym usposobienie jego duszy, spowitym był początek muzyki. Muzyka jest zatem najdawniejszą ze wszystkich sztuk pię-

knych. Początek jéj w raju. W niebie stoją Serafowie około tronu Boga i śpiewają pieśni na chwałę Jego. Spiew też był najpierwszą muzyki formą. Droga do niego od pierwszego, uczuciem przepełnionego głosu, prosta, naturalna, niedaleka. Jeżeli się z nim połączy poezya, mająca także żywioł swój w głosie ludzkim, podniesionym do mowy, a połączeniu się temu, z natury swéj idealnemu, towarzyszyć nadto będą tony przez sztukę, to jest przez instrumenta wydobyte; to harmonia ta wydawać się będzie surowym jeszcze ludziom dziełem tak czarującém, że wyobraźnia ubierze ją w myt, początek muzyki odniesie do bóstwa, i otoczy wpływ jéj niezrozumiałą dziś dla nas cudownością. Tak było u Żydów i Greków, dwóch najmuzykalniejszych w starożytności narodów.

Po przejściu Żydów przez morze Czerwone, śpiewała Mirjam siostra Aarona hymn dziękczynny Bogu przy towarzyszeniu instrumentalnéj muzyki, którą składały bębny! (Meyerbeer nie zaniedbał z téj harmonii korzystać). Mury Jerycha runęły w gruzach na odgłos puzanów Jozuego! (Zabawki dziecinne— bombardony Sachsa u Halevego). Dawid był wielkim artystą na harfie: pastuch, przyzwany do króla Saula, rozpędzał śpiewem i grą melancholią jego. (Respekt przed psalmistą-poetą; śpiewem i grą harfiarki czeskie większych cudów dokazują). Inne instrumenta żydowskie były: piszczałka, którą wynalazł Jubal jeszcze przed potopem, i pewien rodzaj lutni. Poeci i śpiewacy byli zwykle jedną osobą. Za Dawida i Salomona muzyka miała dojść do najwyższéj doskonałości. Składała ona część nabożeństwa, jak i u innych narodów. Śpiew był rzeczą główną; muzyka instrumentalna była służebnicą, przejętą od Egipcyan, najniemuzykalniejszego w starożytności narodu.

U Greków podania mityczne o muzyce daleko są bogatsze i rozmaitsze. Muzy są córkami Jowisza. Muzyka, która od nich bierze nazwisko, jest sztuką *par excellence*, jakoby harmonią wszystkich duchowych zajęć człowieka. Takie też było pierwsze jéj pojęcie, łączące nierozerwanie z sobą poezyą, muzykę, nawet wymowę. Muzy przy biesiadach bogów olimpijskich są śpiewaczkami, którym Apollo przewodzi i towarzyszy na lutni. Instrumenta są wynalazkiem bogów: Merkurego siedmio-

strunna lutnia czyli lira, Pallady flet, Pana piszczałka. Muzycy i poeci są synami Muz i bogów; Amphion synem Jowisza i Antiopy córki rzecznego bożka Azopa, Linus synem Apollina i Kalliopy, Orpheusz synem rzecznego bożka Oegra i tejże Kalliopy. Muzyka ich cuda tworzyła. Na dźwięk lutni Amphiona poruszały się kamienie i powstały mury Teb. Linus szedł z Apollinem o pierwszeństwo w grze na lutni, za co od niego śmiercią był ukarany. Orpheusza śpiew przy siedmiostronnéj lutni wprowadzał w ruch skały i drzewa, uśmierzał dzikie źwierzęta, uspokajał wichry i burze morskie, wyswobadzał mu z piekieł żonę Eurydykę. Śpiewającego przy dźwięku lutni Ariona słuchały delfiny morskie i ratowały od śmierci. Terpandra śpiew i dźwięk lutni uśmierzyły w Sparcie bunt ludu. Tyrteusza pieśniom przypisano zwycięztwo Lacedemończyków odniesione nad Messeńczykami.

Te cywilizacyjne cuda muzyki zniknęły wprawdzie w dalszym, dojrzalszym rozwoju ducha Grecyi. Uznawano jednak zawsze wpływ jéj na umysł ludzki; zatrzymano ją więc przy nabożeństwie, obrządkach, uroczystościach publicznych i prywatnych, i zastósowano do przedstawień teatralnych. Muzyka stała się tak pospolitą w Grecyi, jak inne sztuki. Mimo to pozostała ona do końca i umarła pięknem dzieckiem — nie dojrzawszy. Życie Greków było zanadto na zewnątrz zwrócone, i duch ich zanadto miał upodobania w plastyczném kształtowaniu realnego świata, aby był mógł zwrócić się do wydoskonalenia sztuki, mającéj główne źródło swoje w czuciu i usposobieniu wewnętrzném duszy. Plato i Aristoteles uważali muzykę tylko za środek wychowania, a pierwszy nadto mniemał, że zmieniać jéj istniejące prawidła, formy i użycie, znaczyłoby to samo, co wstrząsać podstawy państwa. Pythagoras uważał muzykę za środek czyszczenia i uspokajania duszy, toż za środek lekarski dla ciała, trudnił się nawet, wynalazłszy monochord, matematycznym rozmiarem tonów i dopatrywał w dźwięku ich harmonii świata. Lecz z badań tych, ani późniejszych Euklidesa nic korzystnego dla muzyki nie wypłynęło. Muzyka pozostała śpiewem, lub jak w chórach poezyi dramatycznéj, deklamacyą, z pro-

stém i dość pospolitém muzykalném towarzyszeniem. To co o różnych skalach muzyki greckiéj piszą, jest i będzie zapewne zawsze, dla braku dowodów praktycznego zastósowania, rzeczą nierozwiązaną.

O muzyce starożytnych Rzymian nie ma co mówić. Przejęli oni ją głównie od Greków, zwłaszcza tę, któréj używali do towarzyszenia w przedstawieniach teatralnych, i od Etrusków, któréj używali przy nabożeństwie i obrządkach religijnych. Wykształcili jednak muzykę polową, do któréj używali dętych instrumentów. Prócz tych mieli podwójny flet, lutnie i liry. Muzykantami byli niewolnicy, co nie mogło się przyczynić do podniesienia muzyki na stopień wyższego ukształcenia.

Z wszystkiego co tu było powiedzianem można wyciągnąć ten wniosek, że muzyka u narodów starożytnych, nie wyjmując najwięcéj ukształconych Greków, zaledwo była wyszła z granic tak zwanéj muzyki naturalnéj czyli przyrodzonéj. Muzykę taką mają wszystkie narody, a ta w miarę niższego lub wyższego usposobienia ich duszy, jest już mniéj już więcéj ujmującą i czarującą. Nie przenosząc się do innych narodów, zatrzymam się u Słowian. Czém są wyżsi wspomniani wyżéj piewcy greccy, Amphion i Orpheusz, synowie Muz od naszego Bojana, syna Welesa, słowika ubiegłych wieków który umem wzlatywał w niebiosa,

. . . . myślą uganiał przez bory,
Wilk ziemią, w wiatrach orzeł chyżopiory;

a jeśli k' czyjéj cześci pieśń tworzył,

To nie sokołów na stada łabędzie
Bojan, o bracia! wypuszczał ku walce,
Jeno na struny kładł swe wieszcze palce,
A sławą książąt żywe brzmiały struny;

albo od owego Lumira,

Co potęgą pień i słów
Wstrząsał Wyszegrad i włości wzruszeniem;

albo czém był wyższy Tyrteusz od owego Zaboja,

Co serce ku sercu ześpiewywał pieniem
Z środka goryczy — i miał dar od Bogów
Pieśnią zagrzewać serca przeciw wrogów?...

To są te same wyobrażenia pierwotnéj, początkowéj cywilizacyi, te same pojęcia wyłamującego się z więzów natury człowieka o potędze połączonych z sobą muzyki i poezyi. Połączenie to trwa w pieśniach ludowych do dziś dnia, tu więcéj, tam mniéj. W polskich np. przeważa wyraźnie melodya; słowa ich niekiedy wcale albo mało znane, często dość pospolite i nie zawsze poetyczne; niekiedy jedna tylko zwrotka utrzymuje się w pamięci, w któréj cała myśl zamknięta; melodya stała się wszystkiém, i przechodzi, zawsze świéża, od pokolenia do pokolenia. Przywodzić na to przykłady, byłoby zbyteczném. Przeciwnie w ludowych pieśniach serbskich przeważa wyraźnie poezya; muzyki często trudno pochwycić, trudno ująć w karby taktu i rytmu; często jest ona tylko, jak w pieśniach epicznych, podobnie jak u Greków, prostém towarzyszeniem poezyi, celem podniesienia deklamacyi; piękność i zupełność formy poetycznéj, obfitość obrazów i myśli przytłumiają tu pod pewnym względem polot twórczości muzykalnéj.

Podobne stosunki napotkać można w pieśniach ludowych wszystkich narodów. Z nich można bardzo łatwo rozpoznać charakter muzykalnego usposobienia tychże, albowiem muzyka takowych pieśni nie jest produktem umiejętności i refleksyi, lecz wypływem natchnienia, które uchyla się od surowości prawideł teoretycznych i konwencyonalnych, i wydaje tylko to, co rzeczywiście duszę narodu napełnia i unosi. Z takiéj muzyki można często wyczuć, odgadnąć cały charakter narodu. George Sand, która w dziełach swoich tyle pięknych rzeczy o muzyce powiedziała, trafnie się i o muzyce ludowéj wyraża: „Ktoby potrafił z całą wiernością i naiwnością oddać muzykę rozmaitych ludów, i ktoby umiał słuchać jéj jak należy, ten nie potrzebowałby przedsiębrać podróży naokoło świata, zwiedzać różnych ludów, zaglądać do ich pomników, czytać ich książek, ani przebiegać ich stepów, ich gór, ich ogrodów, lub ich puszcz. Spiew żydowski wiernie oddany wprowadza nas do synagogi; cała Szkocya mieści się w prawdziwéj piosnce

szkockiéj, jak cała Hiszpania w prawdziwéj piosnce hiszpańskiéj. Ja bywałam często w Polsce, w Niemczech, w Neapolu, w Irlandyi, w Indyach, i znam lepiéj tych ludzi i te strony, aniżelibym je była poznała przez wieloletnie podróżowanie. Nie potrzeba mi było więcéj jak jednéj chwili, aby się do nich przenieść i żyć całém życiem, które w nich wybija. Była to istota tego życia, którą sobie przyswajałam pod urokiem muzyki".

Wszystko to prawda; a jednakże cała ta starożytna i nowoczesna przyrodzona ludowa muzyka, o któréj dotąd mówiłem, z całą cudownością swoją, z całym uroczym wpływem na umysł człowieka, bardzo daleką jeszcze jest od tego, co my dziś pod muzyką rozumiemy. Jest to tylko materyał, materyał surowy jednego z dwóch głównych żywiołów muzyki, o których wyżéj wspomniałem, to jest, melodyi. Żywiołu harmonii wcale jeszcze w nim niema; jest tylko możność jéj. Harmonia ta musi być dopiero stworzoną; a tworzy ją nie natura, nie natchnienie, lecz sztuka; tworzy ją rozum, zimny matematyczny rozum, zgłębiający naturę tonów, odważający je stosunkami liczbowemi, i przygotowujący dopiero tym sposobem materyał i podstawę odpowiednią dla prawdziwéj muzyki.

Rzeźbiarstwo i malarstwo poczynają bezpośrednio od naśladownictwa natury, i biorą od niéj materyał do pewnego stopnia gotowy. Poezya nawet sama ma w wyrabiającém się naturalnie słowie i w złożonéj w niém myśli gotowy materyał i podstawę do odpowiedzenia swemu zadaniu. Przeciwnie muzyka, podobna w tym względzie do budownictwa, lubo materyał swój bierze także w znacznéj części od natury, to materyał ten opiera się na tak tajemnych i szczególnych prawach, że muzyka musi wprzód prawa te poznać, to jest, materyał swój niejako nanowo sobie stworzyć, aby właściwemu zadaniu swemu odpowiedzieć była w stanie. Natura tonu, wydobytego czy to naturalnie przez głos ludzki, czy sztucznie przez różne instrumenta, drżenie jego, trwanie, miara materyalna i czasowa, odstęp stosunkowy jednego od drugiego, skala, rodzaje tonów, takt, różność tychże, rytm, uderzenie, przedziały czyli interwalla, assonanse, dissonanse, akordy, kontrapunkt — wszystko to wymagało bardzo pilnych i długich badań

fizykalnych i matematycznych, zanim było jak należy pojęte. Bez nauki akustyki i matematyki, muzyka w dzisiejszém pojęciu była niepodobną, bo dopiero przez ścisłe, za pomocą ich oznaczenie wyżéj pomienionych żywiołów, stanowiących naukę harmonii, przygotowane zostały całkowicie i materyał i podstawa do kompozycyj, które wynoszą muzykę do sztuk pięknych.

Muzyki tak pojętéj nie można zatém uważać za najdawniejszą, ale raczéj za najmłodszą pomiędzy sztukami pięknemi. Jest ona téż rzeczywiście, bez względu na jéj estetyczny cel, uważana tylko z czasowego punktu swego możebnego rozwoju, z większém jeszcze prawem niż malarstwo, sztuką chrześciańskiego świata. W nim powstała i dojrzała; w nim podniosła się, stawszy się muzyką instrumentalną, do bezwzględnéj wolności i udzielności, jakiéj żadna inna z sztuk pięknych nie posiada. Mogąc zaprzeć się swego przyrodzonego początku, głosu ludzkiego, z którego istotnie wyszła, jest prawdziwą sztuką *par excellence*, o jakiéj Grecy marzyli w swych mytach, absolutną panią siebie, królową w świecie własnego stworzenia, noszącym nazwę: Harmonia.

Lecz w téj bezwzględnéj wolności rozpościerania się na niezmierzoném polu sztucznych kombinacyj harmonijnych, w które tak obfituje dzisiejsza muzyka, leży zarazem niebezpieczeństwo dla estetycznego jéj przeznaczenia jako sztuki pięknéj. Harmonia staje się bowiem wtedy łatwo żywiołem wyłącznie w niéj panującym, a harmonia sama przez się nie jest ostatniém zadaniem muzyki, jak nią nie jest, wedle tego com wyżéj powiedział, sama przyrodzona melodya.

Oba żywioły są nieodzownemi warunkami muzyki, ale dopiero w połączeniu się obu dopina muzyka ostatniego swego celu. Harmonia sama przez się, przy całéj wewnętrznéj zgodzie tonów, z całém bogactwem rytmów, akordów i tego wszystkiego co ją składa, nie zdolna jest wydać wewnętrznego usposobienia duszy; może obudzić podziwienie cudownością swojéj architektoniki, zająć myśl, wstrząsnąć nerwy, ale poezyi muzyki, właściwéj mowy duszy, wydać sama przez się nie jest w stanie. Osięga możność tę dopiero przez spojenie się z melodyą, któréj właśnie przyrodzonym przymiotem jest, oddawać w tonach różne wzruszenia i usposobienia

wnętrza ludzkiego, takowe łagodzić, uszlachetniać, albo też i budzić i podnosić. Ale znów wzruszenia i usposobienia te mają bardzo różne stopnie. Uczucia np. radości i smutku, jak różne mają powody, tak też bardzo różne mają sposoby objawiania się. Jest tu cała skala odmian, od spokojnéj wesołości do tryumfującego szału, od cichego cierpienia do gwałtownéj rozpaczy. Melodya sama nie jest w stanie oddać tych odmian, jeżeli się nie oprze na harmonii, w któréj sztucznym składzie tonów, akordów, rytmów, daną jest właśnie możność dopomagania melodyi do charakteryzowania takowych odcieni. Nie dość na tém. Połączenie się harmonii i melodyi nie powinno być tylko zewnętrzne, powierzchowne, tak aby jedna szła obok drugiéj, harmonia tylko towarzyszyła melodyi. Tak się ma rzecz w większéj części kompozycyj, do których śpiew wchodzi. W jednych bywa melodya panią a harmonia służebnicą, w drugich harmonia panią a melodya Bóg wié czém. Połączenie się ich powinno zaś być jak w jestestwach organicznych spójnia kości i ciała, jak w mowie ludzkiéj związek spółgłosek i samogłosek. Melodya wyrastać niejako powinna z harmonii, jak kwiat z łodygi; unosić się nad nią, nie odłączając się od niéj, związana, jak myśl w brzmieniu słowa.

W tém i takowém harmonii i melodyi połączeniu leży główna wielkich muzykalnych kompozycyj tajemnica i wartość. Sciąga się to zarówno do kościelnéj jak światowéj, do wokalnéj jak instrumentalnéj, niemniéj do połączonéj wokalno instrumentalnéj muzyki. Chorał, msza, oratorium, trio, kwartet, koncert, sonata, synfonia, uwertura, opera, tworzą tu główne jéj gatunki. W tego rodzaju dziełach muzyka jako sztuka piękna osięga ideał przeznaczenia swego.

Jaki z tego wszystkiego wniosek wyciągnąć chcą dla siebie harmoniści i melodyści, zostawiam to ich własnemu sądowi. Mnie pozostaje zrobić zastósowanie do muzykalnych Niemiec, w szczególności do publiczności berlińskiéj, o czém będzie w przyszłym liście. Mniemam, że to więcéj warto, niż wyścigi konne, które w tym miesiącu całe miasto zajmują.

Paryż w czerwcu.

Teraz kiedy Ristori opuściła Francyą, a Rachel głucha na wołanie Paryżanów, niechce wyjść z ukrycia — kiedy w świątyni Melpomeny zostają dwa wielkie miejsca próżne, które już zapewne nie za naszych czasów się zapełnią — kiedy znikły żądze osobiste co wzrok zaciemniają, a obiedwie te muzy przechodzą już w zakres pamiątek — nadszedł dla nich dzień sądu ostatecznego w dziedzinie sztuki. Krytycy z zimną rozwagą archeologów rozprawiających o wykopaliskach Niniwy lub Herkulanum, rozpoczęli długie dyskussye o dwóch tych tragicznych kolumnach; jedni piszą ich historyą, inni badają, porównywają i mierzą która z nich wyższa — któréj należy się palma pierwszeństwa: Ristori, czy Racheli?

Pytanie to dotąd nie zostało w Paryżu rozstrzygnięte, bo jak w każdéj, tak i w téj kwestyi niemasz prawdy bezwzględnéj. Długo jeszcze zapewne Ristoriści i Racheliści kłócić się z sobą będą, zanim z tych sprzeczek wyniknie sąd trwały dla potomności; ostatecznie jednak mniemam, że córa Corneilla zwycięży — nie dla tego, żeby Ristori nie dorównywała jéj talentem, ale dla tego że geniusz Racheli miał daleko szersze pole do rozwinięcia swéj potęgi — dla tego że Ristori pokazuje tylko czemby być mogła, a Rachel stoi na wyżynie do jakiej dojść może dramatyczny artysta — dla tego nakoniec, że Włochy nie miały swojego Corneilla ani Racina.

Promienna Italia, ziemia zapachów i harmonii, usypana nieledwie z prochu arcydzieł — ziemia na któréj sztuki piękne kwitły pośród pomarańcz i laurów różowych, gdzie ludzie rodzili się żywotniejsi niż w innych częściach świata — Italia która wydała największych poetów, architektów, rzeźbiarzy, malarzy, muzyków, polityków i mędrców — która liczyła w gronie swych dzieci Danta, Petrarkę, Tassa, Ariosta, Machiavela, Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Rafaela, Corregia, Ticiana, Pawła Veronese, Palestrinę, Pergolesa, Cimarozę, Rossiniego, Krzysztofa Kolumba, Galileusza — Italia tak bogata, iż dotąd króluje poezyi epicznéj nowoczesnéj swą *Boską komedyą*, *Jerozolimą wyzwoloną* i *Ro-*

landem — nie posiadała w tym samym stopniu geniuszu dramatycznego; nie ma ona żadnego imienia któreby mogła postawić obok Szekspira, Calderona, Corneilla, Racina lub Moliera. *Mandragora* Machiavela, *Aminta* Tassa, *Pastor fido* Guariniego, a późniéj naśladowane z francuzkiego tragedye Metastasia, Maffei i Alfierego, mimo swéj wielkiéj wartości nie wystarczyły do utworzenia we Włoszech samoistnego teatru.

Brak wolności, a mianowicie ogromne rozwinięcie muzyki, wpłynęło szkodliwie na rozwój dramatu we Włoszech. Poeci pisali tylko dramata liryczne. Na lekkiéj zbudowanéj przez nich klasycznéj kolumnadzie, melodya rozwieszała swoje girlandy, strojąc gmach którego ozdobę budowniczy jéj kaprysowi poruczył; dialogi rozpadały się na dueta, monologi zmieniały w *aria di bravura;* chóry poczęły śpiewać, zamiast rozprawiać o znikomości rzeczy ludzkich — słowem, wszystko poświęcono potrzebie zachwycania ucha. Ludy południowe mają tak mocne poczucie plastyki, iż z łatwością dają się uwieść dźwiękiem swéj mowy, nie zważając czy te melodyjne słowa zawierają myśl jaką. Włoch po całych godzinach gotów słuchać z rozkoszą muzyki rymów, chociażby one nic nie wyrażały. Dramatyczna fantazya ograniczyła się przeto na tak zwanych *commedia dell' arte*, które improwizowali dowcipni aktorowie osnowając na pierwszém lepszém podaniu.

Późniéj Goldoni chcąc naśladować Moliera, dawne wesołe żarty i szaloną werwę południową zastąpił północnym zdrowym rozsądkiem. — W chwili ruchu romantycznego który odrodził sztukę we Francyi, Anglii i Niemczech, Włochy kołysane rozkoszną pieśnią swych starych wieszczów zaledwie od niechcenia wzięły udział w rewolucyi literackiéj. Manzoni napisał wtedy *Hrabiego Carmagnola.* — Od czasu téj innowacyi która przebrzmiała bez echa, Włochy ograniczają się na naśladowaniu lub tłomaczeniu bez wyboru wszystkich dramatów i wodewilów francuzkich: one co dały niegdyś Szekspirowi legendy o *Juliecie*, *Dezdemonie*, *Szyloku*, żadnym nowym pomysłem nie zbogaciły swéj sceny. Sława miękkich dramatów Pelicca, co płaczą jak gołębie w szponach jastrzębia, a nawet sława granitowych utworów Alfierego, bardzo długo nie mogła się wydobyć po za Alpy, po

których tylko strumienie włoskiéj muzyki płynęły nieustannie i zalewały świat cały. Podczas kiedy Europa sławiła imiona Catalani, Pasty, Grisi, Rubiniego, Lablacha i Mario, nikt prawie niesłyszał o Ristori od dawna sławnéj w ojczyznie. Dopiero Wystawą powszechną zwabiona do Paryża owa wielka artystka, dała się poznać światu, ale w rolach tak niewdzięcznych, że tylko talent jéj mógł je jako tako ożywić.

Wystąpienia swoje rozpoczęła od *Franceski da Rimini* Silvia Pelicco. Następnie grała *Maryą Sztuart* Szyllera w przekładzie pana Maffei — potem dwie tragedye Alfierego *Myrrhę* i *Rosmundę* — zakończyła zaś *Medeą* pana Legouvé, którą dla niéj na język włoski przetłumaczył Montanelli.

Myrrha Alfierego zjednała jéj w Paryżu głośną sławę któréj odpowiedziały echa całego świata. Najfatalniejsza z bajek starożytnych, czarna zagadka namiętności do któréj rozwiązania żaden chrześcianin nie znajdzie już dziś klucza, jedynie tajemniczą grozą jaką jéj nadaje gra Ristori, wpłynęła na widzów, bo słów mało kto rozumiał, a cóż dopiero myśli ogólnéj. Paryżanie jak Ateńczycy szukają jedynie mocnych wzruszeń na scenie; doznali ich patrząc na konwulsye Ristori w które wpada Myrrha przy ołtarzu, i okrzyknęli ją arcykapłanką sztuki.

Raz wszedłszy w modę, Ristori znalazła tłumy cierpliwych słuchaczy, co nie zdrzymnąwszy się ani razu, siedzieli po pięć godzin na włoskiem kazaniu, przysłuchując się rzymskim i barbarzyńskim tragedyom, przyklaskując klasycznym giestom artystki, na któréj spoczywał cały ciężar ożywienia bezkolorowych utworów dramaturgów włoskich. Ristori sama jedna zastępowała zawsze myśl, intrygę, akcyą i dekoracye sztuki. Tylko we *Francesce* znalazła jedną taką scenę, jakich Rachel napotyka tysiące w swym nowym repertoarze. Chcę mówić o scenie miłosnéj z Paolem, którą Dante tak wymownie zakończa mówiąc, *że tego dnia już nie czytali więcéj*, a którą Silvio odmalował z niewysłowionym wdziękiem. Tutaj Ristori miała sposobność odkryć liryczną stronę swego talentu, stronę potężną, którą jedynie może rywalizować z Rachelą. Czwarty akt *Franceski* grała z naiwnem czuciem i gracyą pełną lubego

przymilenia zupełne nieznaną w Paryżu, gdzie sceny miłosne są tylko pojedynkami kokieteryi.

Pierwszy raz na tutejszym teatrze ujrzano obraz prawdziwéj miłości. Złudzenie było tak wielkie, że patrzący zapominał o scenie . . . wydawało mu się że rozchyliwszy gałęzie szpaleru lub fałdy zazdrosnéj firanki widzi niepostrzeżony parę kochanków — *soli* . . *e senza alcun sospetto*, używając Dantowego wyrażenia — że jest świadkiem owych zachwytów, wyznań poprzedzonych nagłym rumieńcem — że słyszy ową rozmowę o niczem, owe westchnienia przerywane długiem milczeniem, owe pocałunki porwane z uśmiechniętych ustek podobnych do serca na pół rozkwitłéj róży . . . słowem wydawało mu się że patrzy na cały ten wzniosły i tajemniczy dramat miłości, który się odgrywa w cieniu, zdala od spojrzeń ludzkich.

Ten czarowny ustęp jest rękawicą którą rzymianka rzuciła Racheli, zdając się mówić złoto-ustéj a zimnéj rywalce: „ty walczysz na rozumy, ja wyzwę na serca!“ Ale czar ten za rychło tonie w nudnéj monotonii sztuki, żeby miał trwałe zostawić wrażenie — jest atoli dość mocny, aby dać wyobrażenie, gdzieby mógł zajść talent Ristori, mając dla siebie stósowne pole.

Ale czemże jest ten błysk przelotny w porównaniu do ról w których Rachel całą potęgą geniuszu swego i potęgą wielkich myśli jakie wypowiada, zaćmiewa wszystkie pojęcia jakie sobie słuchacz o wielkości wymarzył. Czemże jest rola *Franceski*, *Myrrhy*, *Rosmundy*, w porównaniu z rolą *Fedry*, *Emilii* w Cynnie, *Pauliny* w Polyeukcie, *Chimeny* w Cydzie? Czemże uwiędły wieniec kochanki Paola w porównaniu z brylantowym dyademem greckiéj królowéj, córy słońca? W rolach serdecznych, uczuciowych, Ristori przewyższa Rachelę — ale tam gdzie potrzeba oddać złość, nienawiść, pogardę, zazdrość, wyniosłą dumę lub stalowy hart duszy, Rachel o całą głowę przewyższa włoszkę.

Porównanie przekonywające najlepiéj o prawdzie powyższego twierdzenia, nastręcza *Marya Sztuart*, gdzie obiedwie artystki występują w roli królowéj Szkockiéj. W stanowczém spotkaniu Maryi z Elżbietą, Ristori wywołuje rzewne współczucie, głęboką litość dla swéj niedoli — Rachela budzi wszystkie szalone namiętności

jakie wstrząsały sercem stronników Maryi — daje pojęcie o władzy jaką miała nad duszami owa czarująca grzesznica. Żeby zrozumieć te słowa, potrzeba ją widzieć najprzód zgiętą u nóg dumnéj Elżbiety, wylewającą wszystkie skarby słodkiéj wymowy, wszystkie pociski spojrzeń, cały urok anielskich uśmiechów kiedy ją chce pokonać łzami — a potem, kiedy ją królowa od kolan odpycha, prostującą się nagle jak nadepnięta żmija, i wyrzucającą potok słów z których każde rani jak żądło jadowite.

Do tej wyższości moralnéj, przybywa w pomoc Racheli uroda i młodość. Rachel ma teraz lat trzydzieści jeden — Ristori mogłaby niemal być jéj matką. — Ristori jest wysoka, szczupła, ma rysy regularne, wyraziste — ale grube, prawie męzkie — postawę szlachetną, ramiona szerokie, kościste, ruchy śmiałe — całość przypomina Polymnię kopiowaną ze starych fresków przez Angelikę Kaufmann, któréj delikatny pędzel zwykł starożytne rysy powłóczyć nowoczesną melancholią.

Rachel do wszystkich zalet Ristori, łączy własne jakich nikt prócz niéj nieposiada. Formy jéj i proporcye są uduchownione tak wysoko, tak artystycznie, że raczéj już do dzieł sztuki niż do rodzaju niewieściego należą. Rysy jej drobniuchne są jakby żyjącą kameą grecką, kształt czaszki i zawieszenie głowy przypomina Venus florencką — a małe oczka nadzwyczajnéj czarności rzucają blask dziwny, tém przenikliwszy, że mają nieruchomość posągu. A cóż powiedzieć o ruchach, wymowie, draperyach, które tak nosi jakby w życiu swojem w innym nie chodziła stroju; o całym ubiorze którego gatunek i forma nadaje jéj cechę zupełnie wyłączną najwyższego piękna, niedającą się porównać z niczem.

Jakoż, nie małe muszą być te zalety i nie mały talent, skoro potrafił wskrzesić zabitą tragedyę i postawić ją wyżéj od dzieł genialnych nowatorów. Rachel wstąpiła do teatru francuzkiego w czasach najświetniejszych tryumfów romantyzmu. Nowa poezya pełna ruchu, komplikacyi, kontrastów, samowładnie panowała wtedy na tutejszéj scenie. Młodzi autorowie których ówczesna krytyka zwała barbarzyńcami, zburzyli klasyczne pałace Cezarów i porąbali posągi. Dialogi wolne, urywane,

poufne, zastąpiły miejsce strof mierzonych i powagę starych pisarzy — śmiech wprowadzony do dramatu przeplatał wrzaskliwie surową osnowę dziejowych wypadków.

Zbawienne to wstrząśnienie, owa potężna burza która nalała świeżéj krwi w formę zużytą nieudolném naśladownictwem i odmłodziła całą literaturę, jak każda rewolucya dopuściła się także nadużyć. Młodzi autorowie znienawidziwszy bezduszne kopie, rzucili klątwę na tragedyę. Wielu z nich zapomniawszy że sami na starych wykształcili się wzorach, wyszydzali zawzięcie wielkich swych poprzedników, a upojeni samochwalczą dumą stawiali siebie wyżéj od nich, podobni do tych chłopców co wdrapawszy się na ojcowskie ramiona wołają: patrzcie, ja wyższy od papy!

Długiego potrzeba było czasu ażeby się upamiętano i przyznano nareszcie, że tragedya jest najwyższą formą sztuki i dla tego właśnie nie znosi mierności. Jeżeli nie jest szczytem do jakiego może dobiedz geniusz ludzki, musi być nudna, a nawet śmieszna, gdyż *le sublime touche au ridicule* — jeżeli zaś odpowie swoim warunkom, góruje nad dramatem jak posąg Fidiasa nad tłumem, tém samém że się z nim nie łączy. W tragedyi sztuka dramatyczna prawie zupełnie oczyszczona z materyi, kształtu używa tyle tylko ile go koniecznie potrzeba do wcielenia ducha; bohaterowie jéj wybrani z pomiędzy wybranych, wyrażają sami tylko potężne i wzniosłe uczucia, dotykają tylko solennych chwil życia. Język ich piękny i głęboki, podnosi słuchacza do czysto duchowéj atmosfery, w któréj gromadzą się wypadki, równoważą żądze, a osoby wyższe nad nikłą prawdę miejscowego kolorytu, uosabiają myśli wielkie i moralną potęgę trzymającą na wodzy namiętności.

Ten to rodzaj nieśmiertelnéj piękności Rachel przywróciła scenie i dała go poznać młodemu pokoleniu, które bez niéj byłoby do dziś dnia uważało tragedyę jako nudną i przestarzałą formę. Rachel wskrzesiła nietylko Corneilla i Racina, ale Eschyla i Sofoklesa — wystąpienie jéj było rewelacyą która przywróciła właściwą hierarchię w scenicznych utworach i dowiodła Francuzom, że wyższą nad jaskrawe i krzykliwe efekta, jest poważna i surowa ekspresya sztuki.

Czyż takie zasługi, taki promienny geniusz zdoła zaćmić w przelocie jedna włoska kometa? Dla honoru Francuzów mniemam że nie, i sądzę że wkrótce nie będzie już sprzeczki w Paryżu komu przysądzić palmę pierwszeństwa: Ristori czy Racheli? —

Kończąc czwartą stronę arkusza spostrzegam dopiero iż może za obszernie dotknąłem téj kwestyi która ciebie w oddaleniu mniéj obchodzi niż tutejszych diletantów; że może zamiast tych uwag tragicznych, wolałbyś znaleść w tym liście prosty regiestr brukowych wiadomości. Ale cóżbym ja ci mógł donieść czego byś już pierwéj nie dowiedział się od licznych korespondentów *Czasu*? Zresztą, mając do wyboru dwie tylko kwestye i to nie żywotne: spory artystów i wystawę bydła — bo Paryża w téj chwili nic prócz potopu nie zajmuje—pochwyciłem pierwszą, i uciekłem z obory do przedsionka Melpomeny, pewny, że mi na ten raz moją niepraktyczność darujesz.

Londyn w czerwcu.

Mieliście już zapewne opis tutejszego obchodu pokoju, niezawadzi sądzę jednak dodać parę szczegółów. Jeśli ten obchód górował niewyrównaną wspaniałością ogni sztucznych i oświetlenia w stolicy, wtedy nic pewnie przewyższyć go nie mogło pod względem szczodrobliwości w dniu tym okazanéj dla ubóstwa po prowincyach. Jeden choć przykład na to przytoczę. Miasto Exeter wyprawiło dla swych ubogich sutą ucztę, na 10,000 osób. Trzy obszerne rynki zastawione były stołami. Że ta uczta musiała być obfitą, łacno już z tego powziąć wyobrażenie, skoro spotrzebowano mięsa wołowego i baraniego 10,000 funtów na pieczyste, pudyngów różnych 5,000, chlebów 9,850 i 2,250 garncy piwa. Oprócz 10,000 starszych mężczyzn i kobiet, nie liczy się jeszcze 4,000 dzieci od dziesięciu lat i młodszych, które także częstowano kawą, herbatą i bułeczkami. Widać w tém chwalebny wzór uczucia miłosiernego i ludzkości; lecz zarazem widno także, w jakim stosunku zostaje ubóstwo, czyli ci co nic nie mają, i że tak powiem, z ręki do

gęby żyją — do zamożniejszej klasy. Exeter mało ma więcéj nad 50,000 ludności, proporcya ubóstwa więc znaczna, choćby w to policzono niższych najemników, a po naszemu parobków, których zapewne wielu u stołów się znajdowało. Zgoła, podług spisu statystycznego, w Anglii na dziesięć ludzi bywa jeden ubogi, i kosztem ich jest utrzymywany. Burmistrz miasta i drudzy urzędnicy miejscy u stołów z ubogiemi zasiadali.

Inne i wcale odmienne od tego widowisko miało miejsce w Oxford. Uniwersytet Oxfordzki obchodził także pamiątkę pokoju nierazem z wszystkiemi jednego dnia, lecz dnia 6go czerwca, i obchodził ją w gronie najświetniejszego zgromadzenia, z całą pompą i okazałością akademickiego obrzędu. Obecnymi byli książę Albert małżonek królowéj, książę Rejent Badeński, Fryderyk Wilhelm książę pruski i wielu najznakomitszych cudzoziemców i krajowców różnego dostojeństwa i rangi. Na tymto obrzędzie tak świetnym a zwanym *Commemoration*, uniwersytet Oxfordzki aby przekazać pamięci wypadki w niniejszej epoce zdarzone, zaszczycił stopniami doktoratu mężów tak swoich jak zagranicznych, którzy się w niej chwalebnie odznaczyli. Zaszczyt takowy podług ich nazwania, jest doktoratem *Legum Civilium*, przez skrócenie *D. C. L.*, a odpowiada doktoratowi filozofii naszych uniwersytetów, jakiego oni nie mają. Jest on li honorowym stopniem *honoris causa*, udzielany bywa zarówno osobom wsławionym nauką, jako i słynącym w każdym zawodzie życia publicznego. W miarę więc rozległości pola do rozdawania doktoratu, poczet zaszczyconych nim może być nader liczny a nawet rozliczny, w ten sposób bowiem uniwersytet połącza i niejako wciela w siebie nietylko to co celuje nauką, zasługą i urodzeniem w kraju, ale i po za krajem, obdarzając ministrów zagranicznych i samych nawet panujących tym zaszczytem; i niebyło jeszcze przykładu, żeby kto odmówił przyjęcia jego. Na dowód tego najlepiej posłuży tegoroczny wybór na doktorów. Imiona ich podawał hr. Derby, który jest kanclerzem Uniwersytetu, i przyjęte były przez powszechne *Placet* od całego zgromadzenia członków, a niektóre z nich przy najhuczniejszych okrzykach radości oznaczającej powszechne zadowolnienie. Wyliczę imiona ich z porządku, jak czy-

tane były z listy: Fryderyk Wilhelm książe pruski, książe Rejent Badeński, hrabia Bernstorff poseł pruski, Mussurus bey poseł turecki, hr. Clarendon minister spraw zagranicznych, hr. Elgin, lord Ashburton, admirał Sir Edmund Lyons, admirał Sir R. Saunders Dundas, Sir Henry Holland M. D., jenerał Sir Colin Campbell, jenerał Sir W. Fenwick Williams sławny dowódzca w Karsie, jenerał Sir Harry Jones dyrektor wojskowego instytutu w Sandhurst, lord Abercorn, Dr. Sandwith i Dr. Barth sławny podróżnik afrykański. — Po ogłoszeniu tej imiennej listy, prof. poezyi Cloughton miał łacińską mowę na cześć fundatorów i dobroczyńców Uniwersytetu; następnie czytano kilka rozpraw uwieńczonych do nagród, między któremi łacińskie poema *Mors Socratis*, i angielskie pod tytułem: „Król Alfred w Oxfordzie za dni dzisiejszych.“ Piękniejsze miejsca tego poematu były przyjęte hucznemi oklaskami przez liczne zgromadzenie alumnów i gości.

Po zakończeniu tego poważnego obrzędu, na chwilę gmach się wypróżnił. Lecz to tylko na chwilę, gdyż jakby dla złagodzenia imponującej powagi akademickiej znowu się cały zapełnił na słuchanie muzy muzyki — a tą Eratą nowoczesną czyli Polihymnią — bo niewiem jakby właściwiej ją nazwać, była w ten dzień słynna z wdzięcznego głosu Jenny Lind. Zjechała była tam z panią Viardot, by dać się słyszeć w znanem oratorium „Stworzenie“; a miała tylu słuchaczy, że gmach jakkolwiek obszerny, nie mógł ich wszystkich pomieścić, a wiele jeszcze osób stojąc pod oknami, słuchało przecudnych chórów tego najwznioślejszego utworu muzycznego.

Nazajutrz (dnia 5 czerwca) oba Uniwersytety: Oxfordzki i Kambrydzki miały zaszczyt mieć posłuchanie u Królowej w Londynie dla złożenia jéj adresów z powodu zawarcia pokoju. Głowy (*heads*) różnych kolegiów, profesorowie i studenci, stawili się wszyscy w swych akademickich ubiorach, togach i biretach. Przedstawiali widok nadzwyczajny, dziwny i jaki można było tylko widzieć za średnich wieków. Orszak ten poprzedzany przez kanclerzy obu Uniwersytetów, hr. Derby i ks. Alberta (kanclerza Kambridzkiego), ubranych podobnież w togi urzędowe z długiemi ogonami, które za nimi nie-

śli słudzy, wprowadzeni byli do sali tronowéj, dla złożenia N. Pani adresów od obu uniwersytetów. Królowa przyjmowała kolejno obie deputacye siedząc na tronie z dyademem dyamentowym na głowie i otoczona całym dworem. Tu naprzód hr. Derby odczytał adres od uniwersytetu Oxfordzkiego, a po nim ks. Albert od Kambrydzkiego. Poczem nastąpiło podziękowanie od N. Pani i prezentacya z osobna członków każdego uniwersytetu składających delegacye.

Takieto staroświeckie obrzędy i zwyczaje można jeszcze widzieć w Anglii. Aleć bo też i to królestwo Angielskie stare, połączające w sobie tyle wieków, z których każdy dokładał cegiełkę do jego teraźniejszéj potężnéj budowy. Wystawcie sobie, gdyby wasz uniwersytet Jagielloński, lub gdyby Sorbona paryzka były z dawną powagą przyjmowane u tronów. Lecz inaczéj się stało, wszystko w nich przybrało postać nowości, i wielką jest zagadką, czy nie z wielkim uszczerbkiem dla nauk, a nie większym jeszcze dla społeczeństwa. Niesądźcie przecię, żem ślepym wielbicielem tych dwóch wszechnic angielskich: mają one swe wady jak każda rzecz dawna i przestarzała; widzą to sami Anglicy, i parlament od trzech lat gotuje dla obu reformę w celu postawienia ich na jednej stopie z postępem i wymagalnościami wieku. Na ich niedostateczność za dni dzisiejszych, na ich wyłączność i zwyczaje prawie klasztorne, nie ślepy był naród Angielski; wznosił i uposażał przeto inne uniwersytety na nowszych zasadach, a między któremi najznakomitszy londyński. Są nadto uniwersytety szkockie i jeden irlandzki w Dublinie — żaden z nich przecię nie zdołał wydrzeć palmy Oxfordowi i Cambridge. A czemu? oto jedynie że są najstarożytniejsze, z istnieniem narodu od wieków zespolone, a tem samém zostały nadal dla niego potrzebą. W nich zbiegają się i łączą, jako w dwóch ogniskach zachowawcze narodu potrzeby i idee; i dla tego uważane są za najstosowniejsze szkoły do kształcenia młodzieży do przyszłych usług tak w kościele jak i w senacie. Nowsze instytucye nie mają za sobą takich gwarancyj, a przeto jakkolwiek przewyższałyby je, jak też niektóre rzeczywiście przewyższają w różnych gałęziach umiejętności i nauk, uważane są wszelako przez Angli-

ków bardziej jako instytucye specyalne, aniżeli powszechne, więcéj jako zakłady naukowe niżeli narodowe. Narodowość ta pozostała Oxfordowi i Cambridge wyłącznym udziałem. One pielęgnują ją i starannie czuwają nad nią — są prawdziwie *Almae matres*. Wszelką reformę odpychają od siebie jako niebezpieczną nowotność, narażającą narodowość na szwank. W obecnej chwili zacięty spór wiodą z rządem i komisyą rządową projekt do reformy gotującą, uporczywie obstając przy tem, że wszelka reforma jest naruszeniem dawnych ich przywilejów. Sprawa ta wytoczy się lada dzień przed parlament, a wtenczas zobaczym, na czém się skończy. Nie będzie tam zbywać uniwersytetom na licznych i żarliwych obrońcach, arystokratycznych ich wychowańcach, którzy zwykle w Oxford lub w Cambrigde edukacyę otrzymują.

Prawdziwa plaga jak tu twierdzą spadła na Francyę, że zagęściły się tam nad miarę różnego rodzaju spekulacye kolejowe, bursowe, kredytu ruchomego i tym podobne. Wszędzie dokądkolwiek się obrócisz, widać tam *sacram auri famem*, czemu aby zadość uczynić, mienia uczciwie posiadane lub nabyte dla większego zysku puszczane są na hazard z taką zapamiętałością, że szulerstwo i kosterstwo jakich dawniéj bywały przykłady, mogłyby w porównaniu z niemi uchodzić za niewinne zabawy. Ogromne fortuny z rąk do rąk jak piłki przerzucają się, dziś zyskane, a jutro stracone. Z bogaczy robią się bankruty, nie sami jedni, bo to byłaby mniejsza, lecz pociągający wierzycieli i tych, co ich uczciwości zaufali w jedną za sobą przepaść i wtrącający liczne rodziny w nędzę i ubóstwo. Do takich należy policzyć świeżego bankruta paryzkiego p. Place, który posiadając własnej fortuny 300,000 fr., żył tak jakby to był nieprzebrany wieczny kapitał, prowadził dom wspaniały, trzymał dom wiejski (pod Melun), gdzie pełno w parku zwierzyny, przyjmował u siebie na polowanie hr. Morny, p. Foulda i samego księcia Hieronima, a 500 bażantów w jednym dniu ubijano w tem wiejskiem jego ustroniu. Odkryło się także, że ten człowiek żyjący jako milioner i uchodzący za takiego, gonił ostatkami. W drodze do Konstantynopola gdzie miał zakładać nowy *Credit Mobilier*, kiedy wsiadał na okręt

w Marsylii, za długi przytrzymany został. Te długi są milionowe, jakby na szyderstwo, że za milionera uchodził, gdyż samemu p. Pereire który go był przyaresztował, winien jest 5 milionów, księciu Galliera 4 miliony, i tak daléj wielu innym grube summy.

Przykre to zrobiło wrażenie na bursie i wywarło zły wpływ na cyrkulacyę papierów. Obawiać się należy, żeby przy mnożących się podczas pokoju różnych przedsiębiorstwach u was, podobni spekulanci, zbiegi z własnych krajów do was na pomoc nie zbiegali się. Ostrożność wszelką radziłbym zachowywać względem przybyszów obcych.

Miał wielką racyę hr. Montalembert widząc taki schorzały stan społeczeństwa, kiedy niedawno w Izbie prawodawczej wyrzekł: *Ces fortunes scandaleuses faites sans travail, sont egalement sans honneur.*" Te gorszące majątki tak bez pracy nabyte, są również i bez honoru. Izba wiedziała do kogo te słowa były wymierzone. Niedziw przeto, że je pominięto w protokóle podanym przez sprawozdawców, na co szlachetny mowca miał słuszny powód użalania się przed prezesem Izby hr. Morny. Przez jakiś szał trudny do usprawiedliwienia, bo niezgodny z dostojeństwem które piastują ministrowie i najwyżsi urzędnicy francuzcy, wdają się, jak to tutaj utrzymują powszechnie, w hazardowne przedsiębiorstwa, trudnią się grą giełdową, a mając pod swym zarządem telegrafy i ledwo nie losy narodów, nic dziwnego, że się im ta gra udaje. W Anglii gdyby się coś takiego okazało, usunięto by ich z urzędów; we Francyi przeciwnie, puszcza się to im płazem, a wyższe klasy pociągają za sobą niższe, osobliwie mieszczańskie, które tym samym niebezpiecznym idą torem. Hr. Montalembert przypisuje ten spodlony stan kraju upadkowi życia politycznego, skrępowaniu prasy, która będąc tłómaczem opinii powszechnéj i jeszcze niezwichniętéj, mogłaby hamulec na nadużycia nałożyć; tak zaś duch narodu nie mając szlachetniejszego zakresu i celu do osiągnienia, musiał koniecznie w inny kierunek rzucić całą czynność swoją i na nieszczęście opanowany został gorączką spekulacyi, niepohamowaną żądzą zysku — zysku już nie dla dobra powszechnego, lecz jedynie dla dogodzenia osobistym widokom i chuci. To skrzywienie dążenia w wyż-

szych i świetlejszych klasach, wpływa zdaniem hr. Montalemberta jak najszkodliwiej na niższe i mniej oświecone warstwy ludności. Nie widząc dobrego przykładu z góry, tworzą one między sobą sekretne towarzystwa na najzgubniejszych zasadach i popuszczając cugli dzikim namiętnościom, pod zasłoną socyalizmu krzywdzą i plamią rozkiełznaniem swém samą ideę społeczną. Jawny dało z siebie tego dowód towarzystwo tajne *(Marianne)* odkryte niedawno w Angers, i jak hr. Montalembert twierdził, że częstokroć osoby stawiane przed sądy w Paryżu jako i na innych miejscach, tchnęły tą samą zarazą. Wszystko to nie dowodziło zdrowego stanu społeczeństwa we Francyi; zagęszcza on między wyższemi klasami samobójstwa, z powodu utraty majątków, a dla ubóstwa co nic niema do stracenia a wszystko do zyskania, staje się podnietą do zaburzeń.

I w Anglii daje także się spostrzegać częściej niżeli za lat dawnych, ta szkodliwa żądza rychłego bogacenia się spekulacyami i nieprawemi zyskami; bo nie mówię tu o zwyczajnych korzyściach kupieckich, które są prawe i odbywają się z dobrem kraju. Tu jednak złe z innego pochodzi źródła, a jest niem próżność, chęć wyrównania zbytkiem wyższym klasom, życie nad dochody, a przeto kosztem wierzycieli i ze szkodą społeczeństwa. Nazwać to można po prostu oszustwem *(swindling)*. Wielu w Anglii bywa takich, co jedynie z tego żyją, i można ich spotykać figurujących w pierwszych towarzystwach. Niektórzy dorobiwszy się grosza w kupieckim lub rękodzielnym zawodzie, nieograniczają się do życia w mieście i przy swych kantorach, lecz tracą kapitały na kupno majątków ziemskich, na utrzymywanie kosztownych koni i domostwa, lub też rzucają się w różnych kierunkach, na rujnujące spekulacye, dopóki obciążeni długami i niemogąc ich dłużej zaciągać, podają się sami lub podani bywają przez wierzycieli za bankrutów. Takiego właśnie losu doznał tu obecnie jeden budowniczy okrętów na Blackwall, nazwiskiem Mare. Dochody jakie z swego rzemiosła miał były znaczne, i bezwątpienia mogłyby wystarczyć mu na wszelkie potrzeby, gdyby się był ograniczył swym stanem a nie puszczał się przez próżność na rzeczone spekulacye. Wyliczam tu tylko poniesione przez niego straty; bo to

ciekawą rzeczą, ile taki budowniczy miał i ile marnował. Miał majątek w Chestershire, na nim stracił 49,000 fst., miał konie wyścigowe w Newmarket, na nich stracił 17,448 fst., miał drugi majątek w Staffordshire, i na tym stracił 8,000 fst. W pierwszym majątku na samo zagospodarowanie się i różne ulepszenia wydał 22,000 fst. W Newmarket majątek był wartający tylko 11,194 fst., a wydatek na budowę stajen, cieplarnie i inne upiększenia 14,753 fst. Kogo tu nieuderzy ta niezmierna rozrzutność grosza nie swego ale pożyczanego na to marnotrawstwo? Czy nie uczciwiej byłoby mu żyć przy dokach londyńskich, budować okręty, niż odgrywaniem roli dżokeja rujnować swoje i cudze mienie? Ale tak próżność chciała, tak mu doradziła. Co więcéj, zapragnął był przed kilką laty zostać członkiem parlamentu: roztrwonił 16,000 fst. między wyborców w Plymouth na zakupowanie wotów; przekupstwo to było mu dowiedzione, i wybór został unieważniony. Założył tam nawet swym kosztem dziennik który teraz sprzedany został za kilkaset funtów. Taki jest obraz jednego utracyusza, a jakich zdarza się często widzieć w kupieckiej i rękodzielnej klasie, psujących dla niej kredyt i sławę w rzetelności. Między wyższemi klasami podobnież się dzieje. Awanturnicy z niczego przychodzą do wielkiego znaczenia, wziętości i nawet wysokich urzędów; łudzą mniemanem bogactwem, majątkami które zaciąganiem długów sobie przywłaszczają; lecz miara w końcu przebiera się, i ohydne ich oszustwa i całe przebiegi wychodzą na jaw, a kończą się zgrozą. Takim był ów Sadleir, o którym pisałem, co trucizną odebrał sobie życie, i takim był zbrodniarz Palmer, który znów innych otruwał aby ugasić żądzę zysku. Lecz ręka sprawiedliwości go dosięgła, dnia 14 b. m. ukarany został szubienicą. Przed kilku dniami p. Ewart zapytywał w Izbie niższéj, czy rząd zamierza wnieść tego roku projekt do zniesienia zupełnego kary śmierci? Od kilku lat był to ulubiony zamiar filantropów. Lecz w obec takich zbrodni jaka z zimną krwią i rachubą była popełnioną przez Palmera, jakże rząd mógłby pozbawić kraj jedynego środka surowości do ukarania takiego winowajcy i powściągnienia nadal innych od popełnienia podobnego występku? Naturalnie,

p. Ewart otrzymał odpowiedź, że niniejszy rok nie był na to sposobną porą. Pomimo tego, mityngi zwoływane są na poparcie projektu p. Ewarta, i jeden taki odbył się niedawno w London Tavern. Mówiący o tym przedmiocie nie uważali kary śmierci ani za środek zapobiegający ani też odstraszający, owszem jako demoralizujący tylko lud. Opinia publiczna brzydzi się i potępiła owe krwawe widowiska gladyatorów walczących na śmierć z sobą, olbrzymich Daków na noże, lwów afrykańskich w cyrkach szczwanych psami, jakie bywały u dawnych Rzymian. Dziś cywilizacya i ludzkość wołają o łagodność i dozwolenie czasu do opamiętania się i skruchy nawet dla największych zbrodniarzy. Czyni się to na zasadach chrześciaństwa i postępu oświaty.

W City u p. Sennings wystawione są na widok publiczny dwa ciekawe rysunki Sebastopola: jeden wyobrażający to miasto warowne i obszerne doki, w całéj świetności jak były odrysowane przez kapitana Simeonowa roku 1848; a drugi po zburzeniu w teraźniejszym ich stanie, z fotografii sporządzony za pozwoleniem ks. Gorczakowa przez Wasilewicza polskiego artystę. Widok tych krwią zbroczonych ruin wzięty był podobnie jak pierwszy ze wzgórza Sewernaja, czwartego dnia po upadku Sebastopola. Niepodobna silniej oddać okropności wojny: tak wybitnie one okazują się na tle tej fotografii. Próżno oko śledzi, aby choć jedno upatrzeć miejsce niedotknięte, nie noszące na sobie znamion zburzenia. Porównywając tę fotografię z obrazem pierwszym, nie znajdziesz tam murów olbrzymiéj warowni ani żadnéj budowli któraby była do poznania z całego niegdyś tak pięknego i malowniczego miasta. Wszystko zamienione w kupę gruzów, poroztrącane, podziurawione, ziemia poorana strzałami, a co nad nią to okopcone ogniem jakby na obszerném pogorzelisku. Wielkie składy i twierdze przez eksplozye leżą zamienione w kupy gruzów. Wszystko to jak na każdych dobrych fotografiach wydane na zmniejszonéj skali czyli w miniaturze z uderzającą wiernością, bo bez bojaźni, bez faworu i bez afektacyi. Efekt największy pochodzi z porównania i kontrastu Sebastopola jakim był, a nigdy nie będzie widzianym, i jakim jest obecnie, kiedy upadł pod straszliwym ciosem wojny. Nic z niego rzeczywiście nie po-

zostało. Istnienie jego dziś tylko punktem na mapach i pamiętną przestrogą dla przyszłych pokoleń.

Nie wiem jakie u was jest zdanie o mesmeryzmie, ale tu nie stracił on zwolenników. Mieli oni tego tygodnia publiczny mityng i w odczytanym raporcie rocznym chlubią się z tego, że za pomocą mesmeryzmu dokonywali kuracyj, na które zwyczajne lekarskie środki nie były dostateczne, ani skutkujące. I tak mieli w kuracyi w ogóle 237 pacyentów, z nich 49 przywróconych było do zupełnego zdrowia, 5 prawie już zdrowych, 55 doznało znacznej ulgi, 47 przychodziło do zdrowia, a jeden tylko umarł. Mają osobny składkowy fundusz z którego opędzają koszta kuracyi. Dr. Elliotson stoi na czele tej szkoły Mesmerystów.

Wenecya w czerwcu.

Kiedy tyle miast stawa do waszéj Kroniki miasto Dożów nie może w tyle pozostać. Pogwarzy i ono z pośród swoich lagun z pod marmurowego świętego Marka kościoła, by przypomnieć siebie i całą dawną świetność, bo jéj dzisiejszéj miarą są ciasne jéj uliczki. Kamienie przetrwają; architektura, ta stwardła w kamień muzyka, wypowiada nam w tém co tu wielkiego, majestatycznego, oryginalnego utworzyła, jaśniéj tajemnicę potęgi i dzieje Wenecyi, niż wszystkie Tycyany i Tintoretty, które w swych pinakotekach i kościołach chowa. Ale niech bez obawy będą wasi czytelnicy i — czytelniczki, nic o tém wszystkiém im nie powiem, co *handbook* lepiéj im wyjaśni lub Orgelbranda polski „Podręcznik,“ co mi się przy licznych francuskich przynajmniéj w jednym egzemplarzu u podróżującéj po Włoszech polki widzieć zdarzyło. W ślad pójdę w téj mierze za waszym rzymskim sprawozdawcą, któren skrupulatnie omija termy, łuki, wieże i wodociągi.

La bella Venezia daje mile odetchnąć po innych Włoch miastach. Tak Odyssowi być musiało na opasanéj morzem

wyspie Kalypso, na któréj i tu nie zbywa błogo, komu traf nadarzył być boskim synem Laertesa, ale biada komu Circe nie szczędzi metamorfozy. Nic oryginalniejszego jak *la città dei dogi*, ale choć z wszystkich włoskich miast najwięcéj żywiołu kryje słowiańskiego, najmniéj tu natrafić Polaków. Grona ich takiego jak indziéj nie zdybiesz. Wina tego zapewne w posępném miasta wejrzeniu: Wenecya jest piękną, ale smutną jak czarnemi są gondole na jéj wodach, jak melancholiczném uderzenie ich wioseł w cichéj nocy księżycowéj. Już Rada dziesięciu nie zebrana w Dożów pałacu na wyrokowanie nad Marinem Falierim; porządek największy, zabaw nie brak, a jednak wszędzie indziéj aż do Neapolu Polaków więcéj, choć niemniéj tu skarbów sztuk i piękności, co umysł i oko nasycają. Woda jest niepokoju symbolem, a Polak zwierzem lądowym, trzeba być amfibią, żeby się u siebie czuć w Wenecyi, akklimatyzować się tu nie łacno.

Jak trumny wyglądają czarne bark baldachimy, które z wieczorem wzdłuż kanału wielkiego na brzegu wioślarze składają i weselszą wtedy przybierają postać fiakry morskie na wieczorną zapraszające przejażdżkę. Nie trzeba przybywać nad laguny z wygórowanie poetyckiém usposobieniem, przepełnionem hexametrami niemieckiemi autora fatalnego widelca. Platen może słyszał jeszcze barkarole; płynąc do ogrodów Napolena i pełen reminiscencyi z Verdego oper, zaintonowałem sam, by niemego gondoliera pobudzić, piękną z Nieszporów sycylijskich barkarolę, ale moje solo bez odgłosu, takiegoby prędko powodzenia doznało, jak proza pana Lecomte w tutejszym teatrze ś. Benedetto, kiedyś *fascheggio*' podług wyrażenia dzienników włoskich — bo *Sclavus saltans*, ale rzadko *bene cantans* — gdyby zemną płynący Neapolitańczycy melodyi po manowcach błąkającéj się nie przywiedli na drogę powabnych kadencyj. W bliskości każda piękność traci, nie tylko kobieca; choć więc i gondolier nie zaśpiewa, tyle uroku w lagun perspektywie, że ubolewać mi przyszło nad pewnym cudzoziemcem, co razem z nami przybywając do ciasnego passażu, rady sobie dać nie umiał, jakby równocześnie oczy bolejące i nos fetorem drażniony jedną zakryć chustką, — bo drugi z Estetycznych Zarysów Siedmiu i w tem ład odkrywa este-

tyczny. Uderza płynącego nocną gondolą słabe światło dwóch małych lamp tonących w morzu świateł jasnych, któremi cała dłuż kanału okryta. Co noc się tak palą od wieków na pamiątkę niewinnie skazanego Fornaretto (bohatera opery Sanellego) jedyną, co krom nazwiska przypomina sztraszliwy *ponte dei sospiri*. Jęki zamieniły się na wzdychania i przeniosły do położonego obok *hôtel royal*, na *riva dei Schiavoni*.

Tam w *albergo di Danieli*
Jeden z naszych lśni anieli.

„Gwiazda Północna“ w swoim powolnym pochodzie na północ, zatrzymała się nad lagunami i wszędzie tak pewna jak zwyczajna zwycięstw, uwięziła *il Moro in Venezia* powiódłszy do nóg swoich mimo zamku broniącego i Desdemony, która na przekór Szekspira rolę zazdrości na siebie brała.

Utrzymują, że murzynów — t. j. wenecki Szekspira, nie jest murzynem, historycznie, że się tylko zwał *Moro* i był jenerałem czytéż dyplomatą tak białym, *tout comme nous autres Polonais*. Zresztą to mniejsza, łatwo do téj pomyłki Szekspirowi, kiedy tu nie rzadko, jak np. w hotelu pod księżycem — który przy wzmiance o gwiazdach przychodzi mi na myśl polecić jeżdżącym — pod oko wpada murzyn olbrzymi nakształt karyatydy za kandelaber służący. Gaz w jego ręku rozświetlony daje znak że już czas na zajadanie wieczornych sorbetów. Gorąco minęło, teatr od piątéj otwarty zamknął się, cały świat elegancki zbiera się na *piazza di s. Marco*, gdzie przez dzień cały lewanckiéj rasy gołąbki spokojnie się przechadzały od przechodniów chętnie łakociami karmione. Skrzydlaty lew na swéj kolumnie ginie w zaciemnioném przestworzu; ś. Teodor, pierwszy przed Markiem patron miasta, z jednéj, księżyc również z wysokości z drugiéj strony przygląda się ciekawie tłumowi pstrokatemu i wielojęzycznemu, co rozsypał się na krzesłach głównie przed wielkim *Café Florian*, krom którego na okół placu jeszcze czternaście jest innych, otaczając austryacką kapelę, między europejskiemi innemi wojskowemi odznaczającą się doborem

muzykusów i grą melodyjną. Po zakończeniu militarnéj gry *guitara* i *mandola* czyli *liuto* odzywają się, ale w obec już coraz przerzedzającego się świata, bo chłód wieczorny i krzyki gondolierów do bark wabią. Taką przejażdżką do późnéj nocy kończy się dzień każdy w Wenecyi. Wieczorem jeżdżą po lagunach na ochłodzenie się i *per far l'amore*, bo tu odmienny żywioł i miejsce na to odmienia, którém w innych miastach jest okno, gdzie się na *dolce appuntamento* luba lubemu ukazuje. Dniem tam jeżdżą po interesach, barki są dorożkami, koni ani na lekarstwo. Był tylko jeden, co zbytek taki sobie pozwolił, po którym do dziś tu pełno wspomnień i dużo ekstrawagancyi pamiątek *dużych*, lord Byron, ów Albionu *Nostradamus* — z różnicą wielką, że *noster Adamus* nie zacierał nigdy życiem, przez co pismem zasłynął — i jak ów na wyspie Lido, tak był i drugi jeszcze, co w Wenecyi cugi trzymał, nie ocuciwszy Grecyi Dżiaurem, grecki hrabia Papadopoli; dziś już po nich niema śladu końskiego.

Tak do późna gondolując nie dziwno że Wenecyanki i Wenecyanie, szczególniéj Forestieri tu przebywający z kogutami się nie budzą, bo tylko u nas z kurami idą spać, jak niedawno musiałem usłyszeć z młodych ust. Za to *nasze* kury codzień jaja znoszą. Poczciwe nasze dobre zwyczaje, ucieszne wioski które Pan Bóg pozakładał, djabłu pobudowanie miast zostawiając. W miastach tylko też lęgną się *sigisbei*, *affidati*, *custodi*, do nas i Amerykanie nie znajdą tak łatwo przystępu, którzy na wojażu towarzystwo polskie łacno polubią. Ale — do kogutów wracając, nie można mieć za złe odmiennego od naszego trybu życia przy nieznośnym skwarze. Gorąco się terazi przez trzy miesiące codziennie wzmaga, w Wenecyi jeszcze znośniejsze, przynajmniéj przez większą część dnia niż indziéj. Właściwa więc *la bella stagione* jest tu w czerwcu, która w tym roku zaczyna się szczególnie świetnie. W teatrze *Fenice* już próby się odbywają na *Guilellmo Tell*. Wenecyanie będą mieli zasługę powrotu do Rossiniego i dawniejszych maestrów; na tę operę oczekują najlepszą dziś w Włoszech żyjącą primadonnę *Medori*, która z Wiednia na dwa lata idzie do Paryża, na co krzywém okiem patrzą Włosi i zapowiadają *sfortuna*. Upadek hr. Capranica - Ristori w opi-

nii Włochów zaczął się od pójścia do Paryża, co ją przedtém w tutejszém s. Benedetto na ręku noszono. Krom opery wielkiéj proza i opery na pięciu innych teatrach, teraz w jednym *Malibran* tylko Alfieri ubóstwiany i *Commedia*. — Uświetni ku końcowi czerwca *la stagione del' estate* inne jeszcze widowisko od lat zaniechane, *la Regata*, wyścigi barkowe. Gondola w tym *steeple chase* wygrywająca znaczną otrzymuje premię. To też pieści się gondolier i śpiewa ze swoją barką jak Arab z dzianetem swoim, że aż zrosną w jedno, jako to myt o centaurach prawi. Ktoby nie chciał być Petrarką i być Laurą, ze swą barką?

Florencya w czerwcu.

Gdzie dwór, tam stolica więc i miasto Kwieć zazdrosne na swoje koleżanki i pragnące należne swoje wśród nich zająć miejsce, wam i waszéj Kronice powonne swe z pośród róż posyła pozdrowienie. Korespondent wasz z nad Tybru snać daleko mieszka od Watykanu ani zaprząta się nadto sprawą religijną, lubo Roma santa nie od zabawy przydomek ten dzierży. Tém mniéj ta gratiosa Firenze takich relacyj dopuszcza i chwilkę tylko zajmę wiadomością podobną z małéj téj nibyto Sodomy.

Dziś kiedy zakon Jezuitów do dawniejszéj coraz wzrasta potęgi wzdłuż Italii aż na północ Europy i na drugie ziemi części, tu co do liczby najsłabiéj się przedstawia, trzech ich tylko jest tego zakonu, prywatnie mieszkają i kościołem ich jest kapliczka familii Strozzi, ale mają na czele innego Antoniewicza w osobie ojca Franco, który sam za dziesięciu i każe i czynność zbawienną rozszerza. Temi dniami dopiero potwierdzono projekt kolei żelaznéj z Bolonii na Ankonę do Rzymu. Ztąd szyny wprost wiodą tylko do Sieny, ale i tak Florencya nie dość oddalona od ogniska katolickiego, żeby nie mieć podobnych do rzymskich korporacyj, zwyczajów i obyczajów religijnych, jakie się oku zewnętrznie w różnorodności habitów, w ceremoniach pogrzebowych i pochodach przedstawiają. Wpływ duchowieństwa na

lud tutéjszy jest wielki. Po każdéj mszy ciśnie się w takiéj ilości na pocałowanie ołtarza, do miejsca, które kapłan przed chwilą zajmował, jak rzadko nawet w dalszych Włoszech widzieć się daje.

Swięto Bożego Ciała nie było tym razem tak uroczyste, jak tu bywa, dla nieobecności dworu i choroby arcybiskupa Minucci, ale jednak i mimo rychłéj godziny tłumy ludu zalegały place i ulice a strojna Florencya balkony lub kościoły, a to pochwały godne, bo *gioja* jest dewizą Fiorentinów, co więcéj, zabawa w późną noc. Należy do złego tonu zjawić się w salonie przed dziesiątą a tańce mimo gorąca do porządku dziennego. Nie potrzeba na to balu zapowiedzianego, pary zawsze ochocze po odśpiewaniu wśród grzmiących oklasków tutti-frutti z oper Verdego, stawają do Lanciera-gęsiego, ułatwionego miękkiemi dywany, a oto wieczór muzykalny z rozkoszą balu połączony, od którego poważniejszą tylko część towarzystwa splinowski whist wyłącza. Ale nie myślcie, żeby tytułowa nazwa tych zebrań była tylko od biedy dana, produkcye muzykalne tylko złém koniecznem, jak to indziéj bywa z znieważeniem przyjęte a czémprędzéj opuszczone. Bynajmniéj! z największém zajęciem przysłuchują się po tysiąc i pierwszy raz aryj faworytalnych i wynagradzają produkujących się tém, czem primadonnę na scenie. W dobór dylettantów obojéj płci obfituje tu zawsze salon hr. Graziani, co sam grą pianową celuje; uprzejmość gospodyni z nad Sprei wabi co tydzień amatorów z wszystkich narodów na około siebie.

Straszy mię obawa wyrzutu, że laury pana Jules Lecomte spać mi nie dają, którego świeżo tutejsze lokalne pisma obwiniają, że krytykuje co drudzy chwalą et vice versa, nie rozszerzę się więc o tutejszych towarzystwach, jak to w niedobry sposób niedawno uczynił autor „des Salons de Florence“. Trudno w ogóle miarę trzymać w téj rzeczy, bo jak bądź wołają: si tacuisses! — Co nas bliżéj obchodzi, polskie grono jest szczupłe, i to większa część wracających z Rzymu, których tabellaturę wam daje skrupulatnie korrespondent tamtejszy. Maj jest porą ściągającą tu swojską i zagraniczną arystokracyę, w tym roku spóźniono się nieco. Z osiadłych tu forestierów jest najwięcéj Anglików i Rosyan.

Liczba pierwszych zaś daleko przeważa, czego dowodem na sklepach artystycznych zbiorów napisy często tylko angielskie. „Na co po włosku,“ użalają się „kiedy tylko do Anglii sprzedajem“? Jak Poczdam mieści kollekcyą dymissyonowanych pruskich jenerałów, tak tu z ekonomicznych powodów przesiedlają się kapitanowie angielscy. Bo w ogóle, gdzie zobaczysz familię angielską jeżdżącą po stałym lądzie, możesz być pewnym, że należy do mniéj bogatych i dla oszczędności robi tour trough Europe. Z Polaków mało ma stałą tu siedzibę, kilku nad wolę dłużéj tu przytrzymanych od lekarza, niby to dla zdrowia, — jakby to i nasze powietrze nie było czyste i zdrowe! właściwiéj zaś że mu się dzienne Franceschoni z polskiéj kieszeni podobają.

Ognisko nie tylko Polaków nad Arno przybywających, ale i włoskiego świata wyższego, aż do Grandukessy stanowi salon od lat kilku tu przemieszkującéj pani Strzyżowskiéj. W Florencyi nie być u niéj, jest to samo, co z Rzymu wyjechać papieża nie widziawszy. Godna to siostra pani Colloredo, o któréj wam z Londynu doniesiono. Polskiem sercem i ojczystym polskim językiem rodaków przyjmuje. Trzy godziny przedobiednie od 3ciéj do 6téj drzwi się nie zamykają u niéj od ciągłych odwiedzin. Wiek nie pozwala recepcyi wieczornej, choć na jéj humorze i zdrowiu nie zostawia śladów. Na jéj zapytanie: quel âge me donnez-vous donc? Włoch jakiś odrzekł: vingt-huit ans! — Taisez vous, petit flatteur, j'en ai dejà trente cinq! i tym żartem doskonale oznaczyła peryod lat, do którego się zwykły dzisiaj kobiety przyznawać. Że już ma niemal 10 lustrów więcéj, lubi powtarzać, i jest to druga dopiero kobieta, która nie tai się z swoim wiekiem, jaką w życiu zdarzyło mi się spotkać. Codzień nowe jej bon-mots są powtarzane. Z jaką radością dałem jéj racyą na twierdzenie, że niema jak polka dobrze wychowana, lub podług wyrażenia autora Mohorta i St. K. *jak się uda*, i w ułożeniu i w powabach aż do późnéj starości; choć i bez restrykcyi ujmującą jest zawsze, o czém tu szeroko rozpowiadają. Na jednéj z recepcyj u dworu odegrano już nie na onych deskach, które świat znaczą, ale w samym świecie Szklankę Wody; imię improwizowanéj

lady Marleborough z greckiego pokoju sławne, Bolingbroka samby Seydelmann się nie powstydził.

Ładne towarzystwo zbiera się co czwartek w salonie hr. Dzieduszyckiéj, któréj udatne córki tradycyjną przyjemność polek w pamięci Włochów odświeżają. Na jednym z tych czwartków zajął mię młody Etruryjczyk układnością i niezwykłą hyperwłoską żywością. Tańczono, proponowano mazurka, do którego tu zawsze amatorów i znawców w Florencyi znajdzie. Ow pan Capelli, prowadził tańcząc tak z mazowiecka, że już nie wahałem się po polsku doń przemówić. Po matce Litwince urodzony w Polsce od lat już siedząc w Toskanii nie przestał kochać język matki, którym najczęściéj mówi. W tém właśnie ta wielka różnica między cudzoziemcami i Polakami na obczyznę przeniesionymi, że ostatni swój język pielęgnują jako drogą puściznę, pierwsi zaś na wielkim świecie, kiedy swoim chcą mówić, wpierw się niby usprawiedliwiają: „Lubię też bardzo mówić po niemiecku.“

Żeby się z waszym dziennikiem i Dodatkiem tu spotkać, trzebaby daleką wprzód odbyć podróż, która wszakże się wynagrodzi ze wszech miar. Niedaleko za porta Pinti uderza swojem położeniem i najwspanialszym widokiem na miasto spodem leżące jak w kotle kwiatów i drzew Villa Dante, dawniéj obok tego, miano willi Poniatowski dziś Buturlin nosząca. Gdyby rajska natura potężniéj nie przyciągnęła do siebie, miałbyś tu w pałacu sposobność zapoznania się z najcelniejszym zbiorem arcydzieł katolickich polskich i wszystkich języków, od Venturów i Balmesów do Fabrów nie zbywa tu na żadném. Pod górę najcudniejszą drogą zaszedłszy za Fiesole widziałem przed sobą na najwyższym punkcie jeden z owych zamków, którego opis wyszukacie sobie u Walter Scotta. Skwapliwie żeby czem prędzéj dojść, przedzierałem się po kozacku, omijając dalszą po gościńcu drogę, przez jaz i kamienie. Nareszcie stanąłem na wyżynie, w grodzie pagórkowym i. c. Castello di Poggio. Panorama zachwycające, powietrze tchu najczystszego! Posiadłość dawniéj Mantellinich dzierży dzisiaj malarz polski, hr. Boratyński. Taka siedziba musi tworzyć poetę, wykształcać talent już od natury dany. To też Boratyński zaniechał swéj pracowni w Florencyi i stu-

dyum swe pełne najrozmaitszych malowideł, od portretów i przygodnych do pejzażów przeniósł do dawnéj baszty. Szybko tam się zapomina, że się w głębi jest Włoch, i pan grodu i syn i ludzie po polsku przemawiają, po polsku cię goszczą. Po komforcie i gustowném urządzeniu ustronia poznasz że niewieścia delikatna ręka jednéj z cór Albionu tém wszystkiém włada, salonów ściany zdobne w widoki, sceny i szkice wysokiego talentu, utwory właściciela grodu. — Drugi malarz rodak osiadły w Florencyi, Fannhausen, krom własnych prac znakomitych posiada bogaty zbiór antyków.

W ogóle z artystów przeważająca liczba jest malarzy, którzy w Café Michel Angelo się schodzą — a gdzie malarki, których także potężna liczba, już tego nie wiem. Kto ich ciekaw, niech się pofatyguje do Uffizj. Raz, nienasycony jeszcze freskami boskiego Krawca w s. Maria Nunciata, którego śpiewak Grażyny nad Rafaela nawet przekładał, chciałem sobie więcéj odszukać tych Andrea del Sarto w galeryi Uffizj. Zastałem tam kopiującą zagadkową istotę. Artystka francuzkiego nazwiska, polskiéj krwi, niemieckiego wychowania, od Anglików uwielbiona, którzy na każdy jéj dowcip ledwo z poza płotu jéj zębów wymykający się, już w zachwyceniu powtarzają: „Oh, yes!“ — i zawsze nic więcéj jak „Oh, yes!“ — pracuje ona pilnie w galeryach lub poobiednie wieczorne godziny widzieć ją można wraz z panią Solms i tu admirowaną jak wszędzie, tejże siostrą p. Adeliną Weiss i z całą arystokracyą florencką na *Haszynach*. Jest to miejsce przejażdżki i przechadzki eleganckiego świata, jak Corso i Longchamps. La cascina jest właściwie miejscem, gdzie się cascia (sér) robi, ztąd ma wspaniały park niedaleko dworca, dokąd pyszna platanów alea prowadzi, swoje nazwisko. Co czwartek i co niedziela tu kapela gra, ale codzień pełno tu karos, kolas i faetonów. Jak ów Niemiec, co w ambarasie rozmowy, zawsze zaczynał: Czy pani lubisz sera? tu ledwo sobie dadzą czas na przywitające Addio, by rozmowę zagaić: Co słychać na Kaszynach? Kto był wczoraj w Hassynach? Co dopiero wracam z Chassyny. Dant mówi o Firenze „dove il *s* suona.“ Słuszniéj podziwiać Florencyą, gdzie *ch* chrapi. Sławna na całe Włochy jest tutejsza włoszczyzna. Polska wywozi swoje córy do Drezna na

nabywanie umiejętności, często z uszczerbkiem języka swojskiego. Aż z Lombardyi oddają tu na pensyą wieloletnią swoje córki, li tylko żeby po *włosku* się uczyły. Sława zasłużona, ale i słuszne przysłowie: la lingua toscana in bocca romana, bo choć Rzymianie więcéj śpiewają, to pronuncyacya wykwintna. Il toscano hammina o va a havallo alle hascine, nigdy a cavallo. Kiedy nie w Cascina, jest w ogrodzie Boboli, za pałacem Pitti. Nad galeryą tego pałacu jest biblioteka Palatyna z listami Władysława IV do Galileusza. Nie mając szacownych Przeździeckiego Wiadom. Bibliogr. pod ręką, wspominam tylko pobieżnie, że w Archivio Mediceo oglądałem cztery Filze pod rubryką Polonia, gdzie listy króla Stefana i rzeczy Władysława IV, bo strach mi zarzutu, że odkrywam jak niegdyś Jastrzębski bazylikę ś. Piotra w Rzymie. Ale co bądź pozwólcie mi jedno nadmienić. Wiadomo, że w bibliotece s. Lorenzo pyszny znajduje się rękopism Ciołka de perspectiva z figurami matematycznemi, konserwowany nie można lepiéj. Zdarzało mi się słyszeć nieraz, że to kopia współczesna Vitella, nawet że z r. 1221. Tak nie jest. Daję za pewne, że jest z wieku XIV; tak mię zapewniał kustosz uczony który od dwudziestu kilku lat nad manuskryptami zęby zjadł, a który od razu tak go szacował, choć od lat go nie miał w ręku, i o temże przeświadczyłem się potém zajrzawszy w rozmaite indexa biblioteczne. Smiał się serdecznie dobry kustosz z dzikiéj pretensyi, chcieć odgadywać z charakteru i pisowni manuskryptu, czegoś więcéj nad wiek jego. Ani pół wieku oznaczać nie podobna, cóż dopiero dziesiątki lat jak to czasem robi autor Prawodawstw słow. W katalogu rękopism ten oznaczony jako Vitellonis genere turingorum *Germaniae*.... Persp. Biedny Ciołku, ojcze optyki, wiekujący przed Bakonem! Nie mało się kustosz zadziwił, gdy mu mówiłem, że Vitello był Polakiem, i w tekscie rękopismu mu wyszukałem : Vitello, filius Thuringorum *et Polonorum*. — Florencya odznacza się grzecznością urzędników publicznych i uprzejmością dla zwiedzającéj publiczności. Na kolei żelaznéj i w galeryach *mancie* vulgo łapowe rządowemi afiszami zakazane, publiczne zbiory *co dzień* prócz świąt otwarte, w Archiwum (bibliotekarz Bonaini) osobny pokój dla studiujących i kopistów cu-

dzoziemców, co bezprzykładném prawie w włoskich archiwach rządowych, największy porządek i elegancya, najdokładniejsze katalogi, uprzejmość zawsze gotowa bibliotekarzy wszystkich, że prócz innych tylko kanonika Vettori w Laurentiana, i w równie bogatéj Riccardina Zannoniego wymieniam. Nie dziw więc, że Florencya i pod tym względem do siebie wabi. Nie ma też pewnie miasta zagranicznego, gdzie się wjeżdżający tak odrazu czuje jak w domu, gdy przeciwnie indziéj dopiero czas przepędzony, stosunki zawarte, miejscowość polubiona nas przywięzuje; tu tęsknota za krajem uśmierza się przy wjeździe, budzi się z czasem; gdzie indziéj bywa odwrotnie.

W Florencyi się bawią i umieją się bawić. Il carnovale liczył wieczorami do czterech balów, na które taż młodzież w jeden wieczór, żeby razem uczęszczać, musiała naturę Filadelfii wzuć. Guerazzi ledwo trzechby zebrał, gdyby dziś powrócił; tutejsze gazety wychwalają poetę Achille Monti, który pierwszy coś o *patria* zanucił po długiem ogólném milczeniu. Jeżeli Włochy na wulkanie stoją, to Włosi chyba wybuchną podskokiem trzęsionki, która gdzieindziéj prawie zapomniana tu obok lanciera dygów główną osnowę balowych stanowi regulaminów. Nie wiem, czy wiadomo, że ostatni taniec grożący zupełnie wyrugowaniem wdzięcznego kadrila wymyślono w Rzymie na cześć pobytu króla pruskiego teraźniejszego i tańczono pierwszy raz u Borghezów. Ion wskazuje na popsucie dobrego gustu, jak dyrekcye teatrów znajdą i czas i sposoby na wszelkiego rodzaju opery, a jeżeli zapowiedziana jaka opera klassyczna, to albo la stagione się kończy lub zachodzą inne jakie przeszkody, jak teraz tu *miał* być dany Mozarta Don Giovanni. Materyalizm musi iść w parze z wygórowaną żądzą zabaw. Dopóki wojsko austryackie tu było, patrzano na nie niechętném okiem, teraz go żałują, perchê avevano dei quatrini. — Jest tu sześć teatrów, co wieczór cztery opery otwarte. Wielka opera w teatro Pagliano zachwycała naturalnie, jak wszędzie, operami Verdego. Il cigno di Busseto zmusił do milczenia łabędzia Pezarejskiego. Violetta, la Traviata i Nieszpory w Sycylii bez końca powtarzane. Do podziwienia jest takt Włochów, by uczcić zasłużonego mae-

stro ganiąc robociznę. Żeby okazać, jak mizerne libretto Scribe w swoich Vêpres porodził, gwizdano na samym końcu, przez ciąg sztuki szalonemi swoją faworytkę Albertini i Baucardé obsypując oklaski. Po ich odjeździe w Pagliano, teatrze większym niż della scala w Medyolanie z przepyszném oświeceniem, dają *Poliuto.* i maestra Donizetti, i w dwóch innych jeszcze jest applaudowany teatrach Alfieri i dei Intrepidi. La prima donna Orechia śpiewa doskonale, sławny duet „il suon delle arpe angeliche“ wywołuje najfanatyczniejsze oklaski i okrzyki *bis*, ale po Violecie Poliuto, to woda różana na nerwy postronkowe. Dopiero teraz zmierzyć można olbrzymiość wielkiego teatru degli antiche stinche, bo rari nantes in gurgite vasto klaszczą tu owdzie, a po spadnięciu kortyny sykają, bo chcą czego innego. Teatro Cocomero (dla dramatów) daje nową komedyą, któréj sceną Florencya autor Florentyńczyk, un Anonimo, ale jak wszyscy nonymy od autora Wawerleya, aż do ostatniego i Szermierza z Revenny znany, bo już i znany z innych komedyj. Publiczność zawsze ta sama czy w Toskanii czy w Polsce. Na palcach tu wyliczają nazwiska właściwe pożyczanych figur, jak kiedyś od razu w Tartuffe prezydenta Lamoignon poznano. Jakby sobie więc słowo dano, nic łoju tutejszego, jak mówią u nas, nie było w lożach, młodzież śmietankowa w parterze przyjmowała chłodno *I Rispetti umani* szczwające arystokracyę i dające kronikę zgorszeń, ale podobało się, że heroina *salvata*, któréj niewinność się wykrywa przy katastrofie. — Pierwszy akt téj komedyi zapełnia scena w Café, gdzie złota młodzież po północy zebrana. Kto zna wielką rolę włoskich kawiarń, przyzna trafność tego wyboru. Sądząc po nazwach tutejszych poczułby rzeczywiście wulkan kołysający się pod nogami: Café dell'allianza de popoli, l'unione dei Forti, al Leone d' Etruria, ale że tyleż widzim składów Sale e tabacchi (bo sól i tytuń monopolem), gdzie cygara hawańskie, a nierównie więcéj jeszcze ateliers de' Frisori e Perucchieri, gdzie pachnidła ofiarują co trzy kroki i na bale stroją, a w drodze do Cascine tyleż krenolinek pieszo marszerujących, ile w najtyczankach się roztaczających, nabierzem znowu otuchy, że wulkan

ten tylko się kurzy i przygotuje się jak Wezuwiusz — w gazetach.

Oprócz sądowych gazet i Monitora toscano, wychodzi tu niemała liczba dzienników sztuce, teatrom *i przemysłowi* poświęconych. Jako Nota Bene, bo rzadkość fenomenalną wspomnę, że nowe pismo La Lanterna di Diogene, rodzaj Kladderadacza, drugie pisma choć rywalki *radośnie* powitały.

Florencya w ciągłym jest postępie, wciąż się buduje, nowe ulice powstają, gazem oświecona cała, bruk w ciosy wielkie, tylko podczas deszczu brudny, bo owo *a suo commodo*, na które jeszcze Goethe przed laty się użalał, zagrodzone nie tylko osobném ad hoc urządzeniem, ale i innym pociesznym nieco, kiedy się tak godzi nazwać, przynajmniéj wymysłem al barocco. Pałace, jak Orlandini, największa część kościołów i inne budynki noszą, często przez długość całéj facyaty, ogromne namalowane krzyże z napisem: Rispetto a Maria, Voi chi portate, il nome del Christiano, il tempio del Domino rispettate, i tym podobne. Wszędzie uczczono marmurowemi tablicami dom Alfierego, kamień Dantego. Tylko na dom jego nie miano funduszów, żeby z niepozorności wydźwignąć; stoi na najbrudniejszéj ulicy, w najbrudniejszym kącie, zadymiony, z oknami wybitemi, na całą ozdobę napis: In questa casa degli Alighieri nacque il divino poeta. A że Florenczycy tyle mają gustu, rząd żadnych nie szczędzi nakładów, bo nawet z loteryi i tombol zyski oddaje na upiększenie miasta, umiem sobie tak mało to zapomnienie tłumaczyć, jak to, czemu przed Uffizi posągi wszystkie od Danta, Michel Angiolo aż do Amerigo i Galilei głowy mają nakryte, a jeden tylko Benvenuto Cellini w odosobnieniu czapkę pokornie trzyma w ręku? Zapewne przed swojem vis-a-vis Michałem Aniołem, przed którego Aurorą i Nocą w s. Lorenzo ja gębę zapomniałem zamknąć.

Na wzmocnienie do Cascina i z powrotem na pogadankę o przygodach w Cascina zbiera się złota młodzież w słynnym Café Doney, gdzie ci chcąc niechcąc la Fioraja di Firenze, jak Małgorzata u Fausta ni panna ni ładna, swoje róże wmusza, od któréj natrętności tylko quatrini lub ucieczka salwują. Żeby nie być o równą

kwieciarce pomówionym natrętność od was i waszych czytelników — bo czytelniczki są pobłażliwsze — urywam na tém, nie mogąc i tak w jednym liście wszystkiego wyczerpnąć, bo co niepodobna, to i być nie może.

Rzym w czerwcu.

Pierwszego czerwca zamknięto tegoroczną wystawę sztuk pięknych, wypada więc kilka słów o niéj powiedzieć. Umyślnie odłożyliśmy do téj pory nasze sprawozdanie, bo w Rzymie wystawa obrazów jest poniekąd latarnią czarnoksięzką. Każdému artyście wolno wystawić prace swoje na parę miesięcy, na tydzień, nawet na dwadzieścia i cztery godzin. Czytaliśmy różne recenzye po włoskich i niemieckich gazetach, nawet i w *Kuryerku Warszawskim*, ale to były zawsze recenzye obrazów wystawionych właśnie podczas wizyty krytyka, a zatém recenzye cząstkowe i przedwczesne. I naszém również zadaniem nie jest rozpisywać się szczegółowo nad wszystkiemi utworami, bo sumienne sprawozdanie pociąga za sobą wielką znajomość sztuki, któréj nie mamy pretensyi posiadać, a do tego liczba obrazów nad któremi się nie warto zatrzymywać jest tak znaczna, iż żadnego artysty lub amatora sztuk pięknych zająć nie może, a cóż dopiero ogół waszych czytelników. Pójdziemy więc na wystawę obrazów, jakbyśmy poszli do pierwszéj lepszéj galeryi i zwrócim waszą uwagę na te obrazy, które nas najwięcéj zajęły.

Chociaż się towarzystwo wystawy zawiązało już przed kilkunastu laty, można powiedzieć, że od dwóch dopiero panowie artyści zaczęli przedstawiać publiczności swoje roboty. Panował dotąd fałszywy przesąd między niemi, że w Rzymie amatorowie sztuk pięknych powinni odwiedzać każdą pracownię z osobna. Do tego trzeba dodać, że za staraniem prezesów margrabiego Campana i p. Cholmeley, otrzymano darmo sale od rządu i wytłómaczono artystom, że można bez żadnego uszczerbku honoru, obraz wystawić i przy sposobności dobrze go spieniężyć. —

P. Riedel, bawarczyk, wystawił tego roku kilka swo-

ich utworów. Jest to jedyny malarz w swoim rodzaju, i chociaż w ostatnich czasach pociągnął za sobą wielu naśladowców, nikt go dotąd doścignąć nie zdołał. Postacie p. Riedla zawsze są ślicznie oświecone. Walcząc z największemi trudnościami i przełamując takowe, umiał on połączyć naiwną prostotę rysunku z kolorytem najlepszych malarzy szkoły weneckiéj. Wystawił on portret naturalnéj wielkości pani O. i jéj córek, chłopkę w ubiorze albańskim i inną wieśniaczkę śniadéj cery, którą wymalował po mistrzowsku na tle prawie zupełnie białém; a jestto trudność niełatwa do pokonania dla malarzy chcących zachować harmonię obrazu.

P. Capalti, rzymianin, wystawił także portret wielkości naturalnéj. Ten artysta dużego wzięcia i reputacyi, przypomina w swoich portretach Van Dycka.

P. Montessuy, francuz, obrał sobie szczęśliwy temat. Przedstawia on nam chwilę, kiedy biedna wieśniaczka przyprowadza dziecię swoje do wróżki, która jéj przepowiada, że jéj syn zostanie papieżem. Chłopak mający około lat dziesięciu, przyszły Syxtus piąty, w stroju pastuszym, patrzy się z zdziwieniem na wróżkę, a na twarzy matki jego maluje się wdzięczność i radość. Silny koloryt i wielka harmonia w całości utworu spostrzegać się dają, a wykończenie szczegółów przypomina szkołę holenderską. Obraz ten chociaż nie wielki, został zakupiony za 5000 franków.

W rodzaju potocznym (genre) odznacza się p. Wieder prusak. Możemy go policzyć do lepszych malarzy bawiących chwilowo w Rzymie. Przedstawił nam dwie sceny z karnawału rzymskiego, kilka portretów pastelowych i akwarelowych, a nareszcie swój własny olejno malowany.

Szkoła złodziei, p. Malhyssen belgijczyka. Przywiązany sznurem do sufitu wisi manekin, na którym jest kilkadziesiąt dzwonków. Uczeń stojący na jednéj nodze stara się wyciągnąć z kieszeni chustkę bez poruszenia dzwonków. Myśl oryginalna, a wyraz osób tego dobranego towarzystwa wyśmienity.

Nie zapomnijmy wspomnieć o cyganach węgierskich p. Murch, niemca. Dziwna poezya rozlana w całym obrazie. Na dzikim stepie po zachodzie słońca, spoczywa familia cyganów przy tlejącym ogniu, a dwoje dzia-

tek słucha ojca grającego na skrzypcach. Drugi obraz tegoż artysty przedstawia wnętrze kaplicy Sykstyńskiéj. Mimo wielkiego podobieństwa Ojca świętego, kardynałów i całego dworu papiezkiego, nie jest nam ten obraz sympatycznym i zdaje się być utworem innego pendzla.

Możemy śmiało powiedzieć, że najlepszy tegoroczny krajobraz jest pendzla naszego rodaka p. Alberta Zametta. Przedstawia on widok jeziora Castel Gandolfo. Dziennik tutejszy *Giornale di Roma*, który jak najsurowiéj sądzi obcych artystów, liczy p. Zametta do najlepszych pejzażystów w Rzymie. My zaś nie wahamy się twierdzić, że on należy do najlepszych w Europie, lubo mało dotąd jest znany. Natura z dziwną prawdą oddana w jego obrazach; nieporównane stopniowania światła i cienia, pary ubarwione od słońca, które na włoskim widnokręgu czarodziejskie sprawiają widoki, ale zarazem czynią wielce trudnemi do przeniesienia na płótno. One dymniste głębiny powietrza, one odległości jakoby zasute gazą ze światła i kolorów: wszystko to nader szczęśliwie i wiernie połączone i naśladowane w malowidłach polskiego Claude Lorena. —

Tivoli, krajobraz p. Knebel szwajcara, jest także bardzo piękna robota. W wykończeniu widać wielką pracowitość, ale zarzucim artyście, iż zanadto rozpuścił wodze swojéj imaginacyi. Jest to ładny obraz, ale nie Tivoli.

P. Lehmann, hamburczyk, ten sam co posłał „Grazielę“ na zeszłoroczną wystawę do Paryża, dał nam scenę z Karnawału rzymskiego. Kilka szczęśliwie ugrupowanych kobiet stoi w oknie i rzuca kwiaty na przechodzące maski.

P. Walborn, szwed, wystawił bitwę pod Luetzen w chwili kiedy ginie Gustaw Adolf. Konie dobrze rysowane i stroje sumiennie oddane.

Nareszcie powiemy, że najlepsze obrazy olejne były: Dziewczyna z maską w ręku p. Orłowa rosyanina.—Krajobraz margrabiego d'Azeglio piemontczyka. — Modląca się matka z dziećmi, p. Bruls belgijczyka. — Agar dająca pić Izmaelowi, p. Lazzerini włocha.—Widok Kampanii rzymskiéj, p. Poingdestre anglika. Podziwialiśmy także śliczne akwarele, krajobrazy p. Müllera niemca i kilka ładnych portretów p. Horraka z Wiednia. —

Ogromne upały wypędziły już z miasta wszystkich tych, co mają jaką bądź tylko pretensyą do elegancyi. Panowie rzymscy udali się już do wód lub na *villagiaturę* — dyplomacya pędzi swobodne i spokojne dni po willach we Frascati lub Albano. Jedném słowem, w starym Rzymie cicho, nudno a szczególniéj gorąco. I nam także przyjdzie uciekać i prosić was o kilkomiesięczny urlop. Idąc na wieczór artystyczny do państwa Z. wdzialiśmy po raz ostatni frak, który się staje przy tych upałach nieznośnym. Zabawiono się tam z przyniesionéj przez młodego rzymianina w rękopismie parodyi całéj kwestyi wschodniéj. Występują tam wszystkie narody a każdy z nich figuruje jako jedna z oper włoskich. Tak np. Anglia przedstawioną jest raz jako *Gazza ladra* (sroka złodziéj) a drugi raz jako *Il Corsario* (korsarz). I jak tylko jéj się uda, to albo cichaczem kradnie, albo jeżeli mocniejsza to rozbija. Dobra także scena jest, kiedy Francya w roli *Viscardello* spotyka *Normę* i śpiewa jéj:

La donne è mobile
Qual piuma al vento
Muta d'accento
E di pensier.
E sempre misero
Chi à lei si fida
Chi in lei confida
etc. etc. etc.

a Norma cała ubrana w bieli odpowiada jéj:

Qual cor tradisti, qual cor perdesti
Quest'ora estrema tel manifesti.

. . . .

W teatrze Argentina opera dogorywa. Mamy przed sobą już tylko trzy reprezentacye. Cenzura wypuściła w tych dniach operę młodego rzymianina p. Fenzi, którą nam przedstawili pod tytułem: „*Maria di Biscaglia*“. Opera ta została przyjętą z wielkiém zadowolnieniem publiczności i możem liczyć nadal p. Fenzi do dobrych kompozytorów naszego stulecia. Muzyka wdzięczna i

oryginalna, odznacza się szczególniéj zupełnie nowemi melodyami. Arya w trzecim akcie odśpiewana wybornie przez barytona Dellesedie, jest arcydziełem świeżości i dobrego smaku. Polecam ją wszystkim diletantom popisującym się po salonach. Zaczyna się przez słowa:

Era pura qual del cielo
Per le sfere l'aura è pura
Jo la vidi e in roseo velo
Mi sorrise la natura.

Jedną rzecz zarzucim p. Fenzi, to jest, że czasami orkiestra zagłusza śpiew i tak prima donna prawie ciągle musi walczyć z trąbami i kotłami.—

Jeżeli nie mam nic do doniesienia nowego z Rzymu, bo tu cicho jak na cmentarzu, to znowu na prowincyi ma się inaczéj, dochodzą nas bowiem co dzień wiadomości o nowych rozbojach po drogach publicznych. Doszło to prawdziwie do bajecznych rozmiarów, i nie pojmujem, że rząd nie może temu zapobiedz. Nie mija tydzień żeby kuryerów, dyliżansów lub weturynów nie rozbito na drogach do Florencyi, Ankony lub Neapolu. Posyłam więc przestrogę wszystkim tym rodakom co się wybierają do Włoch, żeby ze sobą nie brali ani za wiele pieniędzy ani zanadto mało. Trzeba mieć przy sobie oprócz listu kredytowego koniecznie przynajmniéj z kilka lujdorów. Tradycyjną grzeczność zupełnie zarzucili potomkowie Rinalda-Rinaldiniego, i gdy teraz napadłszy cudzoziemców, każą im robić *faccia a terra* dla rewidowania kieszeń; to skoro nic w nich nie znajdują, przeciwną stronę która się staje *faccia al sole* niemiłościwie okładają razami. *Avis aux voyageurs!*

Warszawa w czerwcu.

Niepamiętam już który z humorystów niemieckich podobno Heine, opowiadał, że kiedy Pitagoras wynalazł wielki pewnik matematyczny, taki był uszczęśliwiony z tego wynalazku, iż na dowód wdzięczności sprawił bogom hekatombę to jest kazał zarznąć dla nich sto sztuk

bydląt na ofiarę. Od tego czasu skoro tylko pojawi się pomiędzy ludźmi jakie dobre i użyteczne dzieło, zaraz wszystkie bydlęta zaczynają nań krzyczeć w niebo głosy, bo się boją żeby je na ofiarę nie zarznięto. Oto macie najprawdziwsze wyjaśnienie wrzaskliwéj i rozwlekłéj krytyki, jaką w ostatnich czasach przeciwko wam wymierzono.

Kiedy już mowa o wystawie bydląt (tym razem bez alluzyi) tegoroczna była bardzo nędzną. Z bydła rogatego jeden byczek i to z Warszawy, który żadną miarą nie mógł być przedstawionym do nagrody, kilka niezłych tryków i owiec, parę nędznych szkapin i ot wszystko. Sędziowie wszelkich sił dokładali żeby wynaleźć jakie nagrodowe przymioty w przedstawionych egzemplarzach, ale było to prawie niepodobieństwem. Z jednéj strony księgosusz, z drugiéj drogość kosztów sprowadzenia i nieodpowiednie nagrody, które ani części tych kosztów niezwracają, jeżeli bydło zdaleka do Warszawy sprowadzać potrzeba, są tego powodem. Ale najważniejszą przeszkodą jest oziębłość samego obywatelstwa, które w czyn wprowadziło znane francuzkie przysłowie: *chacun pour soi*, *Dieu pour tous*. Tymczasem korzyść ogółu nieodłączną jest od korzyści jednostek i nawzajem: trzeba to przecie raz pojąć. Niemożemy i niepowinniśmy zasklepiać się w pojedynczych usiłowaniach, bo te do niczego nie doprowadzą.

A u nas we wszystkiem jeszcze widać to sejmikowe *veto*, które choć tajne, nie straciło jednak na swojéj sile. Ot niedaléj szukając, tworzono komiteta mające na celu ochronić bydło od księgosuszu. Wszakże ta klęska całemu krajowi dała się we znaki, więc ogół jednomyślnie powinien szukać środków na poskromienie jéj, a kiedy znalezione jąć się ich usilnie. Ale choć niektóre powiaty poformowały komitety i wprowadziły je natychmiast w czynność, inne ani chciały myśleć o tem mówiąc że to nam niepotrzebne, że się bez tego może obejść. Aż nareszcie kiedy rząd nakazał wszystkim wprowadzić w wykonanie ten projekt, wzięto się do dzieła ale z przymusem dopiero. A przecież pomysł ten podwójnie jest pożyteczny; zaprowadza on bowiem kontrolę obywatelską, *nie urzędniczą* nad obywatelami, co jeszcze dotychczas u nas nie miało miejsca. W nagrodę

braku bydląt na wystawie sprowadzono więcéj niż innych lat koni wyścigowych. Zapisów było tak wiele że musiano wyścigi aż na trzy dni rozłożyć. Wprawdzie na programacie figurują zawsze prawie jedne i też same nazwiska, choć tym razem konie książąt Sanguszków ze Sławuty z wielkim kosztem sprowadzone, stanowiły jakąś dywersyę. Nieszczęśliwie im szło jednak tym koniom, żadnéj nagrody nie wzięły, szkoda, każdy prawie miał dla nich sympatyę.... przez wzgląd na właściciela. Już to na każde wyścigi mnóstwo mamy obietnic, zawsze drukowane na programacie jakieś gonitwy z przeszkodami, wyścigi samych panów i t. p. A zawsze z tego nic. W najlepszym razie kiedy ma nastąpić taka nadetatowa gonitwa, która nawiasem mówiąc najwięcéj ma ponęty dla widzów, jeden koń wyjdzie w szranki, obiegnie metę, i bardzo naturalnie wygra. Po co zawsze obiecywać a nie dotrzymywać nigdy. Tem bardziéj kiedy nazwiska zapisanych na takie gonitwy drukowane bywają wielkiemi literami dla wiadomości publicznéj.

Pomiędzy wysyłającemi konie na wyścigi są tacy, którzy wielką z tego chwałę ciągną, i mają słuszność, bo jedynie hodowaniu koni wyścigowych się oddają. A wszystko z angielska. Żokejów wygrywających prowadzą pod rękę na wino, na dowód że umieją uczcić jenjalność i wysokie talenta, a wykrzykują głośno i stawają na stronie żeby ich każdy widział i wiedział, że oni są zawołanymi sportmanami, tak iż mogą z końmi i żokejami rozmawiać się po angielsku. Tym czasem publiczność zamiast admirować, śmieje się. Doprawdy że bywają ludzie co z najlepszéj nawet rzeczy potrafią u nas robić karykaturalne widowisko. Co wolno Anglikom, nawet Francuzom, tego u nas nie wolno, nie godzi się czynić.

Jarmark na wełnę nie bardzo jest ożywiony. Dotychczas wełny przywieziono jako tako, ale kupno leniwo idzie. Wprawdzie i wrocławski jarmark jak wiecie zapewnie, nie szczególnie się powiódł. Szlachta wyrzeka ale trzyma się w cenie.

A tym razem więcéj niż kiedykolwiek potrzeba było żeby pieniądze dopisały naszym obywatelom wiejskim. Wprawdzie każdorocznie czerwiec sprowadza do Warszawy nową flotę pieniężną, która z kieszeni szlachty

zasila nasze miasto. Ale w roku bieżącym rachowano na większy przybytek. Nie rachując już loteryi fantowéj w Saskim ogrodzie, która bez przesady mówiąc udała się dobrze i znaczną summę dla ubogich przyniosła, wystawa archeologiczna w pałacu hrabstwa Augustów Potockich urządzona, jest także na cel dobroczynny. A piękna i pożyteczna to nowość. Dla zasilenia téj wystawy otworzyły się skarby znakomitszych zbieraczy naszych, więc też w Polsce nie widziano tak pięknego zbioru, trudno nawet o lepszy i za granicą. Obcych zabytków nie wiele tam, ale polskich mnóstwo i bardzo piękne. Zrobiło się to jakby rodzaj muzeum i bogdaj czyby nie mogła przyjść do skutku myśl utworzenia u nas oddzielnego towarzystwa archeologicznego; wszakże w Wilnie pozwolono. Żywiołów znalazłoby się dość, mamy skrzętnych pracowników na tem polu. I zbiory prywatne bardzo bogate i popęd raz już dany, skoro w resursie istnieją czwartki archeologiczne.

Wracając do wystawy, dochód z niéj obrócony na wsparcie Instytutu domu przytułku pod Opieką Najświętszéj Maryi Panny. Myśl i wprowadzenie w wykonanie pani Petrów, ale hrabina Augustowa Potocka najwięcéj przyłożyła się do utrzymania tego instytutu. Obraca ona na ten cel znaczne fundusze i za jéj staraniem wystawa przyszła do skutku. Zacna ta i rozumna dama, pojmuje obowiązki niewiasty polskiéj, pojmuje ciężary jakie wysokie stanowisko na nią wkłada i wywięzuje się z tego sumiennie, a co więcéj z wielkim taktem za siebie i za drugich. Z trudnych dla siebie okoliczności umiała ona wychodzić bardzo zręcznie i teraz niedawno rozum jéj i takt ukazały się w całym blasku, właśnie kiedy go trzeba było *za wielu* mieć, i jednego i drugiego. *Sapienti sat.*

Nie uwierzycie ile tych zakładów dobroczynnych utworzyło się w Warszawie, ile ich każdy dzień prawie przysparza — Instytut przytułku Najświętszéj Panny Maryi, Instytut świętéj Marty o którym szerokie sprawozdania mieliście *w Tygodniku Warszawskim*, mnóstwo domów ochron, instytut świętego Wincentego a Paulo dla ochrony ubogich dziatek, i drugi oddzielny zupełnie od tego, do którego najzacniejsze damy nasze należą. — Wzięły one na siebie obowiązek wyszukiwać ubogich po domach

i wspierać ich — Podzieliły się na oddziały i każda ma swój wyłączny. Piechotą, pojedynczo albo po dwie bez żadnéj służby, obchodzą one strychy, piwnice i liche domostwa gdzie się nędza ukrywa. — Poświęcenie własnéj osoby cenniejszem jest od poświęcenia pieniędzy. — Te są właśnie zasługi które trzeba na jaw wyprowadzać i wskazywać wdzięczności publicznéj

Warszawiacy rozjeżdżają się. — Ułatwienie uzyskania paszportów wywołało mnóstwo osób za granicę. — Widzieliśmy w przejeździe kilku obywateli z Wołynia, Podola i Ukrainy i dla nich teraz lżéj o paszporta, co dawniéj nie bywało. — Jeszcze zjazd jarmarczny ożywia na chwilę Warszawę ale wkrótce będą tu pustki. W mieście naszem pozostaną ci tylko, których konieczność przywiązuje do gruntu. Może to właśnie są właściwi mieszkańce Warszawy, reszta to wędrowne ptaki co przybywają na zimę a odlatują na lato w weselsze kraje.

Mówią o szkole medycznéj że ma być zaprowadzoną, ale już dawno o tem mówią, podobnoć teraz zamiar ten ma wejść na dobre w wykonanie. Istnieje już szkoła sztuk pięknych, przebąkują też coś o prawnéj, byłoby to jakby parę wydziałów uniwersytetu. Bogdaj to wszystkie wieści sprawdziły się! Młodzież nasza nie ma co robić z sobą, nie wie czego się jąć wyszedłszy ze szkół; wielkie nieraz zdolności muszą się marnować. Do uniwersytetów Petersburgskiego i Moskiewskiego więcéj uczniów wybiera się tego roku niżli w latach zeszłych. Ściągają ich tam ważne prerogatywy nadane studentom po skończeniu tych uniwersytetów. Piszą nam ztamtąd, iż wielu z naszych odznacza się tam w naukach. To nie nowina, zdolności nam nie brak, tylko trzeba mieć gdzie je użyć. Ci z tutejszych, którzy kończą uniwersytety rosyjskie, wychodzą po większéj części jako celujący. Dawniéj wielu z Warszawian wolno słuchających zdawali od razu całkowity egzamen i co rok kończyli czteroletnie kursa uniwersyteckie. Mieliśmy kilka takich przykładów. Teraz już tego czynić nie wolno, a może i lepiéj, boć to zawsze owoc przedwczesny, niepodobna aby ważne nauki mogły tak prędko strawić się gruntownie. Ale większa część kończących szkoły, którym brak funduszów na wyjazd do Rosyi albo za granicę

udaje się na aplikacyę tu i owdzie. Więc też bióra przepełnione młodzieżą, awanse trudne, niepodobne prawie. Pensye porozdrabniane, a tak są szczupłe że niepodobna za nie się utrzymać, zwłaszcza przy ciężkich czasach jakie obecnie nastały i ciągle wzrastającéj drożyznie. Urzędników niesłychana moc, najmniejsze bióro przepełnione niemi. Sprawa publiczna nie zyskuje na tem, ale cóż czynić, z czegóż ci ludzie mają żyć? Prawdziwa jest bieda z wyprowadzeniem w świat młodego człowieka ze szczupłemi funduszami albo zgoła bez funduszów. Ja sam niepojmuję co robi z sobą ta ogromna liczba młodzieży, która co rok szkoły kończy. Zyskali jakieś początki i to bardzo niedostateczne a potem nie wiedzą gdzie się obrócić. Już to teraźniejsze pokolenie lepsze wprawdzie od tego które kilka lat temu wychodziło ze szkół, bo przynajmniéj teraz widna jakaś chęć kształcenia się, szukania jakiejś drogi w świecie, dawniéj i tego nie było. Wszystko kończyło się na życiu kawiarnianem, restauracyjnem, lub pohulankach za granicą, stósownie do możności każdego respective. Teraz przynajmniéj młodzi ludzie wstydzą się nieuctwa i chcieliby się kształcić, jest jakiś popęd ku dobremu. Więcéj czytają i mają też więcéj do czytania. Literatura od pewnego czasu zrobiła ogromny krok naprzód więcéj wprawdzie co do ilości niż co do jakości, ale jedno drugie przygotowuje. Kto się zaprawi do czytania, stanie się z czasem wybredniejszym, a nowo nastające potrzeby wyrodzą to co je zaspokoi; tak musi być.

Chciałbym na poparcie twierdzenia mojego o literaturze donieść wam o licznych jakich nowościach, ale niestety prawie od początku bieżącego roku idzie ona kulawą nogą. Tylko jeden doktor Tripplin fabrykuje na gwałt swoje romanse po obłokach i po morzu, po lądzie i po niebie, otoczony czterema pisarzami, którzy nie mogą starczyć na przepisywanie i tłumaczenie miejsc zaznaczanych w różnych dziełach. Bawi się w Dumasa.

O *Gazecie Codziennéj* słyszałem, że ma przejść w inne ręce albo raczéj że p. Przezdziecki dobiera akcyonaryuszów.—Jeżeli tak jest, trudno będzie się tam rozeznać pomiędzy tym lasem właścicieli, współwłaścicieli i cząstkowych posiadaczy. Ależ z drugiéj strony niepodobieństwo dozwolić żeby pismo peryodyczne upadło, u nas

wielka to byłaby szkoda, a co gorsza niepowetowana. Wdzięczność należy się więc hrabiemu Przezdzieckiemu, który z taką bezinteresownością i poświęceniem tak długo na to pismo łożył znaczne koszta. I teraz nie odbiega on od dalszych ofiar, ale pragnie nie sam ponosić ciężary i odpowiedzialność z wydawania pisma, które z resztą w ostatnich czasach znacznie wzrosło. *Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych* idzie coraz lepiéj i ilość prenumeratorów ciągle się zwiększa. Wpadła ona na nowy tor, właściwy gazeciarski, drukuje bowiem z różnych stron naszego kraju mnóstwo sprawozdań przemysłowych, handlowych, poglądów ekonomicznych i artykułów poważnych bliżéj obchodzących ogół a mianowicie obywatelstwo wiejskie. Dobrze życzący temu pismu pragnęliby jednak, żeby strona literacka więcéj tam była dotknięta, i żeby poważna toga jaką się redakcya osłania, dozwoliła czasem miejsca lżejszym artykułom, chcąc bowiem korzystnie działać na ogół, trzeba i dogadzać czasem temu ogółowi który pragnie zabawy. W każdym jednak razie, że względu na staranność redakcyi i wartość artykułów, możemy śmiało postawić *Kronikę wiadomości krajowych i zagranicznych* na czele tutejszego piśmiennictwa peryodycznego.

O nowym popędzie do wydawania pism na użytek młodzieży naszéj wiecie już zapewne z gazet. Jeszcze ani zapowiedziana *Zorza*, ani *Rozrywki* nie wyszły na świat, chociaż prospekt pierwszéj ogłoszony już. Widocznie nasze autorki zaczynają pojmować swoje stanowisko i sposób w jaki najlepiéj będą mogły zużytecznić talent, jeżeli je Bóg takowym obdarzył. W niektórych literackich kółkach prawią już o zamierzoném wydawaniu illustracyi polskiéj. Najważniejszą do tego przeszkodą będzie brak drzeworytów, ogromne koszta i niektóre trudności do zwalczenia. Pomimo jednak tych przeszkód, illustracye mogłyby się u nas udać, i kto wie czy ten pomysł nie przyjdzie do skutku. Samych illustracyj francuzkich mamy prenumeratorów w Królestwie przeszło pięciuset — wszakże to jasny dowód jak u nas gustują w publikacyach podobnego rodzaju. A młodych zdolnych rysowników nie brak, pisarze takżeby się znaleźli.

Mówią tu o innéj publikacyi, o jakiemś piśmie literackiém, które będzie mogło być bardzo *śmiało* redagowaném bez oglądania się nawet na koszta. Ale o tem bardzo mało wiem, więc wolę przemilczeć, dopóki nie zasięgnę pewniejszych jakich wiadomości. — Bawił tu przez pewien czas Czajkowski Antoni z Petersburga. — Nie ustał on w literackiéj pracy, jakkolwiek od dawna nic nie drukuje, podobno w tece mnóstwo ma tłumaczeń z francuzkich i angielskich poetów. — Ale to wszystko czeka na lepsze czasy. —

Faleński młody i utalentowany poeta wydał tomik poezyj pod tytułem: *Kwiaty i kolce.* — W dziełku tém dobrze nazwaném, są utwory poważniejsze i niby humorystyczne. — Drugie szkodzą pierwszym. — Humorystyka nie jest drogą właściwą dla poety, uchodzi ona w piosnkach Berangera, wabi w poematach Alfreda de Musset, ależ to wszystko pisane po francuzku, to jest w języku w którym wszystko ujść może. Heine nawet ten znakomity talent często jest trywialnym. Kto niema talentu Heinego albo Berangera a pisze zwłaszcza w polskim języku, ten niechaj się strzeże tego obosiecznego miecza — zwłaszcza przy pierwszem wyjściu w świat— A w zbiorze pana Faleńskiego tyle jest prawdziwie pięknych utworów napisanych z łatwością i wdziękiem, że szkoda psuć wrażenie wywołane przez nie. — Pan Faleński ma podobno kilka powieści przygotowanych do druku ale czeka z niemi. — Dobrze robi, za wiele bowiem u nas *stante pede* piszą.

Syrokomli utworów poetycznych ciągle nowe tomiki w świat wychodzą. Niedawno mieliśmy „Hrabiego na Wątorach,“ teraz znowu za nim „Wielki Czwartek“ goni. — Ten ostatni jest wcale udatnym poemacikiem w którym Syrokomla w przedmowie usprawiedliwia się że nie przestał być gawędziarzem i pieśniarzem, wstawiając jak to zwykle czyni słówko na krytyków. — A krytycy obrażeni odpowiadają mu wręcz, iż najniesłuszniej reklamuje, bo oni okazali się jeszcze dla niego bardzo względnymi. — „Hrabia na Wątorach“ (krotochwila polska z XVI wieku!?) miała być po wielu trudnościach przedstawioną na scenie naszéj — Już wszystko było gotowe, artyści nawet umieli role, ale Rychter zasłabł i przedstawienie odwleczone do zimy. — Za to za-

powiadają u nas jakiegoś „pana Ciapucińskiego;“ czyli „Kantor małżeństw“. Ma to być także komedya i to oryginalna, wierszem napisana.

Teatr dawał nam w tych czasach same wznowienia i to wybierano sztuki najnieprzyzwoitsze. — Nie rozumiem jak można paść publiczność romansami Kocka ułożonemi w formy dramatyczne — Nasze damy z największém niedowierzaniem wchodzą do loży, i najczęściéj w połowie widowiska muszą uciekać. — Bo żebyć to się skończyło na mniéj przyzwoitych dowcipach jako tako gazowanych, ale mamy na scenie i to w wielkim teatrze jakieś baby uganiające się za mężczyznami w zamiarze pocałowania ich („wyspa miłości“ balet) w teatrze znów Rozmaitości co chwila dwuznaczniki i piosnki, że dziewczyny kawiarniane słysząc je, musiałyby sobie uszy pozatykać. — Widzieliśmy baletniczki rumieniące się w loży i kilka hecarek od Renza, którym wytłumaczono to na niemiecki język, wychodzących z sali, bo znajdowały rzeczą nieprzyzwoitą żeby je widziano przysłuchujące się takim sztukom.

Głoszono nam jakoś, że teatra mają być odnowione przez lato, a nawet zupełnie więcéj przebudowane, i w tym celu podobno nawet Renz został sprowadzonym do Warszawy, żeby przez ten czas publiczność miała czem się zajmować. — Przebudować warto, plan bowiem naszych teatrów zupełnie był inny a inaczéj potem wybudowano, zakrawało to na jakieś olbrzymie rozmiary a potem zmniejszono na gwałt. — Skutkiem tego w wielkim teatrze takie cugi, że za otwarciem drzwi od loży, spektatorom w sali i artystom na scenie co chwila paraliż grozi, w teatrze zaś Rozmaitości wszystkie przejścia są tak wązkie, że znam osobę, co nie może być nigdy w loży, chybaby musiała połowę siebie w domu zostawić. — A tak z wielkiego teatru jak i z Rozmaitości jedno tylko wyjście, wystawcież więc sobie coby się tam działo w przypadku broń Boże pożaru. — Temu wszystkiemu możnaby zaradzić, pieniędzy nie powinno być brak, bo teatra zawsze przepełnione, a oprócz tego od wszelkich widowisk i koncertów teatr bierze tantiemę. Sam Renz płaci podobno szóstą część swoich dochodów *brutto*, co wyniesie niezawodnie więcéj niż tysiąc złotych dziennie. — Ależ podobno Renz, cho-

ciaż mu bardzo dobrze idzie, nie chce tu dłużéj pozostać i wyjeżdża z końcem tego miesiąca, a to z powodu trudności jakie mu robią. — Truppa jego wyborna, z paryzką może się równać. — Publiczność nie szczędzi przywołań ani bukietów. — Tak jest rzucają bukiety: pannie Seigneurie i pannie Adelinie, że dobrze skaczą na koniu. — Bogdaj to być skoczkiem, byle kark mieć mocny to wszystko dobrze pójdzie, gdy przeciwnie w zwykłych okolicznościach życia, kto nie ma giętkiego karku ten zginął z kretesem.

Czas mamy piękny, o urodzajach nie źle mówią, ceny jednak nie zniżają się dotychczas. — O cholerze dzięki Bogu nie słychać. Księgosusz także ustał — Komety jeszcze nie widać, to niegrzecznie z jego strony dla astronomów i pism które tak stanowczo ogłaszały jego przybycie.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz. Antoni Czapliński Rząd. Druk.